

Biblioteka
Instytutu Badań
Lingwistycznych PAN

P.I. 1348

NOWE WIDNOKRĘGI

3

MOSKWA • 1941

NOWE WIDNOKRĘGI

MIESIĘCZNIK LITERACKO-SPOŁECZNY
ORGAN ZWIĄZKU PISARZY RADZIECKICH ZSRR

3

MARZEC

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO LITERACKIE
MOSKWA 1941

S P I S R Z E C Z Y

Po bolszewicku realizować uchwały XVIII Wszeczwiązkowej Konferencji WKP (b)	3
Święto myśli twórczej	17
Mieczysław Jastrun — Jarosław Dąbrowski	23
Emil Dziedzic — Droga	24

Z DZIEJÓW RUCHU REWOLUCYJNEGO

Roman Werfel — Udział Polaków w Komunie Paryskiej 1871 r.	73
Jules Vallès — Do kolumny — Przełożył Adam Ważyk	92
Eugeniusz Pottier — Powstaniec — Przełożył Stanisław Jerzy Lec	92
— Nie zginęła — Przełożył Allan Kosko	94
— Komuna przeszła tędy — Przełożył Allan Kosko	95
Luitza Michel — Na porażkę rewolucji — Przełożył Karol Drezdner	97
Paul Verlaine — Zwyciężeni — Przełożył Mieczysław Jastrun	98
Achilles Le Roy — Nieśmiertelna Komuna — Przełożyła Z. Ginczanka	99
Jerzy Danilin — Poezja Komuny Paryskiej	102
Tadeusz Boy-Żeleński — Jules Vallès i jego trylogia	109
Leon Pasternak — Komuna	122

TARAS SZEWCZENKO

1861—1941

Iwan Franko — O Tarasie Szewczenko	124
Taras Szewczenko — Testament — Przełożył Adam Ważyk	126
— Z «Dziennika» — Przełożyła Halina Górńska	126
Marietta Szaginian — Poetyka «Kobziarza»	134

KRYTYKA I BIBLIOGRAFIA

Igor Sac — Książka o Szewczenko	152
Stanisław Wasylewski — Karolina Sobańska i jej otoczenie	158

TEATR I KINO

Jerzy Bossak — Sześć filmów na stole sekcijnym	182
--	-----

KRONIKA

Adres redakcji: Moskwa, Czerkaski 2/10, tel. K-5-56-65. Lwów, Kopernika 42

Korespondencję i rękopisy prosimy nadsyłać na adres lwowski.

Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Podpisano do druku 14.IV.1941. Ilość ark. druk. 12,25. Ilość ark. autorsk. 13,46. Ogólny nakład 9.000. A-29954. Nr. zamów. 247.

Drukarnia «Iskra Rewolucji», Moskwa, Filippowski per., 13.



Rzeźba stalinowskiego laureata S. Merkurowa

Zdjęcie N. Konoplewa

PO BOLSZEWICKU REALIZOWAĆ UCHWAŁY XVIII WSZECHZWIĄZKOWEJ KONFERENCJI WKP(b)*

Cały naród radziecki z natężoną uwagą śledził prace XVIII Wszechzwiązkowej Konferencji bolszewików. Do konferencji szykowały się nie tylko organizacje partyjne: szykował się cały naród, witając ją czynami, zwiększeniem aktywności wytwórczej i politycznej. W fabrykach i zakładach przemysłowych, w sowchozach i kołchozach ruch stachanowski wzniósł się na wyższy poziom, wiele przedsiębiorstw przemysłowych wykonało przedterminowo swoje plany produkcyjne.

Prawie dwa lata dzieli nas od XVIII zjazdu partii, który stwierdził, że w trzeciej pięcioletce ZSRR wkroczył w nowy okres rozwoju, okres zakończenia budownictwa bezklasowego społeczeństwa socjalistycznego i stopniowego przechodzenia od socjalizmu do komunizmu. XVIII zjazd partii postawił w całej rozciągłości *podstawowe zadanie ekonomiczne ZSRR — «dogonić i prześcignąć również pod względem ekonomicznym najbardziej rozwinięte kraje kapitalistyczne Europy oraz Stany Zjednoczone Ameryki»*.

W ciągu dwóch lat, które minęły od XVIII zjazdu WKP(b), zaszły doniosłe wydarzenia. Partia bolszewików i rząd radziecki, postępując w myśl genialnych wskazań towarzysza Stalina i dyrektyw XVIII zjazdu, wiele zdziałały dla wzmocnienia ekonomicznej i militarnej potęgi państwa socjalistycznego, dla spotęgowania międzynarodowego znaczenia naszego kraju, wiele zdziałały w dziedzinie polityki zagranicznej, aby umiejętnie odeprzeć zakusy przeciwników i udaremnić ich ciosy. Rozszerzyły się granice Związku Radzieckiego, wzmocniło się ich bezpieczeństwo. Świat kapitalistyczny zmuszony był w ciągu tych lat ścieśniać się kilka razy, liczba zaś bratnich związkowych socjalistycznych republik radzieckich zwiększyła się z 11 do 16.

Druga wojna imperialistyczna przerosła już w wojnę światową. Sytuacja międzynarodowa brzemienna jest we wszelkiego rodzaju niespodzianki i niebezpieczeństwa dla kraju socjalizmu. Wszystko to zmusza nas, by być stale w pogotowiu, wszelkimi siłami rozwijać i wzmocniać gospo-

* Artykuł wstępny, «Bolszewik», nr. 3—4, luty, Moskwa, 1941 r.

darstwo narodowe i przede wszystkim przemysł socjalistyczny, który «stanowi zasadniczą dźwignię kierującą całym systemem gospodarstwa narodowego» (*Stalin*) — by wzmacniać siły zbrojne Związku Radzieckiego. Rozwiązanie podstawowego zadania ekonomicznego ZSRR wymaga również zdecydowanego zwrotu organizacji partyjnych w stronę maksymalnej troski o potrzeby i interesy przemysłu i transportu.

Oto dlaczego XVIII Wszechzwiązkowa Konferencja WKP(b) całą swą uwagę skupiła na zagadnieniach dalszego rozwoju przemysłu i transportu socjalistycznego. Uchwały konferencji uzbrajają partię naszą i wszystkich sowieckich ludzi do walki o najszybsze rozwiązanie wielkiego zadania historycznego, które towarzyszył Stalin postawił na XVIII zjeździe WKP(b) — dogonić i prześcignąć również pod względem ekonomicznym główne kraje kapitalistyczne.

* * *

Konferencja rozpoczęła się od referatu tow. Malenkowa «O zadaniach organizacji partyjnych w dziedzinie przemysłu i transportu».

Referent zaznaczył, że w ubiegłym roku 1940 przemysł i transport Związku Radzieckiego znacznie posunęły się naprzód. Dzięki tym sukcesom — które wyraziły się konkretnie we wzroście ogólnej i towarowej produkcji, w zwiększeniu się przewozu towarów, w zwiększeniu się inwestycji kapitałów w przemyśle i w transporcie — polepszyło się wyposażenie techniczne Armii Czerwonej i Marynarki Wojennej. Sukcesy te zostały osiągnięte w wyniku konsekwentnego wcielania w życie nauki stalinowskiej o uprzemysłowieniu socjalistycznym. Realizując uprzemysłowienie jako prawo socjalistycznego rozwoju naszego kraju, partia Lenina — Stalina zapewniła niezależność gospodarstwa narodowego ZSRR, nie pozwoliła na przekształcenie go w dodatek do gospodarstwa kapitalistycznego, usunęła wszelkie możliwości sprzyjające powstawaniu kapitalizmu. Związek Radziecki stał się potężnym przemysłowym mocarstwem socjalistycznym.

Przemysł był i pozostaje fundamentem, zasadniczą dźwignią kierującą rozwojem gospodarstwa narodowego. Poziom przemysłu decyduje o stopniu rozwoju transportu, rolnictwa i wszystkich innych gałęzi gospodarstwa narodowego.

Bez uprzemysłowienia socjalistycznego kraj nasz nie mógłby się stać potężnym mocarstwem, niezależnym od ekonomiki krajów kapitalistycznych, nie mógłby rozwiązać podstawowych zadań budownictwa socjalistycznego.

Gotowi jesteśmy i nadal ponosić ofiary, gotowi jesteśmy i nadal kontynuować poważne inwestycje kapitalne, aby pchać naprzód przemysł socjalistyczny — gwarancję potęgi i niezależności ZSRR.

Interesy socjalizmu wymagają, by w Związku Radzieckim nie było ani jednego pozostającego w tyle przedsiębiorstwa przemysłowego, aby każde przedsiębiorstwo wykonywało wyznaczony mu plan.

W duchu bolszewickiej samokrytyki, w sposób ściśle rzeczowy tow. Malenkow podsumował wyniki pracy przemysłu i transportu.

Ogółem biorąc, globalna produkcja przemysłowa w 1940 r. zwiększyła się o 11% w porównaniu z 1939 r. Ale za tą cyfrą kryje się fakt niewykonania planów wytwórczych w szeregu gałęzi przemysłowych, szczególnie w dziedzinie budowy parowozów i wagonów, w przemyśle elektrycznym, drzewnym, papierniczym i rybnym oraz w przemyśle materiałów budowlanych. Komisariaty ludowe przemysłu włókienniczego, spożywczego i lekkiego wykonały plan, jeśli chodzi o ogólną produkcję, ale nie wykonały go w szeregu bardzo ważnych gałęzi produkcji. Jeszcze gorzej jednak pracował przemysł rybny i drzewny oraz przemysł materiałów budowlanych. Nie tylko nie wykonały one ogólnego planu, lecz zmniejszyły w r. 1940 swą produkcję. Wśród przemysłowych komisariatów ludowych komisariaty te znajdują się na szarym końcu.

Referat tow. Malenkowa i rezolucja uchwalona w związku z referatem zwracają uwagę na nader poważne braki w pracy przemysłu: nieuruchomianie w porę nowych potencjałów wytwórczych, nadmierne wydatkowanie surowca, materiałów, paliwa i energii elektrycznej, poważne straty powstałe wskutek zabrakowanych wyrobów (tzw. «brak»), inne wydatki, wynikające ze złej gospodarki, a także niewykonanie planu w zakresie obniżki kosztów własnych produkcji przemysłowej.

Czym objaśnić niedociągnięcia w pracy poszczególnych komisariatów ludowych i organizacji partyjnych w dziedzinie przemysłu i transportu?

Analizując główne przyczyny tych braków, tow. Malenkow wskazał, że komisariaty ludowe prowadzą swą pracę pod wielu względami biurokratycznie, nie znają jak należy każdego poszczególnego przedsiębiorstwa przemysłowego, kierują nimi tylko formalnie, w drodze papierowej korespondencji, nie organizują prawdziwej bolszewickiej kontroli wykonania swoich uchwał. Komisariaty ludowe zapominają o niezwykle ważnej zasadzie bolszewickiej, że uchwały pobiera się nie dla samych uchwał, lecz dla ich wykonania, zapominają, że główna część pracy kierowniczej, to nie posiedzenia i pobieranie uchwał, lecz codzienna kontrola wykonywania tych uchwał.

Tow. Malenkow przytoczył niemało faktów, świadczących o biurokratycznych metodach kierowania przez niektóre komisariaty ludowe podległymi im przedsiębiorstwami.

XVIII konferencja partyjna stwierdziła, że wiele lokalnych organizacji partyjnych osłabiło swą pracę w przemyśle i w

transporcie, w błędnym przeświadczeniu, że nie ponoszą odpowiedzialności za pracę przemysłu i transportu.

Wiele lokalnych organizacji partyjnych zamiast pomagać przedsiębiorstwom przemysłowym poprzestało na tym, co już zostało osiągnięte, usunęło się od odpowiedzialności za pracę w tych najważniejszych gałęziach gospodarstwa narodowego. Wspomniane organizacje partyjne, podobnie jak i organizacje gospodarcze, nie doceniły znaczenia kontroli wykonania, nie zrobiły wszystkiego w tym celu, by pomóc komisariatom ludowym i zarządom głównym («gławkom») zorganizować codzienną kontrolę wykonania uchwał przez przedsiębiorstwa przemysłowe i transportowe.

«Wielkim brakiem w pracy komitetów miejskich i obwodowych partii — mówi rezolucja XVIII konferencji partyjnej w związku z referatem tow. Malenkowa — jest to, że nie wnikają one w istotę pracy przedsiębiorstw, nie badają ekonomiki przedsiębiorstw, natomiast wymigują się często formalnymi inspekcjami i powierzchownymi uchwałami».

XVIII konferencja partyjna w uchwale swej podkreśliła z całą siłą, że komisariaty ludowe ponoszą odpowiedzialność za pracę podległych im przedsiębiorstw, obowiązkiem zaś komitetów miejskich, obwodowych, krajowych i KC partii komunistycznych w republikach związkowych jest ujawnianie braków w pracy przedsiębiorstw przemysłowych i pomaganie komisariatom ludowym w usuwaniu tych braków.

Ustalając gospodarczo-polityczne zadania organizacji partyjnych w dziedzinie przemysłu i transportu, XVIII konferencja żąda przede wszystkim «bezwzględnego zlikwidowania biernego ustosunkowania się organizacji partyjnych do stanu przemysłu i transportu i zdecydowanego skierowania uwagi organizacji partyjnych w stronę maksymalnej troski o potrzeby i interesy przemysłu i transportu».

Organizacje partyjne skupiały swą uwagę głównie na zagadnieniach rozwoju gospodarki rolnej. Takie podejście było słuszne dopóki kraj nasz rozwiązywał problem zbożowy. Ale obecnie, gdy problem ten jest już w zasadzie rozwiązany i gdy możemy produkować rocznie 7—8 miliardów pudów zboża, organizacje partyjne powinny w równej mierze kierować przemysłem, transportem i gospodarką rolną. Nie można nadal tolerować, aby organizacje partyjne obojętnie przechodziły obok największych braków w pracy przemysłu i transportu i trzymały się z dala od ich pracy, zajmując się tymi sprawami jedynie od wypadku do wypadku, powierzchownie.

Chodzi nie o to, aby skorygować ten lub inny błąd poszczególnej organizacji partyjnej. Chodzi o *zasadniczy zwrot* w pracy *wszystkich* organizacji partyjnych. XVIII konferencja WKP(b) postawiła kwestię w ten sposób, że organizacje partyjne powinny *dzień w dzień* wnikać w istotę pracy prze-

mysłu i transportu, badać ekonomikę przedsiębiorstw, ujawniać w porę oraz likwidować braki w pracy fabryk, zakładów przemysłowych, kopalń i kolei.

Usunąć poważne braki w pracy przemysłu i transportu — to znaczy przyspieszyć tempo rozwoju przemysłu i transportu socjalistycznego, całkowicie wykorzystać tę ogromną przewagę, możliwości i rezerwy, jakie daje socjalistyczny system gospodarki. To znaczy *podnieść całe nasze gospodarstwo narodowe na nowy, znacznie wyższy szczebel*, przyspieszyć nasze posuwanie się w kierunku komunizmu, wzmocnić wszechstronnie ekonomiczną i obronną potęgę państwa socjalistycznego.

XVIII konferencja partyjna zaznaczyła, że komisariaty ludowe nie są w stanie sprawdzać pracy przedsiębiorstw i kontrolować wykonania swych uchwał polegając jedynie na własnych siłach, że pod tym względem wielką rolę winny odegrać organizacje partyjne. Obowiązkiem ich jest pomagać komisariatom ludowym w przeprowadzaniu kontroli pracy dyrektorów przedsiębiorstw i sprawdzać, jak wykonywane są przez fabryki i zakłady przemysłowe uchwały powzięte przez komisariat ludowy.

- Doniosłe znaczenie dla przedsiębiorstw przemysłowych i kolejnictwa posiada prawidłowa ewidencja urządzeń technicznych, całego inwentarza i materiałów. Organizacje partyjne powinny udzielać tej kwestii wiele uwagi. Tam, gdzie brak normalnej ewidencji, nieuchronne jest poderwanie planów wytwórczych. Zaniedbanie w ewidencji nie pozwala na wykorzystanie zasobów danego przedsiębiorstwa i zapewnienie nieprzerwanej pracy w wytwórczości.

Materiałne wartości, w które zaopatrzone są obficie nasze zakłady przemysłowe, fabryki, koleje żelazne, statki i okręty, powinny być utrzymane we wzorowym stanie.

Obowiązkiem kierowników przedsiębiorstw jest strzec jak oka w głowie wszystkich powierzonych im urządzeń technicznych, nie dopuszczać do ich niszczenia, dokonywać we właściwym czasie solidnego remontu instalacji technicznych, gmachów i budowli, aby uniknąć przedwczesnego ich zużycia.

Uchwały konferencji partyjnej żądają likwidacji antypaństwowej praktyki, która znajduje swój wyraz w sprzedawaniu osobom i instytucjom postronnym tak zwanego demontowanego i zbytecznego sprzętu technicznego i wszelkiego rodzaju materiałów. Taka praktyka nie może być nazwana inaczej, jak trwonieniem własności socjalistycznej.

Konferencja wysunęła jako zadanie pierwszorzędnej wagi — zaprowadzenie i systematyczne utrzymywanie czystości i elementarnego porządku w przedsiębiorstwach. Sprawa ta nie cierpi zwłoki. Nie do pomyślenia jest normalna praca tam, gdzie zagnieździł się brud, gdzie panuje rozlazłość, brak dyscypliny. Bez elementarnej kultury w przedsiębiorstwie prze-

myślowym nie można zapewnić dalszego rozwoju naszego przemysłu i transportu.

Brak planowości i «szturmowe» metody pracy obce są charakterowi naszej planowej, socjalistycznej gospodarki. Praca zorganizowana po bolszewicku wymaga codziennego wykonywania programu wytwórczego przez każdy zakład przemysłowy, każdą fabrykę, każdą kopalnię, każdą linię kolejową — zgodnie z zawczasu opracowanym planem. Dla państwa nie jest bynajmniej rzeczą obojętną, jak wykonany jest plan przez to lub inne przedsiębiorstwo: czy wykonywany jest on systematycznie, dzień w dzień, czy też dorywczo, metodą «szturmowania» w końcu miesiąca, kwartału, roku. Nierównomierne wytwarzanie zakłóca porządek w pracy przedsiębiorstwa, wywołuje postoje urządzeń technicznych, prowadzi do niedostatecznego wykorzystania potencjałów wytwórczych, wywołuje tzw. «brak» i sprowadza w konsekwencji nadmierne wydatki spowodowane przez pracę nadliczbową, utrzymuje zakład przemysłowy w stanie gorączkowości i grozi poderwaniem wykonania planu państwowego.

Systematyczne wykonywanie planów państwowych, rytmiczność w pracy przedsiębiorstwa możliwe są jedynie pod warunkiem najsurowszego przestrzegania dyscypliny w procesie technologicznym. Inaczej nie można zapewnić produkcji wysokiej jakości, odpowiadającej określonym standartom. Wszystko to powinny mieć na uwadze organizacje partyjne, kontrolując przestrzeganie dyscypliny technologicznej.

Ogromne zadania wysunęła XVIII konferencja przed komisariatami ludowymi i organizacjami partyjnymi w dziedzinie udoskonalenia techniki, postępu myśli technicznej, wprowadzania do produkcji w przyspieszonym tempie nowych wzorów techniki. Niedocenianie nowej techniki, opieszałość przy wprowadzaniu jej do procesu wytwórczego konferencja oceniła jako «chwostyzm» (wleczenie się w ogonie) i oportunizm, który prowadzi w praktyce do poderwania potęgi obronnej naszego kraju.

«Bolszewik — mówił tow. Malenkov — powinien być nieugiętym bojownikiem w walce przeciwko rutynie w kwestiach nowej techniki, nowej produkcji, nowych metod wytwarzania. Należy wpajać naszym pracownikom zamiłowanie do opanowywania techniki, wysuwać na wyższe stanowiska takich ludzi, którzy zdolni są do osiadłania techniki, gdyż technika bez ludzi — to niepotrzebne rupiecie. Bolszewikiem, rewolucjonistą w technice, w gospodarce jest ten, kto umie łać przestarzałe tradycje, zastępować je nowymi i posuwać się naprzód. Tego uczy nas towarzysza Stalin».

Polepszenie pracy przedsiębiorstw osiągamy przez obniżkę kosztów własnych produkcji, utrwalenie zasady opłacalności gospodarczej, likwidację wszelkiego marnotrawstwa. Sto-

pień urzeczywistnienia tych zadań określa jakość pracy każdego przedsiębiorstwa, fabryki, zakładu przemysłowego, warsztatu. Przedsiębiorstwo nie może stać się przodującym, jeśli jego kierownicy nie stosują zasady opłacalności gospodarczej, jeśli nie walczą przeciw złej gospodarce, nie obniżają kosztów własnych produkcji. Uchwały konferencji partyjnej wymagają nieugiętego wykonywania planu w dziedzinie obniżki kosztów własnych.

Socjalistyczna zasada wynagradzania według pracy winna być konsekwentnie przeprowadzana przy stosowaniu polityki płacy zarobkowej.

«Następnie, jest rzeczą konieczną — mówi rezolucja konferencji partyjnej — *by w dziedzinie płacy zarobkowej przeprowadzić ściśle i konsekwentnie zasadę materialnego zachęcania tych, co dobrze pracują. Zasada ta winna być urzeczywistniana w postaci płacy akordowej dla robotników, systemu premiowania kierowniczych pracowników i w postaci lepszego opłacania pracy wykwalifikowanej w porównaniu z pracą niewykwalifikowaną*».

Konferencja domaga się ostatecznego zlikwidowania zgniłej praktyki zrównania w dziedzinie płacy zarobkowej oraz dopięcia tego, aby praca akordowa i system premiowania stały się rzeczywistymi dźwigniami w walce o podwyższenie wydajności pracy, o realizację planów gospodarstwa narodowego.

Środki podjęte przez partię i rząd umożliwiły rzeczywiste wzmocnienie dyscypliny w pracy. Jednak wagarowanie («proguły») i samowolne porzucanie pracy w przedsiębiorstwach nie zostały jeszcze zlikwidowane. Doprowadzić tę sprawę do końca, zlikwidować wagary i niestawianie się do pracy, osiągnąć jak najściślejsze przestrzeganie dyscypliny w pracy przemysłu i transportu — oto jedno z najważniejszych codziennych zadań komisariatów ludowych, kierowników przedsiębiorstw i organizacji partyjnych.

Wiele uwagi poświęciła XVIII konferencja organizacyjnym zadaniom organizacji partyjnych w dziedzinie przemysłu i transportu. Powzięto ważną uchwałę, aby w miastach, obwodach, krajach i republikach o rozwiniętym przemyśle było kilku sekretarzy komitetów miejskich, obwodowych, krajowych, KC partii komunistycznych republik związkowych — specjalnie do spraw przemysłu, odpowiednio do podstawowych gałęzi przemysłu, a gdzie zajdzie potrzeba, wyznaczyć również sekretarzy dla transportu kolejowego i wodnego.

Sekretarze ci powinni wnikać w istotę pracy przedsiębiorstw przemysłowych, walczyć o likwidację braków, które przeszkadzają produkcji, śledzić pracę przemysłu i transportu i sprawdzić, jak wykonywane są tam plany i uchwały partii.

XVIII konferencja WKP(b) zobowiązała organizacje partyjne,

by udzielały więcej uwagi sprawie doboru kadrów zatrudnionych w przemyśle i w transporcie, zobowiązała je do badania i dokładnego zapoznawania się z gospodarczymi i inżyniersko-technicznymi pracownikami w przedsiębiorstwach przemysłowych i na kolei. Konferencja wskazała na to, że należy śmiało wciągać do kierownictwa przedsiębiorstwami pracowników zdolnych, posiadających inicjatywę, umiejących organizować żywą pracę; należy wysuwać na kierownicze stanowiska nie tylko partyjnych, lecz i niepartyjnych bolszewików. Jednocześnie trzeba stawiać we właściwym czasie sprawę usuwania z pracy niezdatnych, słabych, pozbawionych woli pracowników, usuwania gadułów niezdolnych do pracy praktycznej.

Wydziały polityczne na transporcie kolejowym i wodnym były dotąd oderwane od terytorialnych organizacji partyjnych. Obecnie położono temu kres: na przyszłość wydziały polityczne, zgodnie z uchwałą konferencji, będą podlegały komitetom obwodowym i miejskim partii, które mają za obowiązek przekształcenie wydziałów politycznych w bojowe organy partii, zdolne do polepszenia pracy w transporcie.

Przywraca się znaczenie aktywów wytwórczo-gospodarczych w przedsiębiorstwach i w komisariatach ludowych. W swoim czasie aktywy te działy wiele dla wykonania planów wytwórczych, dla likwidacji niedociągnięć. Ale ostatnio znaczenie tych aktywów osłabło. XVIII konferencja podkreśliła konieczność regularnego zwoływania aktywów w komisariacie ludowym, zarządzie głównym, na kolei, w zakładzie przemysłowym, kopalni.

Ruch stachanowski odegrał poważną rolę w walce o podniesienie wydajności pracy, o organizację kulturalnych metod pracy fabrycznej. Ruch ten należy również i nadal ze wszech miar rozwijać, skierowując inicjatywę stachanowców w stronę rozwiązywania najważniejszych zagadnień produkcji, w stronę dopingowania pozostających w tyle odcinków wytwórczości.

XVIII konferencja partyjna stwierdziła, że w obecnej sytuacji międzynarodowej przed przemysłem naszym, przed wszystkimi jego gałęziami stoją niezwykle odpowiedzialne zadania. Przemysł socjalistyczny przebudowany na nowej współczesnej podstawie technicznej, zabezpieczony we własne źródła wszelkiego rodzaju surowców może i powinien pracować w sposób wybitnie zorganizowany, maksymalnie wydajny. Konferencja dała gospodarczym i partyjnym kierownikom bojową dyrektywę: *«...doprowadzić do tego, aby w roku 1941 nie było już ani w jednym obwodzie, ani w jednym mieście lub ośrodku przemysłowym ani jednego pozostającego w tyle przedsiębiorstwa»* (podkreślenie nasze. — Red.). Wszystkie zakłady przemysłowe, fabryki, koleje obowiązane są wykonywać plan.

«Bolszewik winien wyróżniać się nieprzejednaniem wobec braków, wymagalnością w stosunku do samego siebie, w stosunku

do całej swej pracy. Tego uczy nas towarzysz Stalin» — powiedział w swym referacie tow. Malenkov.

Rezolucja konferencji z całą bolszewicką ostrością ostrzega przed samochwalstwem i nastrojami uspokojenia, przed «upajaniem się» sukcesami.

«Wielkie sukcesy osiągnął nasz kraj w budownictwie ekonomicznym i kulturalnym. Ale nie należy wpadać w pychę i zadowolniać się tymi sukcesami. Największym niebezpieczeństwem byłoby spoczywać na laurach i poprzestawać na tym, co zostało już osiągnięte. Byłoby to katastrofą dla naszej sprawy. Mamy jeszcze wiele poważnych braków. Tolerancja wobec braków w pracy przemysłu i transportu jest niezwykle niebezpieczna i szkodliwa.

XVIII Wszechzwiązkowa Konferencja WKP(b) wyraża swe przekonanie, że nasze organizacje partyjne i wszyscy pracownicy na kierowniczych stanowiskach w przemyśle i transporcie z całą bolszewicką uporczywością wezmą się za natychmiastową likwidację braków w pracy przemysłu i transporcie, gruntownie polepszą swą pracę w tej dziedzinie i mobilizując ogół robotników, pracowników, inżynierów i techników wokół uchwał XVIII Konferencji, osiągną w najbliższym już czasie — na gruncie wykonania tych uchwał — nowe decydujące zwycięstwa w dziedzinie przemysłu i transportu socjalistycznego» — mówi rezolucja XVIII konferencji partyjnej.

* * *

Następnym punktem porządku dziennego konferencji był referat tow. Wozniesińskiego — «Gospodarcze wyniki 1940 roku i plan rozwoju gospodarstwa narodowego ZSRR na rok 1941».

Prawa, które rządzą rozwojem reprodukcji socjalistycznej, są biegunowo sprzeczne z prawami rządzącymi ekonomiką w krajach kapitalistycznych. Nasze gospodarstwo narodowe, mówił tow. Wozniesiński, rozwija się planowo, według zasad rozszerzonej reprodukcji socjalistycznej, która oznacza przede wszystkim systematyczny wzrost wszystkich gałęzi gospodarstwa narodowego. Rozszerzona reprodukcja socjalistyczna oznacza nieprzerwany wzrost nagromadzania socjalistycznego. Świadczą o tym poglądowo sumy inwestycji kapitałnych w gospodarstwie narodowym. Trzecią niezmiernie ważną cechą rozszerzonej reprodukcji socjalistycznej jest stałe podnoszenie się poziomu materialnego mas pracujących, wzrost ich spożycia.

Gospodarstwo narodowe ZSRR rozwijało się w r. 1940 podobnie jak w latach ubiegłych po linii wstępującej. Nie mogły powstrzymać tego ruchu progresywnego ani kryzysy ekonomiczne w krajach kapitalistycznych, ani druga wojna imperialistyczna. Radziecka ekonomika nie podlega paroksyzmom febrzy, na którą cierpi gospodarka kapitalistyczna, zwłaszcza w czasie kryzysów i wojen.

Gospodarstwo narodowe ZSRR, rozwijając się w warunkach otoczenia kapitalistycznego, musi jednak liczyć się z tym, co zachodzi po drugiej stronie naszych granic, jakie dokonują się tam zmiany pod względem techniczno-ekonomicznym, w dziedzinie produkcji motorów, które odgrywają doniosłą rolę zarówno w walkach powietrznych jak i lądowych.

Walka o motor, o polepszenie jego jakości stanowi jedną z podstawowych cech rozwoju myśli technicznej w krajach kapitalistycznych. Wszystko to nakazuje nam nieustanną troskę o dalsze wyposażenie naszego gospodarstwa w przodującą technikę.

Współczesna wojna imperialistyczna jest również w znacznym stopniu wojną *rezerw* — surowcowych, opałowych, metalowych i wytwórczych.

«Związek Radziecki — mówił w swym referacie tow. Wozniesieński — nie może nie uwzględniać tych techniczno-ekonomicznych i innych właściwości współczesnej wojny i podejmuje kroki, by wyposażyć swe gospodarstwo narodowe w przodującą technikę i w ogóle trzymać kraj w stanie należytej gotowości».

Nasze gospodarstwo narodowe, które rozwija się według praw planowej i rozszerzonej reprodukcji — co oznacza przede wszystkim systematyczny wzrost produkcji we wszystkich gałęziach przemysłu — wolne jest od kryzysów, bezrobocia, anarchii w produkcji. Wszystko to zapewnia naszemu gospodarstwu narodowemu tak szybkie tempo rozwoju jakie nie do pomyślenia jest w jakimkolwiek kraju świata kapitalistycznego.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki poziom produkcji przemysłowej w roku 1940 wzrósł w porównaniu z 1929 rokiem zaledwie o 11⁰%. Natomiast poziom produkcji ZSRR wzrósł w roku 1940 o 434⁰% w porównaniu z 1929 rokiem. A jednak, pomimo tak szybkiego posuwania się naprzód naszego gospodarstwa narodowego pozostajemy w tyle za Stanami Zjednoczonymi pod względem ekonomicznym, tj. pod względem rozmiaru produkcji przemysłowej na głowę ludności, zwłaszcza w tak niezmiernie ważnych gałęziach produkcji, jak stal, węgiel, energia elektryczna.

Należy mieć na uwadze, że to pozostawanie w tyle pod względem ekonomicznym jest wynikiem wiekowego historycznego zacofania naszej ojczyzny. Od 1929 roku do 1940 roku kraj nasz dokonał kolosalnego skoku naprzód, ale nie mógł jeszcze zlikwidować tego pozostawania w tyle pod względem ekonomicznym w stosunku do głównych krajów kapitalistycznych.

22 lutego r. b. opublikowana została historyczna uchwała KC WKP(b) i Rady Komisarzy Ludowych ZSRR: opierając się na uchwałach XVIII zjazdu WKP(b), poleca się Państwowej Komisji Planowania (Gosplan) «przystąpić do opracowania

generalnego planu gospodarczego ZSRR na lat piętnaście, mającego na celu rozwiązanie zadania — prześcignąć główne kraje kapitalistyczne pod względem produkcji na głowę ludności, tj. produkcji surówki żelaza, stali, paliwa, energii elektrycznej, maszyn i innych środków produkcji i przedmiotów spożycia». Uchwała wskazuje na to, że wznosimy się na nowy, wyższy szczebel naszej wszechświatowej walki historycznej o komunizm, wkraczamy w nowy etap współzawodnictwa ekonomicznego z kapitalizmem.

W 1940 roku gospodarstwo narodowe ZSRR posunęło się znacznie naprzód na drodze rozwiązania zadań, postawionych przez trzeci plan pięcioletni, uchwalony na XVIII zjeździe WKP(b).

Plan rozwoju gospodarstwa narodowego na 1941 r. zaakceptowany przez XVIII Wszechzwiązkową Konferencję WKP(b) wysuwa istotnie kolosalne zadania. Wykonanie tego planu będzie oznaczało nowy potężny wzrost przemysłu socjalistycznego i całego gospodarstwa narodowego ZSRR, będzie poważnym krokiem naprzód w dziedzinie rozwiązania podstawowego zadania ekonomicznego ZSRR.

Plan gospodarstwa narodowego na rok 1941 stawia sobie w swym założeniu następujące podstawowe zadania: 1) utrwalić samodzielność i niezależność gospodarstwa narodowego od otoczenia kapitalistycznego, uniezależnić się od gospodarstwa kapitalistycznego, szczególnie w metalurgii i budownictwie maszyn; 2) rozwiązać wszelkimi siłami produkcję socjalistyczną we wszystkich gałęziach gospodarstwa narodowego; 3) nie dopuścić do dysproporcji w gospodarstwie narodowym i zapobiec możliwości wyrwy przez zwiększenie starych rezerw państwowych i tworzenie nowych.

Ogólną produkcję przemysłu ZSRR na rok 1941 należy podnieść do 162 miliardów rubli, tj. zwiększyć w porównaniu z 1940 rokiem o 17—18⁰/₀; produkcja surówki żelaza ma być podniesiona do 18 milionów ton, stali — do 22,4 miliona ton i żelaza walcowanego — do 15,8 miliona ton; wydobyć węgla — do 191 miliona ton; ropy naftowej z gazami — do 38 milionów ton. Znaczne zwiększenie wytwórczości planowane jest również i w innych gałęziach produkcji.

Plan na rok 1941 przewiduje zwiększenie środków produkcji o 23,5⁰/₀ i produkcji przedmiotów spożycia — o 9⁰/₀. Wysokie tempo wzrostu produkcji surówki żelaza, stali, metali kolorowych, węgla, ropy naftowej, maksymalny rozwój wszystkich działów budownictwa maszyn, na podstawie planu 1941 r. — wszystko to uwarunkowane jest koniecznością wzmacniania wszystkimi siłami ekonomicznej i obronnej potęgi kraju socjalizmu.

W dziedzinie gospodarki rolnej plan 1941 r. przewiduje dalszy wzrost urodzajności, wzrost hodowli bydła w kółchozach. Ogólna produkcja upraw zbożowych winna wynosić w

1941 r. około 7.900 milionów pudów, przy czym przewidziany jest znaczny wzrost produkcji zbożowej w okręgach południowo-wschodnich i wschodnich.

W dziedzinie budownictwa kapitalnego planowane są inwestycje w wysokości 57 miliardów rubli.

W planie prac kapitalnych na rok 1941 przewiduje się budownictwo 2.213 nowych przedsiębiorstw, rozszerzenie i rekonstrukcję 742 funkcjonujących już przedsiębiorstw przemysłowych. 1576 nowych przedsiębiorstw przemysłowych ma być uruchomionych całkowicie lub częściowo.

Przypomnimy dla porównania, że w pierwszej pięciolatce gospodarstwo narodowe otrzymało 1500 nowych przedsiębiorstw przemysłowych. W ten sposób w ciągu jednego roku 1941 puści się w ruch więcej nowych przedsiębiorstw przemysłowych, niż to miało miejsce w ciągu całej pierwszej pięciolatki.

Co się tyczy rozbudowy przemysłu elektrycznego, to zgodnie z planem 1941 r. ma być oddanych do eksploatacji 1750 tys. kilowat energii. Dla porównania warto zaznaczyć, że zgodnie z planem GOELRO (Państwowy plan elektryfikacji Rosji), który Lenin nazywał drugim programem partii, projektowano w ciągu 10—15 lat zbudować 30 okręgowych stacji elektrycznych, o ogólnej sile 1500 tysięcy kilowat. Ten leninowski plan elektryfikacji został wykonany przedterminowo. Obecnie zaś w ciągu *jednego* roku mamy oddać do eksploatacji więcej energii na stacjach elektrycznych, niż to przewidywał plan GOELRO na okres 10—15-letni. Tak oto wyrosła w latach stalinowskich pięciolatek skala naszej walki, nasze możliwości i zadania!

W referacie tow. Wozniesieńskiego znajdujemy jaskrawe przykłady tych możliwości i rezerw, które pozwalają nam polepszyć i zrationalizować pracę przemysłu, przyspieszyć tempo budownictwa. «Plan robót kapitalnych na rok 1941 wychodzi z założenia, że organizacje partyjne i gospodarcze, zajęte budownictwem, powinny usunąć najłabsze strony w tej pracy. Towarzysz Stalin wskazywał nam niejednokrotnie, że plany nie mogą nosić charakteru statycznego, tj. opierać się tylko na zdobytych już rezerwach. Trudno wyobrazić sobie gorszego «działacza», jak ten, który wlecze się za życiem zamiast organizować je i posuwać się naprzód. Nasze plany powinny być dynamiczne, aby ludzie, którzy urzeczywistniają je, pchali sprawę naprzód, przezwyciężając trudności i potęgując nasze możliwości» — mówił w swym referacie tow. Wozniesieński.

Niezwykle ważnym czynnikiem w walce o urzeczywistnienie planu 1941 roku jest sprawdzanie i kontrola wykonania uchwalonego planu — w każdym przedsiębiorstwie, w każdym kółchozie i sowchozie, w każdej organizacji partyjnej. Kontrola

wykonania jest potężnym narzędziem w walce przeciw rutynie, biurokracyzmowi, jest gwarancją szybkiego posuwania się naszego kraju na drodze ku komunizmowi.

* * *

Prace XVIII Konferencji WKP(b) nosiły wybitnie rzeczowy charakter. Stanowiły one wzór prawdziwie bolszewickiej krytyki i samokrytyki.

Wszystkie referaty i przemówienia były nacechowane jednością bolszewickiej woli i myśli, zdecydowaniem, aby śmiało ujawniać braki, aby szybciej likwidować je, aby bezlitośnie usuwać wszystko, co przeszkadza wzmocnieniu ekonomicznej i militarnej potęgi ZSRR i tym samym hamuje budownictwo komunizmu.

Partia jest surowa w stosunku do każdego pracownika partyjnego i państwowego. Ocenia ona każdego nie według słów i deklaracji, lecz według wyników jego pracy. Partia wysoko ceni ludzi z inicjatywą, śmiałych, zdecydowanych, zdolnych do opanowywania nauki, techniki pracy, ludzi którym nie straszą trudności i przeszkody. Ale partia nie znosi gadulstwa, mydlenia oczu, niedołęstwa, bierności. Nie ma pobłażania dla tych, którzy nie walczą aktywnie o urzeczywistnienie dyrektyw partyjnych, nie opanowują bolszewickiego stylu pracy. Dopiero co zakończona konferencja powiedziała to z całą bolszewicką otwartością.

Kierując się Ustawą WKP(b), konferencja wykluczyła ze składu KC WKP(b) i Centralnej Komisji Rewizyjnej poszczególnych członków i kandydatów do KC WKP(b) i Komisji Rewizyjnej, którzy nie wykonali swych obowiązków. Jednocześnie konferencja uzupełniła skład KC Partii i Centralnej Komisji Rewizyjnej nowymi pracownikami, którzy wyrosli, wykazali się w pracy w ostatnim czasie.

XVIII Konferencja wykazała jedność partii, jej zwanie wokół leninowsko-stalinowskiego Komitetu Centralnego. W powziętych jednogłośnie uchwałach XVIII Konferencja dała bojowy program bolszewickiego działania na znaczny okres czasu. Konsekwentna realizacja uchwał konferencji powinna zapewnić wykonanie planu trzeciej stalinowskiej pięcioletki, stworzyć niezbędne przesłanki materialne do urzeczywistnienia przyszłego generalnego piętnastoletniego planu rozwoju gospodarki narodowej ZSRR.

Plenum Komitetu Centralnego Partii zwołane 21 lutego zatwierdziło uchwały XVIII Konferencji WKP(b). Po wysłuchaniu referatu towarzysza Mołotowa, plenum uchwaliło rezolucję o wprowadzeniu systemu premiowania kierowniczych pracowników gospodarczych i inżynierjno-technicznych w przemyśle i na transporcie — za stu procentowe wykonanie i wykonanie

z nadwyżką planów gospodarczych. Postanowiono opracować na podstawie uchwalonej rezolucji konkretne wnioski o premiach dla każdej poszczególnej gałęzi przemysłu i transportu.

Plenum uzupełniło skład Biura Politycznego KC WKP(b), wybierając na kandydatów do Biura Politycznego tt. Woznieńskiego, Szczerbakowa i Malenkowa.

Uchwały konferencji — to bojowy program działania dla wszystkich organizacji partyjnych, dla wszystkich bolszewików partyjnych i niepartyjnych, program walki dla wszystkich ludzi sowieckich.

Obowiązkiem partyjnych organizacji jest dopiąć tego, aby masy uświadomiły sobie całą doniosłość uchwał XVIII Konferencji WKP(b) dla osiągnięcia nowych sukcesów; obowiązkiem partyjnych organizacji jest mobilizacja wszystkich sił mas pracujących w imię wykonania uchwał partii.

Niewzruszona jedność moralno-polityczna potężnego narodu radzieckiego, który mocno zwarł swe szeregi wokół partii Lenina—Stalina, wokół wielkiego i genialnego wodza narodów towarzysza Stalina, stanowi gwarancję, że uchwały XVIII Wszechzwiązkowej Konferencji WKP(b) będą wcielone w życie, że nasza wielka ojczyzna kroczyć będzie ku nowym decydującym zwycięstwom komunizmu.

ŚWIĘTO MYŚLI TWÓRCZEJ

Przysądzenie premii im. Stalina za wybitne osiągnięcia na polu literatury, sztuki i nauki w ciągu ostatnich 6—7 lat — to prawdziwe święto socjalistycznej myśli twórczej, to tryumf kultury radzieckiej, święto całego radzieckiego narodu. Cały kraj radośnie wita laureatów stalinowskich i wyraża im gorące uznanie, słusznie bowiem ocenia ich sukcesy twórcze, jako zdobycz całego narodu, jako świadectwo jego kolosalnego wzrostu kulturalnego, jako jeszcze jeden dowód niebываłych możliwości rozwoju i doskonalenia się człowieka w społeczeństwie socjalistycznym. Coraz to większa ilość zasługujących na premię stalinowską dzieł literatury i sztuki, jak również odkryć naukowych i technicznych, raduje cały nasz kraj i budzi w masach pracujących uczucie usprawiedliwionej dumy, dowodzi bowiem, jak olbrzymią drogę przeszliśmy w ciągu dwóch z górą dziesięcioleci budownictwa socjalistycznego, świadczy o potężnym wzroście twórczych sił wyzwolonego narodu, o dokonanej w naszym kraju rewolucji kulturalnej.

Przyznanie premii stalinowskich było jak gdyby imponującym przeglądem sukcesów naszej nauki, techniki, teatru, kinematografu, malarstwa, baletu, architektury, rzeźby, prozy, poezji, dramaturgii. Widzimy tu uczonych, którzy dokonali zdumiewających odkryć, inżynierów i techników, co swoimi wynalazkami wzbogacili przemysłową podstawę kraju i jego siłę obronną, lekarzy, fizyków i biologów, działaczy wszelkich dziedzin wiedzy i sztuki. Wielu spośród nich cieszy się zasłużoną sławą nie tylko w Związku Radzieckim, ale i na całym świecie.

Świetny fizyk P. L. Kapica, który dokonał nieocenionej pracy w dziedzinie wytwarzania niskiej temperatury i skonstruował turbodetander dla rozrzedzenia powietrza; generał-major P. A. Gelwich, zasłużony szczególnie w dziedzinie teorii artylerii; wybitni matematycy I. M. Winogradow i N. I. Muscheliszwili; znakomity uczone, twórca nowoczesnej konstrukcji naszych okrętów, A. N. Kryłow i wybitny uczone-budowniczy okrętów J. A. Szymański; W. Z. Własow, którego prace o cienkościennych sworzniach elastycznych otwierają nowe perspektywy w dziedzinie naszego budownictwa; N. N. Siemionow, który w nowym świetle przedstawił teorię spalania; A. N. Bach, znany ze swych świetnych prac biochemicznych; T. D. Łysienko, którego odkrycia na polu nauk rolniczych zdobyły sobie już

powszechne uznanie i znalazły szerokie zastosowanie na kolchozowych obszarach naszej ojczyzny; znakomity agrochemik D. N. Prianisznikow; uczeni, którzy pchnęli naprzód światową medycynę — A. A. Bogomolec i chirurg N. N. Burdenko: pierwszy z nich poświęcił swe prace przedłużeniu życia ludzkiego, drugi — założył podwaliny neurochirurgii i wraz ze swym kolektywem ocalił życie tysiącom rannych bojowników Czerwonej Armii podczas wojny z białofinami; kolektyw E. N. Pawłowskiego, który z poświęceniem dokonał bohaterskiej pracy, by odkryć radykalny sposób walki z encefalitem tajgowym, i W. P. Fiłatow, który dzięki opracowanej przezeń metodzie przeszczepiania rogówki osiągnął zdumiewające rezultaty i przywrócił wzrok tysiącom ociemniałych; znakomici geolodzy W. A. Obruczew, L. W. Pustowałow i W. M. Sieniukow, owocnie pracujący nad odkryciem i wyzyskaniem bogactw kopalnych naszego kraju; wynalazcy i konstruktorzy F. W. Tokariew, N. N. Polikarpow, W. A. Diegtiarijew, W. G. Grabin, M. E. Berezin, W. J. Klimow, A. A. Mikulin, B. G. Szpitalny, A. S. Jakowlew i wielu, wielu innych, dzięki którym uzbrojenie naszej Czerwonej Armii i Marynarki nie ustępuje nikomu na całym świecie i kraj nasz wyposażony jest w pierwszorzędą broń wszelkiego rodzaju. Wszysey ci radzieccy uczeni i wynalazcy — oraz wielu jeszcze innych, nie wymienionych tu przez nas, otrzymali premie im. towarzysza Stalina za swoją doskonałą pracę, którą z poświęceniem wykonywali dla dobra narodu, dla szczęścia i rozkwitu Kraju Rad.

Żaden inny kraj nie może popisać się tak płodną myślą twórczą, taką ilością talentów, takim bujnym wzrostem twórczości we wszystkich dziedzinach życia, takim szybkim rozwojem kulturalnym mas. Aby ocenić zdobycze naszej inteligencji artystycznej i jej obecne położenie, nie mamy potrzeby sięgać w historyczną przeszłość, porównywać stan naszej kultury z kulturą Rosji przedrewolucyjnej, zacofanej i pozbawionej praw, żyjącej pod jarzmem carskiego despotyzmu. Nie mogą się z nami porównać kraje zachodnie, chełpiące się swą demokracją i wielowiekową kulturą, ponieważ we wszystkich krajach, za wyjątkiem naszego, panuje jeszcze władza pieniądza, władza pełnej kiesy, i wszędzie jeszcze kapitalizm gnębi, uciska i dusi prawdziwe talenty.

Spełniło się proroctwo Bielińskiego, który w 1840 r. przewidział, iż Rosja za sto lat będzie krajem «przodującym cywilizowanemu światu, stwarzającym prawa w dziedzinie nauki i sztuki, przyjmującym pełne głębokiej czci hołdy całej oświeczonej ludzkości».

Inteligencja w naszym kraju jak najściślej związana jest z ludem — z niego bowiem wyrosła i z niego bez ustanku czerpie nowe siły. Korzenie jej głęboko wrastają w sam gąszcz mas ludowych.

Szerokie pole niczym nie skrepowanej działalności otwiera się przed wszelkimi talentami. Poświęca się im u nas wyjątkowo wiele uwagi i udziela wszelkiego rodzaju zachęty — otacza je troska całego narodu, piastuje i wychowuje partia komunistyczna, nagradza według zasług rząd radziecki. Gdzież to jeszcze, w jakim kraju twórcza działalność dla dobra narodu jest tak wysoko ceniona?

Właśnie dlatego rozwój kultury radzieckiej kroczy naprzód zaiste siedmiomilowymi krokami. W atmosferze szczerego zainteresowania ze strony społeczeństwa, otoczone troską i miłością całego narodu, partii i wodza narodów — towarzysza Stalina, siły twórcze naszego kraju rozkwitają, jak rośliny pod wiosennym słońcem. I zachodzi to w tym samym czasie, kiedy na całym świecie toczy się druga wojna imperialistyczna i w ogniu jej giną setki tysięcy ludzi, giną bezcenne owoce ich pracy, arcydzieła sztuki i nauki.

Wśród poetów, dramaturgów teatralnych i kinowych, zaszczyconych premią stalinowską, spotykamy ludzi różnych pokoleń, różnych narodowości. Każdy z nich przeszedł swoją własną drogę życia. Widzimy tu takich pisarzy, jak Aleksiej Tołstoj, Sergiejew-Censki, Konstanty Treniew, Mikołaj Asiejew, Janko Kupała, Paweł Tyczyna — których pierwsze kroki na polu literatury datują się na długo jeszcze przed naszą rewolucją. W chwili, gdy rozpoczęła się rewolucja, niektórzy z nich mieli już wyrobione imię literackie i skryształizowane poglądy twórcze. Rewolucja proletariacka skierowała ich losy i drogi twórczości literackiej na nowe tory, wychowała ich w nowym duchu, zahartowała, uzbroiła, zespoliła z najistotniejszymi interesami mas ludowych, natchnęła do nowych czynów. Rewolucja socjalistyczna dała im nowe życie twórcze.

Inni spośród laureatów stalinowskich, jak Michał Szołochow, P. Pawlenko, Nowikow-Priboj, Mikołaj Pogodin, należą do pokolenia pisarzy radzieckich, zrodzonych i wychowanych przez rewolucję, którzy od początku swej działalności brali żywy udział w założeniu podwalin i budowie pierwszych piętér gmachu naszej kultury: literatury, teatru i kinematografu.

Inni jeszcze spośród nich należą do najmłodszego zastępu naszych sił literackich, które wybiły się w ostatnich latach: M. Wirta, P. Nilin, S. Michałkow, A. Twardowski, A. Kapler, A. Kornijczuk, W. Sołowiow — imiona ich stały się znane dopiero w ciągu ostatnich 6—7 lat.

Wiele narodów naszego kraju, bratersko zjednoczonych w Związku Republik, reprezentowanych jest wśród stalinowskich laureatów przez swych wybitnych twórców. Najstarszy przedstawiciel poezji ludowej, słynny kazachski akyn Dżambuł Dżabajew, gruziński poeta Leonidze i prozaik Leo Kiaczeli, azerbajdżański poeta i dramaturg Samed Wurgun, ukraińscy dramaturdzy A. Kornijczuk i K. Krapiwia, poeta P. Tyczyna,

chluba poetów Białorusi — Janko Kupała — wszyscy ci pisarze, którzy wespół z rosyjskimi prozaikami, poetami i dramaturgami otrzymali premie stalinowskie, znamionują swymi osiągnięciami i zgodną pracą tryumf narodowej polityki partii Lenina — Stalina. Polityce tej zawdzięczamy rozkwit wszystkich narodów naszego kraju, budujących kulturę socjalistyczną z treści, narodową z formy.

Laureaci stalinowscy są autorami najrozmaitszych pod względem tematu i genre'u utworów. Powieści historyczne, jak «Piotr I» A. Tołstoja, «Obrona Sewastopola» Sergiejewa-Cenckiego, scenariusz «Aleksander Newski» P. Pawlenki, opiewające wielką przeszłość rosyjskiego narodu; «Cuszima» Nowikowa-Pruboja, jaskrawo malująca bohaterstwo ludu rosyjskiego i nieudolność jego przedrewolucyjnych władców; sztuka W. Sołowiowa «Feldmarszałek Kutuzow», przypominająca o świetnych kartach wojny narodowej przeciw najściu «dwunastu języków»; «Bohdan Chmielnicki» Kornijczuka — sztuka o tytanie ukraińskiego narodu; utwory o wodzach ludzkości — scenariusze A. Kaplera «Lenin w Rewolucji Październikowej», «Lenin w 1918 r.», poemat G. Leonidze «Dzieciństwo wodza», sztuka M. Pogodina «Człowiek z karabinem»; książki o wojnie domowej — sztuka K. Treniewa «Lubow' Jarowaja», epeja M. Szołochowa «Cichy Don», powieść M. Wirty «Samotność»; poemat M. Asiejewa o wielkim poecie współczesności, Włodzimierzu Majakowskim, pt. «Majakowski zaczyna się»; wiersze i pieśni Janka Kupały, P. Tyczyny, Dżambuła Dżabajewa, W. Lebidiewa-Kumacza, opiewające nasze cudowne życie; utwory, poświęcone życiu współczesnego człowieka radzieckiego: «Platon Kreczet» A. Kornijczuka, powieść Leona Kiaczeli «Gwadi Bigwa», scenariusz P. Nilina «Wielkie życie», poemat Twardowskiego «Ziemia Murawia», i wreszcie, wiersze S. Michałkowa dla dzieci, monografia I. Grabara o Repinie — wszystkie te utwory świadczą o ogromnej różnorodności tematów, idei, zainteresowań, o bogactwie duchowym naszej literatury i dramaturgii. Równocześnie łączy je wspólnota ideowa naszych pisarzy: głęboka miłość ojczyzny i narodu, gorący patriotyzm radziecki, usiłowanie zaspokojenia potrzeb milionowych rzesz czytelników radzieckich i tworzenia dla nich, a nie dla szczupłej garstki smakoszy literackich, gorące pragnienie wiernego odmalowania różnorodności naszego życia i przeszłości dziejowej, odtworzenia w literackich obrazach bohaterstwa narodu o socjalizm, utrwalenia dla współczesnych i dla potomności postaci wodzów narodu i czołowych szermierzy komunizmu oraz typowych postaci męźnych budowniczych socjalizmu.

Laureaci stalinowscy uważają swą pracę literacką za potężny środek wychowania komunistycznego i poczuwają się do odpowiedzialności za wspólną sprawę naszej rewolucji — stwo-

zenie nowego człowieka, oddanego narodowi i przepojonego socjalistyczną moralnością. Wszystko to dodaje sił naszym pisarzom, zachęca ich do uporczywej pracy, daje im natchnienie i pobudza do działalności twórczej.

Słowo pisarza — to potężna siła. Książki, sztuki, scenariusze filmowe, napisane z prawdziwym talentem i poświęcone głęboko odczuwanym przez masy tematami i zagadnieniom naszej epoki — utwory, oparte na istotnej znajomości życia narodu i jego serca — to potężny oręż w walce o komunizm.

Słowo pisarza kształtuje dusze ludzkie, koncentruje nagromadzone przez naród doświadczenie życiowe i społeczne i nadaje mu świadomy sens, rozpłomienia serca wołą walki o szczęście, wzbudza miłość ojczyzny, szacunek dla pracy i twórczości, wpaja nienawiść do ciemnych i ich moralności, do tkwiących w świadomości ludzkiej przeżytków niewolniczej przeszłości. Tym to celom służą dzieła naszej literatury i sztuki.

Premie stalinowskie, przyznane za najlepsze utwory naszej literatury w ciągu ostatnich 6—7 lat, pobudzają laureatów — jak i pozostałych pisarzy — do dalszego doskonalenia swej pracy twórczej, do nowych zdobyczy twórczych, do twórczego współzawodnictwa. Jakkolwiek osiągnięcia nasze są wielkie, bolszewicy nigdy nie byli skłonni do zarozumiałstwa, do poprzestawiania na osiągniętych już sukcesach, do spoczywania na laurach. Bolszewicy zawsze uważali to za godne potępienia. Naprzód, zawsze naprzód, myśleć, tworzyć, pracować, uczyć się, budować, walczyć w imię szczęścia narodu, w imię wyzwolenia ludzkości, w imię całkowitego zwycięstwa komunizmu. Jest to rękojmia dalszych sukcesów, rękojmia sławy i nieśmiertelności naszych trudów. Nie obniżać wymagań w stosunku do samego siebie, ale na odwrót wzmacniać je i bez ustanku uczyć się, dążyć do coraz większych i lepszych rezultatów. Dlatego też nie miałby racji ten, kto traktowałby przyznanie premii stalinowskich za ten czy ów utwór, jako uznanie bezwzględnej doskonałości tych utworów. Owszem, posiadając ważne i cenne dla nas walory, nie są one jednak pozbawione tych, czy innych, większych lub mniejszych usterek. Toteż analiza naszej literatury, między innymi i nagrodzonych utworów, ujawnienie zarówno lepszych ich stron, jak i niedostatków, jest absolutnie niezbędna, by literatura socjalistyczna mogła zwycięsko kroczyć naprzód. Zachęcie i aproba-cie winna zawsze towarzyszyć krytyczna ocena.

Literatura nasza jest najbardziej postępową i ideową na całym świecie. Jest potężna i bogata w talenty. O ile szkodliwe byłoby pomniejszać jej zasługi, być ślepym na jej nowatorstwo, na jej odkrycia artystyczne, na jej potężny, coraz to bardziej wzrastający wpływ na masy, o tyle też szkodliwe byłoby przesadnie ją wychwalać, zamykając oczy na jej braki.

Przyznanie premii stalinowskich szeregowi naszych braci po piórze zagrzewa wszystkich literatów, dowodząc im jeszcze raz, jaką troską otacza ich pracę i sukcesy twórcze partia, rząd, naród. Z całej duszy wieszujemy naszym laureatom, którym przypadł w udziale wielki zaszczyt otrzymania premij imienia najlepszego, najbardziej umiłowanego człowieka naszej epoki, wodza milionów, towarzysza Stalina. I zachęceni tym wielkim honorem z dziesięćkroć wzmoczoną siłą weźmiemy się do uporczywej pracy, do szczytnej pracy dla narodu, dla socjalizmu, dla potomności, dla zwycięstwa komunizmu i komunistycznej kultury.

MIECZYŚLAW JASTRUN

JAROSŁAW DĄBROWSKI

Pod płachtą łuny przez mrok dogorywającego Paryża
jedzie po raz ostatni Jarosław Dąbrowski.

Żałobny huk wystrzałów dniowi oczy wyżarł.

Na śmierć i życie:

dwie Francje, dwie Polski.

Przypadła do ziemi Warszawa.

Niech słyszy!

Krew zasypał śniegiem 63 —

Patrz: Sława w przestrzelonym hełmie, w styczniowej zamieci.

Jak gdyby Szopen dotknął umarłych klawiszy.

Parzą ręce dymiące lufy karabinów,

na rozżarzony kamień spływa noc błękitem.

O zęby szklanką dzwoni dreszcz. Krwią pachnie wino.

Sekwana pławi w mroku światła szkło rozbite.

Cień barykady

jak stulecie olbrzymiej

runął na bruk, podcięty błyskawicą salwy

Łuk tryumfalny, Nike Panteonu czymże przy niej,

o zmiążdżeni Wersalem — jutro tryumfalni!

Race ogni łukami gasną, bledną twarze zastygłe w krzyku,

sztandar w powietrzu rozdartym, jak bandaż na ranie —

Robotnik czarny od prochu, wsparty na jaszczyku,

zamknie twe oczy. Ślad jego rąk na powiekach zostanie.

Na Père-Lachaise

wśród niewiędnących grobów

drzewo wybucha, obłok odciska kształt swój w marmurze.

Tnąc pałeczkami z lodu

deszcz biegnie zdyszany jak dobosz,

i bez tchu — pada w dzikiej zieleni przy murze.

EMIL DZIEDZIC

DROGA

Wspomnienia

I

Chałupa babki stała na niewielkim pagóreczku przy drodze. Z jednej strony, zaraz pod oknem była obora i dołek z gnojówką — a z drugiej, mały zaniedbany sadek, w którym rosło kilkanaście zdziczałych jabłonek, jedna gruszka nazwana przez babkę «makówką», krzaki agrestu i pokrzyw. Sad ogrodzony był niskim chruścianym płotem. Gospodarstwo składało się z dwóch morgów ziemi, jednej krowy i prosięcia. Gdy był rok dobry, babka chowała jeszcze gęsi. Połowę chałupy zajmowała izba i komora, zaś drugą — stajnia, szopa i chlew na świnię i gęsi. Do stajni wchodziło się przez sień — przez sień wganiano krowę i wyrzucano gnój.

Taki rozkład, stan i porządek gospodarstwa babki zastała moja wczesna pamięć — i taki pozostawał przez długie lata dzieciństwa i pobytu na wychowaniu u babki.

Było to późną jesienią. Padał deszcz i na drodze było błoto, gęste i zimne. Matka trzymała mnie za rękę i szła tak prędko, że nie mogłem nadążyć. Co chwila powtarzała:

— Uwożoj, bo sie przewrócisz.

Pod moimi małymi bosymi stopami błoto mlaskało, jak przy mieszeniu ciasta. Matka była w butach z cholewami. Ja boso — nie miałem jeszcze butów. Prowadziła mnie do babki, gdzie miałem zostać na wychowaniu, a ona wyjeżdżała z drugim mężem na roboty, gdzieś do dalekiego tartaku.

Babka siedziała przy piecu i skrobała ziemniaki. Pod blachą palił się torf i śmierdziało w izbie — ale było ciepło.

— Pocałuj no babke w rękę — powiedziała matka.

Pocałowałem. Babka mnie pogłaskała i kazała stać przy piecu, żebym się zagrzał. Ręka babki była szorstka i czuć ją było ziemią.

— Zostaniesz tu z babką... Ino, żebyś słuchoł — mówiła mi matka.

Potem pocałowała mnie w usta, babkę w rękę i poszła. Gdy otwierała drzwi, powiedziała jeszcze jakimś zmienionym głosem.

— Ostajcie mi tu z bogiem...

— Z panem Jezusem... z panem Jezusem — odrzekła babka. Doskoczyłem do okna, podniosłem się na palcach i popatrzyłem. Matka przeszła powoli, twarz miała młodą, smutną i bladą. Jak brzezinowa kora. Spod czarnej w kwiaty chusteczki zwiisały jej dwa jasne i grube warkocze. Przeszła patrząc w błoto.

Za oknem wciąż padał deszcz. Siekl z ukosa i słyhać było jak dudni po ścianie. Po szybach spływały grube krople deszczu i rozplływały się dopiero przy ramie okna. Było mi smutno.

Odtąd nie widziałem jej z kilkanaście lat.

— I nimosz matki — powiedziała babka.

Potem wzięła z blachy pieczonego ziemniaka i poczęstowała mnie.

— Mosz. Zjdz. Weź se soli, jak lubisz. Jest haw w solniczce przy murku.

Babka była kobieciną średniego wzrostu, ruchliwą, o małych latających oczkach, gderliwa i chuda. Przy nosie miała dużą burą brodawkę. Potrafiła o jednym i tym samym mówić przez cały tydzień, aż do znudzenia. Czasem, gdy była dobra, wołała mnie do siebie, gładziła po włosach i mówiła cicho, jakby się bała, że ktoś podsłuchuje.

— Bidnyś ty — bidny... Sirota bidno. Zachciało sie matce zeniaczki, że zachciało. I po co ji to... po co? A teraz zostawiła dziecko i pojechała z chłopem. I tak, widzisz, żeby nie babka, to by ci przyszło krwawymi łzami płakać.

Było w tych słowach jakieś ciepło nieznanne mi przedtem, które długo, długo się czuło. I wtedy zaczynałem płakać. Babka głaskała mnie dalej i mówiła:

— Ano wypłacz sie... Ucz sie płakać. Jak będziesz duży, to sie doś napłaczes na swój los. Nimosz ani ojca, ani matki... bo co to tako matka... to cie ino bida czeko.

Płakałem długo i babka nie mogła mnie uciszyć. Widocznie rada była z mojego płaczu, bo gdy przyszedł sąsiad, to mówiła do niego:

— Hankurny ano jak i ojciec. Niech sie ta chowo z nami do czasu... a potym som se da radę.

Dobrze było w pierwszych miesiącach u babki. Jadło się lepiej niż u matki, chociaż jałowo, ale za to więcej. Co rano dostawałem garnuszek mleka «prosto od krowy», z pianą. Gdym pił, piana jakby syczała.

Miało się ku wiosnie, choć na polach leżał śnieg, choć jeszcze czasem z rana okna podmarzały i choć jeszcze ocisza stała przy ścianie. Ale babka mówiła, że ino patrzeć, jak wiosna przyjdzie.

Pamiętam, że w tym czasie przyniosła od sąsiadki niedużą beczkę po cemencie, wyścieliła ją słomą, ustawiła za łóżkiem przy ścianie, włożyła około dwudziestu gęsich jaj — i w końcu przyniosła gęś. Do mnie powiedziała:

— Chodź no tu. Patrz się, to mo być na twoji głowie. Ta małupa nie będzie chciała siedzieć na jajach. Trza ją pilnować i patrzeć, żeby jaja nie były na wirzku. Ino pilnuj, bo za darmo nie będziesz jod.

Gęś rzeczywiście nie chciała siedzieć na jajach. Ja miałem ją do tego zmusić. Siedziałem więc i stałem całymi dniami przy beczce i przyciskałem gęś rękami. Aż ręce bolały z tego trzymania.

Gdym tylko upatrzył, że babka wyszła z izby, puszczałem gęś, przyskakiwałem do okna i patrzyłem z radością, jak coraz mniej śniegu na polach, jak rosnący koło płotu bez zaczyna puszczać małe, szaro-zielone pępuszki, jak wróble całymi gromadami siadają na bzie, przeskakują z gałęzi na gałąź, ćwierkają głośno i pociesznie. Patrzyłem przyciskając nos do szyby i chciałoby się wyskoczyć bodaj na pogródkę i rzucić jaką grudką ziemi na wróble.

Ale jakby tak babka nadeszła...

Jednego razu patrzyłem właśnie na wróble. Wylazłem nawet kolanami na stół, żeby było lepiej. Wróble tak mnie zajęły, że zapomniałem na śmierć o babce i gęsi. Aż tu nagle spada mi coś twardego na plecy—i boli. Oglądałem się—babka z miotłą. Była wtedy zaczerwieniona, oddychała prędko, oczy jej błyszczały.

— Złaś — powiedziała ostro.

Zląłem i chciałem jak zwykle stanąć przy gęsi. Ale rozłoszczona babka złapała mnie za kołnierz, szarpnęła i pchnęła z całych sił w stronę pieca. Przywarłem do ściany. Babka porwała miotłę i zaczęła mnie walić. Biła na osłep — oczy, głowa, ręce, twarz. Nie zważała na nic. Tuliłem się jak mogłem, chowałem głowę, byłbym ścianę gryzł zębami lub zapadł się pod ziemię, gdyby tylko można było uniknąć uderzeń. Ale na nic. Miotła spadała raz po raz. Była zrobiona z brzeziny, a babka biła tym grubszym końcem. Krzyczałem, alem nie prosił. A babka biła i powtarzała:

— Jo ci nagonie rozumu z pięć do głowy.

Przestała gdym krzyknął:

— Bo mi krew z nosa idzie!

Nie skończyło się jednak na tym. Odłożyła miotłę, mnie znówu chwyciła za kołnierz i przyciągnęła do beczki z gęsią.

— Gęś stoi na jajach — krzyczała — a on ślipia do okna wywalo. Za co zrys! Pytom ci sie za co zrys? O, patrzcie sie ludzie, jaja zimniuteńkie. Niech mi ino przezięb, to cie nie chce widzieć w chałupie. I jak tu nie bić, boże miłosierny, jak tu nie bić. Ady lepi, żebyś pon bóg włożył dusze w stare wirzbe, jak w ciebie... O ty, ty, ty — i potrząsała mną, jak jabłónką przy trzęsieniu jabłek.

Tłumiłem płacz. Nie chciałem płakać. Nie mogłem się jednak powstrzymać. Coś się we mnie rwało, coś jakby się rozjaśniało

i kazało przypominać, że matka, jaka była to była, ale mnie tak nigdy nie szarpała, ani nie biła.

Trochę się uciszyłem, ale szloch wstrząsał mną całym. Gdy mnie babka pytała, czy będę jeszcze przez okno patrzył, nie odpowiedziałem. Coś mnie dusiło w krtani.

To było pierwsze bicie babki. Pierwsze, ale dobre i długo pamiętne. Odtąd zacząłem się zastanawiać, dlaczego dzieci, które znam, mają ojców i matki, chodzą z nimi w niedziele na gościniec patrzeć, jak jeżdżą samochody i «bicygle», kupują im na jarmarku w Wieliczce cukierki i ciasta, które nazywali «z dziurką» i ludzie jakoś inaczej do nich mówią, niż do mnie — a mnie jakby nikt nie widział, jakby mnie nikt nie znał. Inaczej też zaczynałem myśleć o tej chudej, gderliwej starowinie z latającymi oczkami, koło których było już dość sporo cienkich kreseczek. Nie myślałem o niej źle — ale nie myślałem też i dobrze; jedno wtedy zrozumiałem: moja babka lepiej lubiła i dbała o gęś niż o mnie.

A z tym nie mogłem się nijak pogodzić.

Dochodził mi szósty rok.

Szła wiosna. Na krzaku bzu przed oknem koło płotu pękały lepkawe pącze i wzywały z nich małe sercowate listki. Obok bzu rosła stara wierzba. Wierzba miała w pniu kilka dziur. Do jednej wróble znosiły trawę, żdźbła słomy i kurze pióra. Wiedziałem, że to na gniazdo i że za jaki tydzień będą już mieć jaja, a później młode. To wszystko wciąż jeszcze oglądałem przez okno, bo gąsięta były prawie na legnieniu i trzeba było dobrze pilnować. Gąsięta były jeszcze w jajach, a babka już przed sąsiadką obliczała, ile weźmie za nie pieniędzy, jak sprzeda na jesieni, i co za to kupi. Nie mogła doczekać się tych gąsiąt.

I dlatego może coraz częściej złościła się na mnie — i coraz częściej mnie biła.

Na przykład przy pławieniu jaj.

W jedno południe wzięła z szafy największą miskę, nalała do niej letniej wody i zaczęła pławić jaja.

— Które jest dobre, musi się na wodzie poruszyć — powiedziała do mnie.

Sama dobrze niedowiedziała, ja miałem uważać, które się porusza, a które nie.

— Patrz dobrze. A proś boga, żeby się jak nojwięcy ruszało, bo za każde przeziębione jaje dostaniesz dwie miętły — zagroziła.

Tak jakbym ja był gąsiorem, albo wysiadywał jaja.

Powiedziałem, że się tylko trzy nie poruszyły. Mimo to dostałem cztery razy miotłą przez plecy. Ale widocznie mój sąd wydawał się babce niekoniecznie dobry, bo na drugi dzień postanowiła jeszcze raz pławić, ale nie ze mną, tylko z sąsiadką.

Nie poruszyła się prawie połowa jaj.

Przy sąsiadce nie mówiła mi nic. Zmierzyła mnie tylko oczami i pogroziła palcem. Wiedziałem, że była to zapowiedź, że mi te przeziębione jaja nie ujdą płazem. I rzeczywiście, kiedy tylko sąsiadka zamknęła drzwi za sobą, babka krzyknęła, jakby ją zarzynali.

— A ty zło krew! Nie godałam ci — pilnuj! Ale tobie ino wróble w głowie. Dom ja ci wróble.

Podsunęła mi miotłę pod nos.

— Powąchoj! Ale przódy bier dwa porąbane patyki i klęczę mi przed obrazem matki boski staniąteckij.

Ucieszyłem się. Lepsze już to niż bicie. Wziąłem dwa kawałki drzewa i ukląknę przed matką boską staniątecką. Obraz był bez szkła i poczerniał ze starości. Oczy matki boskiej były smutne i patrzyły prosto na mnie. Patrzałem na jej ręce złożone do pacierza i na namalowane na wierzchu serce, przebite pięcioma mieczami. Musi ją to boleć, pomyślałem sobie. Tak mnie to zajęło, że zapomniałem zupełnie o tym, że klęczę za karę i gdy na obrazie siadło parę much, krzyknąłem ze zdziwienia:

— Babko, patrzcie sie, muchy łązo po gębie matki boski!

Babka zamiast odpowiedzieć uderzyła mnie parę razy miotłą.

— Jo ci dom gębe... To matka bosko ma gębe? Ze ci tyz jęzór kołkiem nie stanął. To ty nie wiesz, że to sie nazywo tworzycka. O boże drogi, co jo tyz będe robić z tym zuchwalcem.

Uciekłem pod łóżko.

Babka zagroziła mi, że jak nie wyleżę, to mi nie da nic jeść i wygoni mnie z chałupy na cztery wiatry. Przestraszyłem się i wylazłem. Miotła poszła w ruch. Wtedy to pierwszy raz odgroziłem się babce:

— Czekojcie ino, powiem mamie, ona wam pokoże...

To ją jeszcze bardziej rozzłościło.

— A leć, lećze, nawet już leć. Diobli ano wiedzo, kej droga za twojom matką. Ady pojechała i nie daje o sobie znaku, tak cie lubi. Siedzi w jakimś Sanoku między Rusinami i ani spominku o dziecku. A umiała sie postarać. A lećze — powtarzała i popychała mnie ku drzwiom.

* * *

Z tą wiosną po raz pierwszy zaczęło się we mnie budzić poczucie krzywdy. Zacząłem odczuwać, że inaczej odnoszono się do mnie, a inaczej do innych dzieci. Byłem coś niższego, gorszego. Nawet dzieci sąsiadów nie chciały się ze mną bawić. Zaczepiały mnie, rzucały we mnie kamieniami. Babka zaczynała swoje wiosenne porządki koło chałupy i w gospodarstwie. Pomagałem jej rozbierać ociszę, którą były otulone ściany

przez zimę, zamiatałem nieduży sad, wybieraliśmy ziemniaki z kopca, a nawet kazała mi próbować nakładać gnój na wóz, gdy najęty furman woził pod ziemniaki. Nie miałem jeszcze tyle sił. Babka jednak zawsze znalazła dla mnie jakąś robotę. Dała mi hak i kazała szarpać ugnieciony gnój, żeby jej było lepiej na wóz nakładać.

— Ady sie ucz, bo do gnoju rośniesz... Nie zginie ci, jak sie nauczysz. Podrośniesz i musisz iść na służbę do gospodarzy. A tam cie nie posadzo. A jakżeś ty myślał. Przecie u mnie nie bedziesz wiekuwoł — mówiła do mnie.

Najgorsze były wieczory. Wieczorami babka brała garniec żyta i szła mleć na żarnach. Mnie brała ze sobą, żebym się uczył. Byłem jeszcze mały i nie mogłem dostać, ażeby uchwycić drewnianą laskę, za którą się ciągnie. Miałem za krótkie ręce. Ale to nic... Babka zawsze umiała radzić.

— Przystow se stołek i miel, bo i ty bedziesz chlib jod.

Przystawiałem stołek i mełłem. Szarpałem i laska wyskakiwała z kamiennego koła. Babka wymyślała mi za to i szturchała przy każdym wyrwaniu. Męczące było to mielenie. Koszula była na mnie mokra, ręce bolały w ramionach i łokciach. Ale nie można się było skarżyć, bo babka nigdy nie chciała uwieńczyć.

— Jak jo tyle lot miała co ty, tom z mojom niebożkom mamom tyż myła... i nie tyle co ty. Miarke każdego wieczora. A tobie sie ino nie chce. O, nie bój sie... Jo ta wim jakiś ty masny.

Zadziwiająca była cierpliwość babki przy mieleniu. Garniec żyta mełliśmy pięć kwadransów, chociaż normalnie można było zemleć w pół godziny. Ale babce nie spieszyło się nigdy. Zasypywała po maleńkiej garsteczce, zaglądała do garnca, czy prędko ubywa. Nie lubiła jak się prędko mełło. Mówiła, że «ziorko tyż żyje, a jak sie go zmiele, to już po nim». Miesza nie ręką żyta w garncu było jej rozkoszą. A gdy jej odprysło bodaj ziarnko przy zasypywaniu, stawała i kazała mi go dotąd szukać, dopókim nie znalazł. I mełliśmy na nowo. Pociłem się, sapałem, wyglądałem końca — a babka śpiewała pod nosem swoją ulubioną piosenkę:

Mój boze, mój boze,
wilcek na oborze
zjod mi kokosecke,
któż mi zakrokorze.

A ja patrzyłem z niecierpliwością, czy nie widać jeszcze dna w garncu. Co chwila brała w palce żytnią mąkę i kontrolowała jak się miele.

— Miałko, jak spod pytła. Dobry bedzie chlebuś.

A do mnie mówiła:

— A ty ciong i nie szarp jak ten psuj...

Jeszcze gorsze były sobotnie wieczory. W sobotę zawsze się męło półtorej kwarty pszenicy na niedzielne kluski. Te półtorej kwarty męliśmy ze dwie godziny. Babka spuszczała kamień jak najniżej i zasypywała tyle ziarenek ile mogła nabrać w palce.

— Z pszenicy musi być mąka jak słonko — mówiła.

I mąka rzeczywiście była jak słonko — bielutka i miętka, jakby z młyńskich walców. Tylko się babka z tego cieszyła.

Nie lubiłem mleć, a pszenica była największą męką. Bo gdy się męło żyto, to się chociaż słyszało, jak hurczą kamienie, jak trą ziarno, jak się mąka do słomianki sypie. A przy pszenicy miało się wrażenie, że się na darmo kamień obraca.

Wreszcie wylęły się oczekiwane przez babkę gąsięta. Z osiemnastu jaj było tylko osiem gąsiąt. Trzy zadusiły się w skorupach, bo skorupy były za twarde. Babka powiedziała, że gęś, gdy nosiła jaja, to musiała za dużo ścianał dzióbkać i dlatego były twarde skorupy. I znowu moja wina, bom powinien odganiać. No, ale teraz było już za późno, tylko zapowiedziała, żebym na drugi rok zapamiętał.

A tymczasem w niedużym sadku, wyzamiatanym, żeby igłę można było znaleźć, zazieleniła się młoda trawa, zakwitła rosnąca w samym kącie dzika wiśnia, a jabłonki puszczały liście. Ziemiaki namarżyły przez zimę w kopcu i babka, ażeby się nie zmarniły, gotowała je trzy razy na dzień. Przykro było jeść, takie były słodkie. Myślałem, że babka w czasie gotowania dosypuje do nich sacharyny, którą trzymała w małym blaszanym pudełeczku z herbaty i używała jej tylko w niedzielę do kawy.

Polubiłem gąsięta. Takie zielonkawe maleństwa z żółtymi nóżkami i dzióbkami — napełniały izbę przy każdym karmieniu przemiłym gładzeniem, jakby muzyką. Babkę cieszyła moja przyjaźń z gąsiętami. Kazała mi ich pilnować i wyganiać pomalutku na trawę do sadu, żeby się uczyły skubać, a ona mi za to kupi cukierków na jarmarku w Wieliczce.

— Ino się mij na baczności, żeby sroka nie porwała, bo marny twój los chłopoku — przestrzegala. Obiecała mi kupić jeszcze na zielone świątki cajgowe portki u niepołomskich Żydów.

Dwa razy dnia wyganiałem gąsięta na trawę i pilnowałem, jak oka w głowie. Na gruszcze sroki usłały gniazdo. Wy-skrobałem się i zrzuciłem, bom się bał, że mogą jeszcze gąsię porwać. Babka pochwaliła mnie za to.

— A widzisz, jak ta ino chcesz, to sie o wszystko postarasz.

Była w tym czasie bardzo zajęta. Rozsadzała w polu kapustę i karpiele, robiła grządki w ogródku i pasła krowę, bo ja jeszcze byłem za młody, a krowa bodła.

Jakoś pod koniec maja w tym roku przyjechał niespodziewanie jeden z wujków. Był na wojnie i miał lewą rękę potrza-

skaną od szrapnela. Babka mi powiedziała, że to jest «ujek Józek».

Wujek Józek był jeszcze wtedy dość młody i miał pod nosem parę pszenicznych kłaczek, przyciętych z angielska. Podobał mi się i zaraz go polubiłem. Najlepiej mi się podobał, gdy zaczynał śpiewać, gwizdać lub grać na organkach. Jak on to pięknie robił. Chyba najładniej z całego Ochmanowa. Mnie zaraz po przyjeździe nauczył jednej piosenki, którą nazwał kinderską. W niedzielę, gdzie było najwięcej dziewczyn, kazał mi do nich podchodzić i śpiewać. I śpiewałem.

Od Krakowa wieje wiater,
wieje wiater, wieje wiater.
Wszystkim pannom naser mater,
naser mater, naser mater...

Dowiedziała się o tym babka i znowu mnie zbiła, tylko że już nie miotła, lecz zwyczajnym olszynowym patykiem. Bolało więcej niż miotła.

Wtedy to wujek kazał mi wyjść z izby i zaczął się z babką kłócić. Kłócili się długo i głośno. Gdy wyszedł, nos miał czerwony jak indyk i spluwał raz po raz przez zęby. Był zły.

Tego dnia po południu, gdy babka pognęła krowę w pole, wyniósł chustkę, rozciągnął ją w sadzie na trawie i zawołał mnie:

— Chodź no tu, smyku!

Położył się i wystawił kolana do góry.

— Chcesz siedzieć na tych gicolach?

Wygramoliłem się z uciechą i siadłem okrakiem jak na koniu.

— Te gicole, bratku, prawie pół świata zeszyły... i na Węgrach... i nad Pijawom i u Turków... diabli nie wiedzą gdzie. Ale co tobie o tym gadać. Z ciebie jeszcze zielona pała... No, ale to nic. Jak kiedy będę miał kuraś, to ci wszystko opowiem. Ani bym za tydzień nie skończył. No jak, fajno siedzieć?

Chwilę pogwizdał i znowu zaczął:

— Nie cnie ci się bez matki?

— Nie bardzo.

— Nic dziwnego, można odwyknąć. Ale ci babka spuściła lanie, co? Pocharatałem się z nią o to, bo ciebie się, bratku, dość bida nabije... A ona jak ta jędza. Ciągnie za swoją rodziną. Ale ty się nic nie bój. Jak cię ino tknie, to powidź mnie — porachuje ji żebra... żebym taki... No cóż tak ślipia wywalosz — zaśmiał się. — A oczy masz ojca, wyróżnij diabie, takie same... Fajny był z niego chłop i morowy. Ej, bratku, żeby on żył, to by my cały Ochmanów do góry podnieśli. On jak trzasnął chłopca w pysk, to się musiał nogami nakryć. Szkoda go, marnie zeszedł ze świata, zacharował się... Napiszę do matki list, niech ci bodaj na koszule przyśle. Co, nie chciałbyś? E, co ty wiesz — słuchoj jak trawa rośnie.

I znowu pogwizdał chwilę i podrzucił mnie parę razy do góry. Potem spowaźniał. Wujek zawsze ze mną rozmawiał poważnie, jak z dorosłym.

— A czy ty wiesz, że to nie rodzona babka? Jak ci tu powiedzieć, żebyś zrozumiał. To, widzisz, tak. Matka twojej matki umarła i twój dziadek, co go konie zabiły, ożenił się z tą babką. To jest macocha twojej matki, moja i Staszka, co jest przy ułanach w Krakowie. Mój ojciec, a twój dziadek miał z tą babką dwoje dzieci. Hanke i Franka. Chowają się u swojej babki pod karczmą. Oni tu czasem przychodzą. Franka przezywa ją «kują». A wiesz czego? Jak był taki mały jak ty, to nie mógł wypowiedzieć kura ino kuja. I już został kują. No, wiesz co z tego?

Kiwnąłem głową.

— Oni, bratku, żyją jak w niebie. To są takie mamine cycki. A ty nawet nie wiesz co to matka. Tak, tak... Babka cię do roboty zaprzęga jak wołu. Nie bądź głupi. Z gęsiami to jeszcze, ale do mielenia? Przecież ty słaby jak gąsie. Warto by jej za to żebra policzyć. Słowo daje.

Zamyślił się, a ręką skubał trawę.

— A czyś ty nie głodny? Powiedz no... nie bój się.

— Nie wiem — odrzekłem.

— Jak to?... E, ty mi tu nie bajeruj. Babka zbiera z półmorga ziemi twojej matki. Myślisz, że cię tak z litości chowo... Wołałaby świnię.

A ja wspomniałem sobie pierwsze bicie i gęsi.

— Zaraz sobie zrobimy jakie fryganie. Widziałem mleko w komorze. No, złaż no, bratku, z kolan, pójdziemy.

Wujek chciał koniecznie iść, a ja zaś nie. Chciałem jeszcze posłuchać, jak opowiada. Straszniem go lubił słuchać, bo mówił do mnie inaczej niż babka i inni ludzie.

— A powiedz mi jeszcze, jak to było z dziadkiem — prosiłem.

Wujek popatrzył na mnie i uśmiechnął się. Miał szerokawe białe zęby.

— Ja, bratku, jestem twój wujek, a ty mi na «ty» walisz. No, ale to nic. Jak się ożenię, to mi już musisz «wy» mówić. Wiesz?

— Dobrze — odrzekłem.

— Chciałeś o dziadku, co? O, to przykra historia. Tobie nikt jeszcze o tym nie opowiadał?

— Nie.

— Złaż z kolan i siednij se przy mnie.

Złażem i usiadłem. Wujek się zamyślił i już nie był uśmiechnięty.

— Ciebie jeszcze wtedy nie było na świecie, jeszcześ wagle pod piecem gryz. Twoja matka może była taka jak ty, a może i większa. Ja też jeszcze był kurduplem — alem już chodził do szkoły. Słuchosz?

— Acha.

— Byliśmy na Sirczy — zaraz na górcie na Kłaśnie przy Wieliczce. Ojciec był śtangrytem we dworze hrabiny. Ona twoje matkę lubiła. Mnie tyż. Mówiła zawsze do nieboszczyka ojca, że jak dorośniemy, to mnie wyszkoli na księdza bo mam ładny głos, a twoją matkę na krawcowo. Nie lubiła ino Antka, co jest w Ameryce. On był najstarszy z nas. To ci był dopiero rezykant. On potrafił ojcu powiedzieć, że jak przyprowadzi macoche, to ji głowę urwie. Pożarł się o to z ojcem i poszedł z domu. Żebyś ty słyszał, jak on grał ładnie na trąbce. Wtenczas się, bratku, lepiej żyło, jak teraz. Do hrabiny przyjeżdżali różni panowie i każdy dawał ojcu tryngła jak ich odwoziul. To ci były konie. Nie byle kto potrafiul niemi jeździć. Dwie pary do jednego powoza. A dostąpić do siebie nie dały nikomu. Ino ojciec mógł koło nich chodzić. Słuchosz?

— Słuchom...

— Ojciec uzganiol troche grosza z ty służby, troche dopozyczul u Stefczyka i kupil dwa morgi tu w Ochmanowie. A potym postawil te bude... Ale diabła warta. Postawil z mokrego drzewa, nieboszka ciotka zaraz oblepili glinom, no i zgnoili ściany. Popatrz jak się już krzywi nad stajnią. Teraz w ścianach sama mąka. Jak wbijesz gwoździa, to go palcami wyjmiesz. Możeś usnul?

— Nie...

— Tak, tak, bratku, jest o czym opowiadać... Tak my się zaczęli po troszce zwozić, ze Sirczy tu. A ojciec dalej jeździł czwórkom. Matka sama harowała. Ojciec nie chciał nikogo nająć do pomocy. Nie był dla niej dobry — choć ta już jest na tamtym świecie. My byli mali i nie dużo się dało pomóc. Zaziębiła się przy gnoju i umarła za pare tygodni. Miała galopujące suchoty.

Wujek przestał mówić, głaskał mnie ręką po głowie i patrzył w niebo, jakby tam czegoś szukał. Myślałem, że to tak trzeba, gdy się mówi o umarłych. Popatrzyłem i ja. Niebo było wypogodzone, słońce świeciło już za naszymi plecami, zbliżało się przedwieczerze. Wysoko uganiały jaskółki. Były małe jak muchy.

— Pamiętam, jakby dziś — wujek mówił teraz cicho. — Mama nie byli jeszcze starzy i leżeli w orzechowej trumnie. Tyś już widziol umrzyka?

— Nie.

— Lepi nie patrzeć, bo potym zawsze przed oczyma stoi. Hrabina przyjechała na pogrzyb i dała nam wszystkim po pięć koron.

— A co to korony?

— Austriackie pieniądze. Takie same jak teraz marki, ino srybne. I tak się nazywały. No, wiesz już?

— Wiem.

— Ojciec się niedługo ożenił. I tak to widzisz, bratku... Potym jakoś niedługo hrabina wytrzaśła młodego konia. To był koń — jak ulany, jak lalka. Zdaje mi się, że był od pana Niedzielskiego ze Śledziowic. Ten dwór jest jeszcze do dziś. Raz go ojciec zaprzęgoł do powozu i gdzieś mu się postronek pod brzuch zaplątał. Był cliwy i zaczął bić zadem jak wściekły. No i coś ze dwa razy kopnął ojca w bok. Prawie umarłego zawieźli do Łazarza w Krakowie... Wycieni mu pogruchotane żebra i odesłali do chałupy. Pokawęczoł jakie dwa miesiące i umarł. Pono nyrki miał odbite... Tak, widzisz, bratku... I umarł — powtórzył po chwili i zamilkł.

Patrzył nieruchomo przed siebie i wyglądał tak smutno jak-by miał płakać. Głowę miał podniesioną, rozpiętą koszulę pod szyją, jabłko Adama poruszało mu się raz po raz. Wydawało mi się, że wujek coś połyka bez przerwy.

Siedzieliśmy tak dość długo. Wujek nie mówił nic, tylko patrzył i patrzył. Dziwiłem się, że nie gwizdzie. Ja przyglądałem się znowu jaskółkom, jak wlatywały i wylatywały z ulepionego nad oknem gniazda — przysiadły na odstającej gałązce bzu i przyczajone ćwierkały jedna do drugiej. Do dziury w wierzbie wleciał wróbel.

— Ujku, jo ci pokoże... gdzie się majo wróble — przerwałem.

— Siedz. Tyś, wyrzńij diable, jak wróbel — powiedział i znowu się zamyślił. A potem znowu zaczął:

— Tak, bratku. Jak ino ojciec umarł, zaraz my się wszyscy rozlecieli po świecie. Ja poszed służyć na Sircze do Oprycha... Twoja matka tyż — ino Staszek zostoł z macochom, bo był jeszcze mały i musiał. Małom kiedy zaglądoł do Ochmanowa. Nie było po co. Nawet nie wiem, gdzie jest grób ojca i matki. Raz przyjechałem na urlop i poszedem do grubarza, ale nie mógł odnalizć. Powiedział, że już pewnie wykopani. Nimioł się kto grobami opiekuwać i tyle. I nima śladu po nich. Tyle widzisz warto człowiek — i ja i ty... wszyscy. Ale co ty jeszcze o tym wiesz. Oj, tak, tak — wszystkich nos bida od maleńkości poniewiera. Taka już nasza nieszczęsna rodzina. Chowalimy się ino u obcych, nie wiemy, bratku, co to matka.

Wujek objął mnie tą zdrową ręką za szyję i przycisnął do siebie. Palcami gładził mi policzek. Zrobiło mi się jakoś niewymownie dobrze i ciepło. Zacząłem ni stąd ni zowąd płakać. Nie wiedziałem dlaczego i po co, bo nikt mnie przecież nie zbił w tej chwili, ani nie wyrządził krzywdy — i nie był to przecież żal za dziadkiem i babką, których nie widziałem nigdy. Płakałem, bo coś się we mnie zaczynało dziać, coś urastało, coś czego nie mogłem jeszcze pojąć, ani też nazwać dokładnie.

Wujek przebierał palcami po policzkach mokrych od łez i udawał, że wcale nie wie, że ja płacę. Dopiero po chwili spytał.

— Płaczesz? Czegóż płaczesz? — mówił znowu cicho. — E, nie ślimocz się. To nie ładnie na chłopaka. Ja bym tyż mógł płakać... A jakże.

Potem przycisnął mnie jeszcze silniej do siebie, nachylił się i pocałował mnie w usta.

— Oj, ty ślimoku, ty ślimoku. No nie płacz że już.

Pocałowano mnie pierwszy raz po wyjeździe matki.

Na drodze zaryczała krowa. To babka zganiała, bo się zbliżał wieczór. Gdy mnie zobaczyła, spytała.

— Tyś tu... a kej gąsięta?

I wszystko jakby się rozwalilo.

Z zielonkawego mchu gąsiąt zaczynały wyłazić małe bielelutkie piórka. Nasamprzód po parę w ogonach i na skrzydłach, a później na plecach i gardzielach. Gąsięta miały wtenczas blade dzioby i nogi.

Babka mówiła, że teraz gąsięta są najślabsze, bo się rozwijają.

— Musisz je dobrze paś, żeby które nie zdechło — mówiła.

Żeby przetrzymały tę słabość, trzy razy dziennie wsypywała im do korytka po dwie kwarty owsa, który specjalnie przechowywała z zeszłego roku. Pasałem je teraz na gminnych trawnikach, wyganiałem na rzekę i uważałem, żeby się nie pomieszały z cudzymi.

Babka coraz częściej kłóciła się z wujkiem. Przezywała go «krzywoniem», a on ją «jędzą» lub «starą łupą». Pewnie się trochę wujka bała, bo mnie przestała tak często bić. Ale za to parę razy dziennie musiała mnie szturknąć ukradkiem. Sypialiśmy z wujkiem na strychu na zeszłorocznej słomie. W izbie było duszno i ciasno. Jabłonki i gruszka «makówka» okwitły już dawno i zaczynały okwitać zboża. Pytałem się wujka, co się tak kurzy po polach i odpowiedział mi, że to żytni i pszeniczny kwiat.

Wtedy właśnie babka znalazła mi jeszcze jedną robotę.

Zaraz po drugiej stronie drogi ciągnęły się pola nazywane «ogrodami». Wąskie, nie większe niż pięciorozgonowe paski zaczynały się przy drodze, a kończyły się przy gościńcu, który we wsi nazywano «cysarskim». Pierwsze stajanko babka obsiała pszenicą i trzeba było teraz pilnować, żeby nie chodziły kury i nie «tarasiły». Byłem jak przywiązany. Pszenicy nie można było odstąpić na krok, bo babka zagroziła, że jak zajrzy, a mnie nie będzie, to mi «złoi skórę, że popamiętom».

Gęsi zamykała w sadzie, a mnie budziła razem z kurami — o godzinie 5 rano — i kazała iść na «ogrody».

Nudziło się tak siedzieć i wykrzykiwać na kury. Czasem, gdy się gdzieś zapatrzył, kury wchodziły aż w środek pszenicy. Rzucąłem wtenczas na nie kijem i z gdakaniem przelatowały drogę na skrzydłach. Raz tak mnie rozżłościły, żem rzucił kijem i okulałem Juszczykowego koguta i dwie kury

Krzywdziny. Babka klóciła się o to z sąsiadami, ale mnie nie zbiła.

— Żebyś mi więcę tego nie robił — upomniła mnie.

Pochwaliła mnie jednak, że dobrze pszenicy pilnuję.

Gdy wychodziłem do pszenicy o świcie, dawała mi pół garnuszka mleka i skibkę chleba — żebym «tak ino przetracił». A przy wyganianiu krowy w pole dawała mi jeszcze kromkę. Chleb był czarny i przeważnie suchy — czasem skwitnięty ze starości. Wujek mówił, że przez taką kromkę Kraków można zobaczyć.

Dni były gorące. Z nudów zdejmowałem portki i siedziałem w samej koszuli. Koszula była z szarego, zgrzebnego płótna. Raz było tak gorąco, żem zdjął koszulę i położyłem się do słońca. Prawie nadszedł Pyrzów Wojtek, trzy razy większy ode mnie.

— O ty, żrobku — to przy dródze będziesz tak nago łyskoł? Ja ci tu dom.

Wziął mnie jak piórko na ręce i zaniósł pod wiązy, gdzie rosły gęsto pokrzywy i wsadził mnie w sam środek. Pokrzywy były wysokie i poparzyłem się cały. Płakałem w niebogłosey, a on się śmiał. Przez trzy dni miałem gorączkę i leżałem w łóżku. Po całym ciele potworzyły się białe bąble. Babka okładała mnie wodą ze studni. Wujek był zły.

— Nabije mu za to morde — powiedział.

Znowu pilnowałem pszenicy, lecz bałem się już rozbierać. Zobaczyłem jakoś wnet Pyrzowego Wojtka i pogroziłem mu.

— Czekał ty rezykancie... Wujek ci nabije morde.

— Niech ino spróbuje... Tyle się go boje... — i pokazał mi mały palec.

Juszczyków Franek i Władek i Pietrek od Krzywdziny bawili się na drodze w konie, latali do gościńca, albo grali w kręga. Ze mnie się śmiali.

— Musi pilnować kur... musi, lińdzi, lińdzi. Bedzie płakoł, bedzie.

Alem nie płakał.

Raz obłupili młode wiązy Pyrza do zabawy w konie. Wiązy rosły zaraz przy naszej pszenicy. Niedługo nadszedł Pyrz, ojciec Wojtka, i zaczął na mnie kląć.

— To pewnie twoja sprowka, bo czyjaż by?

Tłumaczyłem mu, jak tylko umiałem, że to nie ja, tylko tamci, żem ja sam przecież widział. Ale Pyrz nie chciał mi wierzyć.

— Ty mi tu, brzdącu, nie zganioj na tamtych. Oni majo ojców i mo ich kto wychować. A ciebie? Z takich jak ty, to ino złodzieje rosno. Jo ci tu pokoże, jak się łupi więze. Odniechce ci się do śmierci.

Rozpasał szeroki pas z portek i wsunął mi dwa razy po gołych łydkach. Bolało. Zerwałem się i z głośnym płaczem po-

gnałem do chałupy. Pyrz za mną. Wujek leżał akurat w sadzie. Usłyszał mój płacz i zbliżył się do płotu.

— Czego beczysz?

— Bo mnie Pyrz bijo.

— A psiakrew... Gdzie on?

— Gonio mnie.

Przesadził jednym susem płot i wyskoczył na drogę. Pyrz właśnie nadleciał.

— Czego bijecie chłopoka? Dajecie mu jeść?

Pyrz jakby się trochę zmieszał. Ale zaraz krzyknął na całe gardło.

— Przykoz temu bąkowi, bo go łożstrące. Więza mi obłupił na ogrodzie.

— Obłupiłeś? — zapytał wujek.

— Ujku, to nie jo. To Franek i Władek od Juszczyka. Idź, to ujrysz. Majo jeszcze lice z łyków.

— Idźcie, skądęście przyszli. Dopókim dobry, bo może być źle — powiedział wujek do Pyrza.

— A tyś taki som. Wszyscyście dobrzy — krzyknął Pyrz.

Wujek nagle poczerwieniał jak kogut, przyskoczył do Pyrza i uderzył go w twarz z jednej i drugiej strony.

— Masz ty psie, żebyś wiedział, że się cudzych dzieci nie bije. To jest sirota. Ja się jeszcze z twoim synkiem porachuje.

Pyrz zaczął się drzeć, wymachiwać rękami i cofać się do tyłu.

— Chodź — powiedział wujek i wziął mnie za rękę. Gdyśmy byli już w sadzie, Pyrz krzyknął i pogroził pięścią.

— Czekoj, Józusiu, my się ta spotkamy na wąski ściżce.

Wujek się uśmiechał. Później powiedział, jakby sam do siebie.

— A cholera, na pochyłe drzewo wszystkie kozy lażą.

A potem zwrócił się do mnie.

— Bolało cię?

— Ano...

— To nic. Ze wszystkiego, bratku, wyrośniesz. Jeszcze ci się to nie roz przydarzy, to są psy nie ludzie.

Wieczorem babka znów kłóciła się z wujkiem, po co się wtrącał do tej sprawy.

— Pyrz jest majentnym gospodarzem i szkoda z nim zaczynać, a cóż, że mu troche skóre przygarbuwoł. On ta nie święty.

— O nie, dopóki ja tu jest, nie dam mu zrobić krzywdy.

— Wychowosz go na droba.

— Nie bójcie się, nie zabije was — powiedział wujek i wyszedł z izby.

Długo tego wieczoru siedział na pogródce przed oknem. Nad Zakrzowem stała czerwona luna, jakby się paliło. Babka po-

wiedziała, że to pełnia. Sam poszedłem spać na strych. Nie bałem się.

Były sianokosy. Za gościńcem siekli łąki. Jednego dnia pod wieczór wujek naklepał kosę i na drugi dzień, rychło świt, poszedł na łąkę. Koło godziny ósmej babka włożyła do małego ręcznego koszyczka chleb, ser, mleko we flaszkę i powiedziała:

— Zanieś to ujkwowi. Ino żebyś nie zjod po drodze.

Wziąłem koszyk na rękę, tak jak babka, gdy szła na jarmark do Wieliczki i powędrowałem w pole.

— A nie siedź mi tam długo — upominała, gdym wychodził.

Szedłem powolutku miedzą. Z jednej strony było nasze żyto, z drugiej Juszczyka jęczmień. Strasznie lubiłem chodzić w pole, zrywać niebieskie bławatki w zbożu, zaśtanawiać się co tak pachnie, słuchać jak śpiewają skowronki i jak naraz gdzieś z nieba spadają w zboża z zaciśniętymi skrzydłami.

Myślałem zawsze, że tam pewnie mają gniazdo.

Szedłem i patrzyłem w górę. Nad głową śpiewał skowronek. Ledwom go widział. Wyglądał jak maleńka kropka. Naraz ucichł i spadł jak kula w sam środek Juszczkowego jęczmienia. Bez namysłu postawiłem koszyk na miedzy i wlałem w wąsaty jęczmień na poszukiwanie. Sięgał mi do pasa. Szukałem więcej niż pół godziny i na darmo. Na czworakach złożyłem całe stajanie. Gniazda nie było, tylko jęczmień wyglądał, jakby piętnaście krów przeszło po nim tam i z powrotem. Gdym wychodził, przy koszyku stał Juszczyk z kolejarską torbą w ręce. Nie wiedziałem czy stać, czy uciekać. Juszczyk był chudy, niski, twarz miał usmarowaną węglem i wyglądał jak cygan, który nie dawno był u nas i chciał babce wróżyć, tylko że tamten był tłusciejszy. Juszczyk był palaczem na kolei. Gdy mnie zobaczył, zakaszłał i rzekł zwyczajnie, bez złości.

— Wyłaź no, ty psubracie. Alem cie przyłapał. To ty za skowronkami mój jęczmień tarasisz... Toś ty taki?

Postawił torbę na miedzy, złapał mnie za ucho i zaczął ciągnąć. Myślałem, że mi urwie.

— Będiesz jeszcze? — pytał przy każdym szarpnięciu.

— Nie bede, rany boskie, puście bo urwiecie — krzyczałem.

Potem przegiął mnie na kolano i sprzął ręką po portkach. Zaciśkałem zęby, żeby nie płakać. I nie płakałem.

— Czekoj jo jeszcze babce poskarże, to ci poprawi — powiedział na odchodne.

Wziąłem koszyk i poszedłem zasmucony do wujka. Zastałem go siedzącego na małym granicznym kopcu.

— A cóż to tak długo, bratku? Kiszki mi marsza grajo.

Wujek odkorkował flaszkę z mlekiem i zaczął pić.

— Mleko się już kwasi. Pewnie wczorajsze dała. A to skąpica z ty babki.

Dalej w nizince siekli u Marchewki. Śpiewali. Poleciałem i usiadłem niedaleko kosiarzy. Trzej nieznajomi chłopci, porozbierani do koszul, w szarych konopnych portkach podwiniętych do kolan, siekli i śpiewali.

Kosiorze stoją, stoją, łączki się boją.
Kosiorze stoją, stoją, łączki się boją.
Kosiorze nie stójcie, łączki się nie bójcie,
Nojlepi z rana z rosą ściąć trawę kosą...

Przestali, naostrzyli kosy oselkami, wytarli trawą i znowu siekli ze śpiewem. Słuchałem uważnie.

Gdy wiatr zawieje wieje, znikno nadzieje.
Gdy wiatr zawieje wieje, znikno nadzieje.
W południe za trudno, wieczorem za późno,
Nojlepi z rana z rosą ściąć trawę kosą.

Piosenkę zapamiętałem z miejsca. Najlepiej mi się podobała ze wszystkich, które dotychczas znałem.

— Hej chłopcze, a czyjeś ty? — zawołał jeden z kosiarzy.

Nie wiedziałem co powiedzieć.

— A niczyj — odrzekłem.

Uciekłem do wujka i zaśpiewałem mu piosenkę, którą oni śpiewali. Wujkowi się podobała i powiedział, że mam dobrą pamięć.

— No idź już, bo cię jeszcze babka naleje, że tak długo siedzisz.

Patrzyłem, jak podwijał u koszuli rękawy, jak zakładał «kubok» z oselką za pas, jak wycierał błyszczącą kosę co dopiero skoszoną trawą. Ciekawiło mnie wszystko. Wtedy to po raz pierwszy zauważyłem ranną rękę wujka. Była trochę krzywa, nieco cieńsza od tej zdrowej, w miejscu, gdzie powinien być łokieć, była różowa dziura. Wzdłuż ręki biegły coś ze cztery, również różowe rowki.

— To od noży, bratku — powiedział wujek widząc, że się przyglądam. — Doktorzy to jak te rzeźniki, jak dopadno człowieka, to ino krają, jak wieprzka. No, ale idź już bo ci babka spuści lonie.

— A po co cię krajali? — zapytałem.

— Po co?... Za cysarza... — i splunął.

Wziąłem koszyk i poszedłem powoli znowu tą samą miedzą. Słońce piekło, skowronki śpiewały, pachniały pola i zachciało mi się posiedzieć trochę na miedzy. Bałem się jednak babki. W końcu ochota przemogła strach. Położyłem się do góry brzuchem i patrzyłem w niebo, czyściutkie, bez jednej chmurki. Przypomniałem sobie skowronka, jęczmień i nieumytego niskiego Juszczyka z kolejarską torbą w ręce. Zacząłem znowu myśleć, czemu mnie tak wszyscy biją, gdzie tylko dopadną. I Pyrz, i Pyrzów Wojtek, Juszczyk — a nawet babka. Tylko wujek jest inny niż wszyscy.

Musiałem długo leżeć z tymi myślami, bo zerwałem się do-

piero, gdym usłyszał, że w Bodzanowie dzwonią na południe. Nie widziałem jeszcze dzwonów.

Gdym przyszedł, obiad był już gotowy. Babka właśnie odcedzała ziemniaki. Potem wydoiła krowę, mleko zlała do glinianego baniaka i stanęła przy drzwiach.

— Bedziesz dzisioj żar obiod. Kto ci kozoł włazić do Juszczykowego jęczmienia? No, kto ci kozoł? — powtórzyła.

Spuściłem głowę i nie odpowiedziałem nic.

— A ty psie ścirwo...

Porwała miotłę i zaczęła mnie grzmocić po plecach. Płakałem na całe gardło. Bicie stawało się dla mnie taką zwyczajną rzeczą, jak jedzenie suchego chleba lub namarzniętych ziemniaków.

Na obiad były ziemniaki z owsianym żurem i jęczmienna kasza na serwatce. Ale ja nie jadłem. Babka nie dała mi za karę. Miałem ochotę poskarżyć się przed wujkiem, tyłkom się bał, że mi może jeszcze poprawić, bo mi się przecież kazał spieszyć. I nie powiedziałem nikomu. Ale za to zacząłem rozmyślać, jakby się za to wszystko zemścić na Juszczyku. I wymyśliłem.

Pod wieczór, gdy się już ściemniało, zabrałem duży nóż, którym babka krajała główki kapusty, i wymknąłem się z izby. Zakradłem się do Juszczykowego sadu i ściałem mu więcej niż dziesięć młodych szczepionych jabłonek, takich grubych jak palec. Taka była moja zemsta. Cieszyłem się, że mi się udało. Poszedłem spać, nie czekając na wieczerzę.

Na drugi dzień Juszczyków Franek, taki duży jak ja, powiedział do mnie:

— Ty nie wiesz, co się u nos stało. Złodzieje chcieli nom w nocy świnie ukraś, ino ni mogli kłodki urwać... I ze złości ścieni tatowi szczyпки, wiesz, te zaroz koło płotu. Tata pošli na posteronek.

Jakoś niedługo potem u Marchewki zwozili siano. Miałem czas i poleciałem. Były dzieci prawie że z całej wsi. Wyskrobałem się na bróg. Wielka to była uciecha. Skakałem z belki i zapadałem się aż po szyję w pachnącej, suchej trawie.

Któryś z chłopaków powiedział, że mnie babka szuka. Przykro mi było, alem poszedł. Babka czyściła swoje buty.

— Weś se wody do cębrzyka i omyj sie. Ino se nogi dobrze omyj. Pódziewa do wpisu.

Nie wiedziałem, co to takiego.

Obmyłem się jak umiałem, babka ubrała mnie w czystą koszulę, zawiązała do białej chusteczki sporo jaj i zapytała:

— Pocirz dobrze umisz? Ano zmów no.

Zdziwiłem się, dlaczego to tak zaraz po południu każe mi pacierz mówić. Przecież mówiłem zawsze rano i wieczór. Wyklepałem na pamięć «Ojczy nasz», «Zdrowaś» i «Chwała ojcu».

— Dobrze, pójdiesz ze mną do pana kierownika. Trza cie do szkoły zapisać — powiedziała.

Bardzo mnie to zdziwiło i przstraszyło. Pana kierownika nie widziałem nigdy i nie mogłem sobie w żaden sposób wyobrazić, kto to taki. Wiedziałem, że szkoła jest w Zakrzowie, nawet z naszego okna było widać jej dach pokryty czerwoną dachówką. Ale było to daleko i nie byłem tam nigdy.

— Nie będziesz już próźniaczuł. Po zniwach pójdiesz do pirszy klasy. No chodź. — I poszliśmy.

Babka była dziś wyjątkowo dobra. Opowiadała mi po drodze, jak mam pocałować pana kierownika w rękę, żebym od razu pacierz zmówił, jak mnie tylko zapyta czy umiem i że we żniwa muszę chodzić na dworskie ściernie zbierać kłosa, żebym bodaj ze trzy miarki pszenicy uzbierał.

— Jo ci troche dołozę i kupie ci jakie ubranie na starzyźnie w Wieliczce. Bo przecie do kościoła musisz zaczynać chodzić...

Szliśmy może z pół godziny. Szkoła była murowana, z dużymi oknami jak we dworze. Zaraz przed oknami przy kamiennych schodach rosły rzędem młode świerki.

— Ale tu ładnie — powiedziałem do babki.

— Ano widzisz... ładnie. Będiesz tu chodziuł. A pokaż no nos. Nimosz przypodkiem śpika? Żeby ci ino nie wyloz przy kierowniku, bobym się spoliła ze wstydu. Lepi teraz wysionkać.

Wzięła koniec zapaski od lewej strony i ścisnęła mi mocno nos palcami.

— No sionkoj — ino silnie...

Siąkałem silnie, ale z nosa nie wychodziło nic.

— Nima — powiedziała z zadowoleniem. — A zaroz przy drzwiach mosz zdjąć czopke i pochwolić pana boga i pocałować pana kierownika w rękę. Bedziesz pamiętoł?

— Bede...

— No... Pamiętoj.

Staliśmy chwilę za drzwiami. Babka poprawiała zapaskę na brzuchu, obciągała spódnice i zawiązała lepiej węzełek chusteczki pod szyją. Wreszcie zapukała. Raz-drugi-trzeci.

— Kto tam? — pytał ktoś zza drzwi.

— A do wpisu, prosze pana...

— Zaczekać chwilkę — powiedział głos z tamtej strony.

— Babko, a czego nos nie chco puścić? — zapytałem szep-tem.

— A cicho ze być, może jeszcze usłyszeć. Ino mi pamiętaj pochwolić boga i pocałować w rękę — upominała mnie.

Wreszcie poruszyła się świecąca klamka i drzwi się otwarły. Weszliśmy do pokoju kierownika.

— Niech będzie pochwolony Jezus Chrystus — powiedziała babka, złapała kierownika za rękę i głośno mućnęła. Ja zrobiłem to samo.

— Ano, siadajcie gosposiu. To wasz taki? — pytał kierownik z uśmiechem.

— Kej by ta... Co tyż pon kierownik godo — odrzekła babka i zaczerwieniła się.

— No to go zapiszemy.

Przyglądałem się z ciekawością panu kierownikowi. Był może takiego wzrostu jak Juszczyk, tylko że nie tak chudy i usmolony. Juszczyk nie miał wąsów, a kierownik miał, duże, ciemno brązowe, ładnie podkręcane, na końcu zwiąjały się jakby w kółeczka, a włosy miał takie czarne, jak nasza krowa, zaczesane do góry, na koguta. Coś pisał w dużej księżce o czarnych okładzinkach. Potem odłożył pióro i zwrócił się do mnie.

— A powiedz no, jak ty się nazywasz?

Odpowiedziałem.

— Byłeś już w kościele?

Pokręciłem głową.

— Nie kręć no chłopcze, tylko odpowiadaj. To nie ładnie tak — upominał mnie.

— Nie — odrzekłem.

Kierownik popatrzył na babkę. Babka spuściła oczy.

— Czegoż go, gosposiu, nie posyłacie do kościoła?

— Bo prosze pana kierownika, nimo takiego ubranka, żeby ano móg iść. Dopiro mu teraz jakie ubraniątko kupie.

— No trzeba się postarać... Koniecznie.

Babka mówiła jakoś inaczej niż w chałupie.

— To i pewnie pacierza jeszcze nie umiesz? — zapytał mnie znowu.

Kiwnąłem głową.

— Nie kiwaj no, tylko odpowiadaj...

— Przecie umisz — wtrąciła babka.

Klęknąłem przed stołem na oba kolana i wyklepałem za porządkiem «Ojczy nasz», «Zdrowaś» i «Chwała ojcu». Przez cały czas nie spuszczałem oczu z kierownika. Gdym skończył, poklepał mnie po ramieniu.

— No dobrze, dobrze — powiedział.

— A słucha was? — zapytał babki.

— Un by ta i słuchał, prosze pana kierownika, ino go ujek psuje.

— A cóż to znowu za wujek?

— Z wojny niedowno wrócił...

— A do kościoła chodzi?

— Ale, spominku nima. Ja sie, prosze pana kierownika, w kożdo niedziele z nim swarze. Ale przecie mnie nie usłucho.

— O to niedobrze, gosposiu, to niedobrze — powiedział kierownik i podrapał się po głowie.

Pomyślałem, że może ma wszy. Bo gdym ja się tylko podrapał po głowie, a widziała babka, to zaraz mówiła:

— Mosz wszy, pokoż no głowe.

Siadała na pogródcie, ja musiałem położyć głowę na kolanach, a ona szukała we włosach. Gdy znalazła, słyszałem trzask. Wtedy zabijała. Nie lubiłem tego iskania. Czasem mówiła:

— Jak się ino nie dosz iskać, to cie wszy do studni zawleko. Ujrzys. Jak bede miała chwile czasu, to ci wymyje głowę kapuścianym kwasem. Wszystkie zdechno.

Ale nie myła mi nigdy.

Babka położyła przed kierownikiem na stole jajka zawiązane w chusteczkę. Kierownik się uśmiechnął i zapytał:

— Cóżeście to, gosposiu, przynieśli?

— A do wpisu, prosze pana kierownika... tak czego zwyczaj...
— No dobrze. Zanieście do kuchni i dajcie pani.

Babka podreptała do kuchni i zaraz wróciła. Nie siadała już na stołku, tylko pochwaliła pana boga, pocałowała kierownika w rękę — ja to samo i poszliśmy.

Na drodze babka wyjęła kromkę chleba z chusteczki.

— Dała mi ano pani kierownikowa. Patrz się, jaki światły. Czekoj, jak wyjdzie za wieś, to dom kawolek. Między chałupami nie wypodo jeś.

Chleb od kierowniczkii był dobry. Jadłem łakomie i uważałem, żeby ani jedna okruszyna nie upadła na drogę. Babka też chwaliła, że smaczny, jak buchtą. Gdyśmy przyszli do chałupy, kazała mi zdjąć czystą koszulę i ubrać się w brudną. Potem dała mi kromkę chleba cienko posmarowaną masłem i pełny garnuszek mleka. Dawno nie jadłem masła. Babka zawsze sprzedawała je w Wieliczce i kupowała za to sól, naftę, mydło, sacharynę i inne rzeczy. Dlatego ten dzień uważałem za ważny i uroczysty. Była to sobota i miałem jeszcze wyzamiatać ścieżkę, żeby była czysta. Robiłem to przed każdym świętem. Wieczorem tego dnia babka z wujkiem siedzieli przy stole i rozmawiali o szkole. Ja siedziałem na malowanej skrzynce i słuchałem. Babka upominała mnie, że teraz muszę już być inny, że muszę myśleć o szkole i nauce.

Dawno nie było w naszej izbie takiej spokojnej rozmowy.

Wujek tego wieczoru obiecał mi kupić elementarz, tabliczkę i ryśik, a babka dołożyć coś do ubrania... ino muszę zbierać kłosie na dworskim we żniwa. Potem wujek poszedł gdzieś na wieś, a ja — spać na strych. Na strychu było ciemno i cicho jakby makiem siał. Czasem tylko coś szmeralo w słomie. Wiedziałem, że to myszy i nic się nie bałem. Długo nie mogłem zasnąć. Cieszyłem się z tego wieczoru tak, że gdybym się nie bał babki, byłbym śpiewał na strychu. Dawno nie byłem taki wesoły.

Niedługo babka zaczęła mówić, że żyto jest coraz bielsze i że wnet trzeba się do żniw zabierać.

A ja dalej pasalem gęsi, oganiałem pszenicę od kur, pomagałem babce robić w chałupie i czekałem, kiedy już nareszcie pójde pierwszy raz do szkoły.

Po jakimś czasie, zaraz z niedzieli babka najęła Czopkę, która wyrabiała u gospodarzy we wsi — i obie poszły na ogród żąć pszenicę. Pod wieczór pszenica była związana w snopki i postawiona w kuczki.

Czopka była bardzo biedną kobietą. Mieszkała w małej chalupecy, przy samej rzece, i nie miała nawet jednego zagona ziemi. Jej szczuplutka postać z dość dużym garbem na łopatce wyglądała z daleka, jakby Czopka miała dopiero 15 lat. A z bliska wyglądała staro, jak moja babka.

Nieraz widywałem ją, jak wracała wieczorem i dźwigała na plecach wiązkę suchego chrustu. W zimie chodziła po proście i zbierała po ludziach kromki suchego chleba i po parę ziemniaków. To wszystko nosiła w jednym worku zarzuconym na plecy przez ramię. Gdy przychodziła do nas, babka dawała jej wrzące żuru albo kaszy z suszonymi gruszkami. Po zjeźdzeniu kłękła przed obrazami i mówiła pacierz za umarłych.

— Pomodlicie się za dusze w czyścju cirpiące — radziła babka.

Gdy wychodziła, całowała babkę w rękę i mówiła:

— Niech wam tyz poniezus stokrotnie zapłaci, zeście mnie opatrzylil jałmuznom.

Przy całowaniu babka wyrывała rękę, że to niby nie chce i mówiła:

— E, nie całujciez... Nima za co...

Ale zawsze się dała pocałować.

Za to, że żęła u nas pszenicę, babka dawała jej przez dwa dni po baniaku mleka i miarkę starych ziemniaków. Babka stare ziemniaki gotowała gęsiom i prosięciu, bo myśmy już nowe jedli. Nie mogła ich również sprzedać, bo były namarżnięte i nikt nie chciał kupić. I dała Czopce aż miarkę.

— Ona ta zji — powiedziała, gdy tamta poszła.

Nie wiem, czy Czopka potrafiła zjeść te ziemniaki przed zupełnym zgniciem.

Jednego ranka babka nie zbudziła mnie o świcie jak co dzień. Ale byłem przyzwyczajony do wczesnego wstawania i obudziłem się sam. Wujek jeszcze spał. Leżał z twarzą zwróconą do kalenicy, usta miał trochę otwarte i chrapał dość głośno. Chrapanie przypominało mi płukanie gardła wodą. Wymknąłem się po cichu spod chustki i zląłem po drabinie do sieni.

Drzwi były przywarte, a babki nie było w izbie. Zdziwiło mnie to, bo zawsze gdym wstawał była. Myślałem, że pognęła krowę. Otwarłem drzwi do stajni, ale krowa stała spokojnie i gryzła dźwiękę. Popatrzyła na mnie dużymi czarnymi ślepiami i mruknęła.

Poszedłem na drugi koniec sieni. Za ścianą był gęsi chlew.

Gęsi coś za dużo gęgały. Czasem gęgały tak cienko, jak wtedy, gdy je czasem bił gałęzią po nogach, żeby fruwały na skrzydłach.

— Ale tyż to twardo, jak nieboskie stworzenie — usłyszałem głos babki za ścianą.

— A i moja nie miętko — odezwał się drugi głos.

Byłem jeszcze w koszuli. Sięgała mi do kostek, bo ją babka z wujkowej przerobiła. Wybiegłem z sieni, poleciałem naokoło do gęsiego chlewu i otworzyłem drzwi.

— A żebyś zdech! — krzyknęła babka. — Zawiroj drzwi, bo wiatер pirze rozniesie.

Ale nie zamykałem, bom się nie mógł nadziwić. Takich rzeczy nie widziałem jeszcze nigdy.

Babka i Czopka siedziały w gęsim chlewie, na niziutkich stołkach, trzymały między nogami po jednej gęsi, całymi garściami wydzierają z nich pierze i kładły delikatnie na wielki przetak. Przy każdym wydzieraniu gęsi cienko gęgały. Trzy były już obskubane i nagie, skulone krążyły koło chlewa i sycały tak, jak syczy owies lub jęczmień, gdy się przesypuje z worka do sásieka. Obskubane gęsi miały pokrwawioną skórę i trzęsły się, jakby z zimna lub strachu. Żal mi było gęsi.

Trzy były jeszcze nie obskubane i darły się w szopie. Zacząłem myśleć, jakby je uratować od skubania.

— A na co wy to robicie? — zapytałem babki.

— Na to, żeby się głupi dziwował. Takiś ciekawy? Dobrze ci spać na poduszce, albo pod pierzynom. Ale zawrzyj drzwi i idź się ubrać...

My z wujkiem spaliśmy pod chustką...

Zamknąłem drzwi, podszedłem po cichutku do szopy, odsunąłem skobel i wypuściłem gęsi. Wypadły z głośnym gęganiem. Przeląknąłem się, bo myślałem, że babka usłyszy, wyjrzy i zobaczy, że to ja. Ale nie wyjrzała.

Poszedłem się ubierać. W izbie było mroczno, bo babka zasłoniła okno chustką. Na stole stało ranne, świeżo wydojone mleko. Pływało w nim parę much. Much było strasznie dużo. Jak obsiadły ścianę, to tak wyglądała, jakby ją kto czarną farbą pokropił. Buczały, jak pszczoły przy rojeniu.

Może minęło jakie pół godziny, kiedy babka przyleciała do izby z krzykiem. Cała była obrana w pierze.

— Tyś wypuścił gęsi?

— Jakie gęsi?

— Jeszcze się pyto jakie, ścirwo sobace. No te, com miała skubać...

— Jo nie...

— Popatrz no mi w oczy.

Popatrzyłem bez mrugnięcia.

— To ki djobli wypuścili. Ażeby mu łapy uschły, żeby sie-

dym dni konoł. To ci jakisik parsywiec, ze parsywiec — postowała. — Idź i poszukuj, ino prędeż. No, co stoisz...

Wujek właśnie schodził po drabinie ze strychu. Był w burych wojskowych rajtkach, rozpiętych na łydkach. Spod rajtek zwisały długie sznurki od gaci.

— Cóż się takiego stało? — zapytał.

— A gęsi ktosik wypuścił, ni miał co innego do roboty. Żeby zdech — złościła się babka.

— O, wielkie rzeczy! — Jest się o co drzyć. Przecież się znajdują.

Nabrał z beczki garnuszek wody i poszedł się myć pod oborę. Gdy wychodził, powiedział jeszcze do babki:

— A idźcież już, boście całą izbę zasmrodzili chliwem.

To babkę rozzłościło.

— O, jaki to cwajnos! Śmierdzi mu ano. To se idź, jak ci śmierdzi. Lepi se ano gacie zawiąż, bo ci się wleko jak krowie ogony.

Wujek wypłuł wodę z ust i rzekł:

— Wyście pewnie dziś do góry dupom wstali, albo co innego.

— A juści... jućim wstała. A możem miała leżeć, jak ty — wydrzeźniała się babka. — A ty mi ino gęsi poszukuj... ino na jedny nodze — krzyknęła do mnie.

I poszła do chlewa.

Byłem jeszcze bez śniadania i nie bardzo chciało mi się iść za gęśiami. Ale musiałem. Znalazłem je na rzece i przygnałem. Babka już czekała przed chlewem.

I mój pomysł nie przydał się na nic.

Przez parę dni gęsi siedziały w sadzie posępne i z opuszczonymi skrzydłami. Były chore.

A ja przez ten cały czas chodziłem zbierać kłosa na dworskie łany. Nie było wolno. Gdyby kogo dopadł polowy, to by sprął, ile by tylko wlaźło. Mimo to chodziliśmy zbierać. Nasamprzód jeden szedł na zwiady i oglądał, czy nie siedzi gdzie schowany, a potem całą hurmą wpadaliśmy między kuczki.

Dworska pszenica była prawie taka wysoka, jak żyto u chłopów i miała grube wąsiate kłosa. Babka mówiła, że to «powy gatonek» i nazywała ją «ostką». Toteż chciała, żebym jak najwięcej nazbierał. Doradzała, żebym sobie brał taki mały woreczek pod pazuchę i jak upatrzę, że nie ma nikogo w pobliżu, tom powinien wleźć pod kuczek, «małyś, to cie i tak nik nie ujrzy» — mówiła, i naciąć nożem samego kłosa, napchać worek i przynieść do chałupy.

I tak robiłem. To było lepsze, niż zbierać kłosa po ścierni, ciągle się chylić i kłuć sobie nogi aż do krwi.

Czasem polowy chował się do kuczka i wypadał zniennać jak jastrząb. Zawsze kogoś złapał. Złapanemu odbierał uzbierane kłosa, wsunął mu parę kijów, ściągnął bluzkę i zabierał ze sobą do dworu. Potem musieli ojcowie chodzić, całować

pana po rękach, żeby darował. Pan zwykle darował, ale ojcowie musieli robić na pańskim za darmo, dwa lub trzy dni.

Mnie nie przyłapał nigdy. Wypatrywałem zawsze południową porę, gdy w polach nie było nikogo i obrzyłem kłosa ze snopków. Ładowałem do worka, ile tylko wlało i ile mogłem unieść. Cieszyłem się, bo było to przecież na ubranie. Za każdym razem, gdy przyniosłem pełny worek, babka mnie chwaliła, żem sprytny.

— Ino, żeby cie nie złapoł — upominała.

Zbierałem tylko pszenicę. Żyta i jęczmienia babka nie kazała mi zbierać, bo to się nie opłacało.

— A po żniwach będzie już żrały dworski mak. Jest go cały łąn między drogami. Zeszłoby się go narwać — mówiła mi babka. — Pójdiesz kiedy ze mną, to ci pokoże. Mnie widzis i nie wypodo, ale tyś mały, to ci ujdzie. Weźniesz se nóż, nałopcinosz samych główek i naładujesz do zonadrzo. I ani pies z kulawom nogą nie będzie wiedzioł. Mak sie przydo do kłusków na wilijo, a i sprzedać warto, bo drogi.

Pewnego dnia, kiedy babka wróciła z jarmarku, przyszedł właśnie jej syn Franek, co go przezywali kują. Był już duży i wcale nie-wyglądał na takiego, co go tak przezywają. Ubranie miał nie takie jak ja, nie było na nim ani jednej łątki, koszulę nosił czystą, twarz miał rumianą i pełną. Był dwa razy większy ode mnie. Babka wyjęła z koszyka białą podłużną bułkę i podała mu. Przełamała na pół i zaczął zajadać. Stałem przy drzwiach i patrzyłem na niego, jak jadł. Myślałem, że mi da bodaj trochę. Ale on tylko się na mnie popatrzył i jadł dalej, jakby mnie nie widział. Mnie babka jeszcze nigdy nie kupiła takiej białej bułki, nie wiedziałem nawet, jaki ma smak. Zrobiło mi się strasznie przykro i lzy mi stały w oczach.

— Czegożes ty taki? Poszedłbyś się trochę pobawić do dzieci, skoro mosz wolne chwile i nic nie robisz — odezwała się babka.

Zawsze mnie wysyłała z izby, kiedy tylko Franek przychodził. Wyszedłem na pogródkę, usiadłem i lzy dalej płynęły mi z oczu. Nie płakałem, tylko mi się lzy same lały. Wujka nie było i nie miałem się przed kim poskarżyć.

Siedziałem, aż wyszła babka i kazała mi gęsi wygnąć na dworskie ściernisko.

Popatrzyła na mnie, skrzywiła jakoś dziwnie usta i poszła do izby. Zaraz za nią wyleciał Franek, przystanął chwileczkę na pogródcie, popatrzył na mnie i również się skrzywił. Gdy poszedł z powrotem do izby, słyszałem jak się razem z babką śmieli.

Pognałem gęsi.

Wujek mało teraz bywał w domu. Codziennie jeździł pociągiem do roboty. Pracował przy wypalaniu wapna w Krakowie. Przyjeżdżał późno wieczorem.

Nie był taki wesoły jak przedtem, wyglądał zawsze na zmęczonego i narzekał często, że go ta ranna ręka boli.

— Jak przyjdzie coś ciężkiego, to nie mogę podnieść. Zaraz ta cholera strzyka w łokciu — skarżył się.

Ubranie jego było białe, jakby się w mące bawił i śmierdziało z daleka wapnem. Gdy narzekał, że go ręce bołą, było mi go żal, bo miał wtedy taką smutną twarz, jak wtenczas, gdy mi powiedział o dziadku, jak go konie zabiły. A babki jakby to wcale nie obchodziło. Ruszała tylko ramionami, jakby ją co gryzło na plecach i mruczała pod nosem.

— Ano same gołabki nie pódo do gąbki. Człowiek po to jest, żeby robiuł i tyle.

Wujek nic na to nie odpowiadał, tylko jadł. Dopiero po chwili zauważył:

— Te ziemniaki zdaje mi się niestłone... A jakbyście je przygrzali, to byście tyż nie zgrzeszyli.

Babka odmrukiwała.

— Zapomniałam, że zapomniałam. Nie dziwota przecie. Tyle mo człowiek na głowie różności, że nie wi, do czego ręce pirwy przyłożyć... A i polenia szkoda — dodawała, jakby od niechcienia.

— Nie mówilibyście lepiej. Nie trzeba palić, ino zostawić na blasze, a nie zestawiać do szafy, to będzie jeszcze ciepłe, jak przychodze.

Ale babka wciąż zapominała i wujek wciąż jadł zimne.

Raz chciałem się babce przypodobać i po obiedzie przypominałem jej, żeby wujkowe jedzenie zostawiła na blasze. Ale babkę tylko to rozzłościło.

— Jaki mi ano rajfur. Ty mi tu jeszcze będziesz nos do gorków wtykoł — mało ano mom wujka...

I zestawiała do szafy.

Gdyśmy poszli spać na strych, powiedziałem o wszystkim wujkowi.

— Przecież ja dobrze wiem, że ona to na złość wszystko robi. Ale muszę ja się do niej zabrać...

W sobotę wujek przyjeżdżał wcześniej. Zrzucał wtedy śmierdzące umączone ubranie, brał do cebrzyka wody i mył się do pasa. Później wkładał inne ubranie, brał czystą koszulę, glancował trzewiki i gdzieś szedł.

Babka mówiła, że wujek poszedł «się hukać». Tak samo mówiła na świnie, gdy ją doganiała do kiernoza. «Moja świnia się huko, trza ją dognać, może będzie prośno».

W żaden sposób nie mogłem zrozumieć, co to wszystko ma wspólnego z wujkiem. Wujek wracał nad ranem, albo w samo rano.

W każdą sobotę przywoził funt białej mąki na kluski — i cukru do kawy. Do mnie mówił:

— Słuchaj no tu, bratku, co ja ci powiem. Uwożoj no, czy babka przypadkiem nie wynosi cukru z chałupy i nie daje swojemu Franusiowi. Uwożoj!...

Raz mię zapytał:

— A tobie daje babka w powszedni dzień kawę?

— Nie.

— Ani razu?

— Ani razu.

— To gdzież sie do cholery ten cukier podziewa?... O, nie będzie tak, moi kochani. Nie będzie. Musze ja się do tego zabrać...

Jednej soboty wujek nie przyjechał jak zwykle wieczorem. Nie przyjechał nawet późno w nocy. Zjawił się dopiero po południu w niedzielę. Siedziałem w sadzie i usłyszałem jego śpiewanie na ogrodach. Zdziwiło mnie, dlaczego wujek w dzień tak głośno śpiewa. Wyleciałem mu naprzeciw. Schodził z między na drogę. Był jakiś dziwny. Włosy miał roztrzepane, czapkę trzymał w ręce i jakoś strasznie śmiesznie stawiał nogi, jak bocian, gdy chodzi za żabami po łące.

Przestraszyłem się i uciekłem. Babka stała na progu chałupy. Wujek otwierał furtkę do sadu i śpiewał:

Żeby nas tu było takich chłopców sześciu,
To by my Ochmanów do góry podnieśli..

— Uchłół się jak świnia — powiedziała babka i obróciła się w inną stronę.

Wujek przeszedł koło niej bez słowa, wszedł do izby i usiadł za stołem.

— Jeść — zawołał głośno.

— Pocałuj mnie ano haw — mrukła babka i uniosła ręką tył spódnicy.

— Jeść dawać, do jasnej cholery — zaryczał znowu i walał pięścią w stół, aż się szyby w oknie zatrzęśły.

Znowu poleciałem do izby. Wujek podparł głowę rękami, palce wbił we włosy i zgrzytał zębami. Popatrzył na mnie. Miał szklące oczy i coś strasznie śmierdziało od niego. Oblizał wargi językiem.

— Co się boisz, mikrusie — powiedział do mnie i splunął. Ślina uwiesiła mu się u warg i rozciągała się powoli, jakby była z gumy.

Weszła babka.

— Łotwirosz pys, jakby cie nie przymirzając łupili. Ady mosz, zryj — i postawiła mu kapustę na stół.

— Cóż tak rzucocie, jak psu?

— A co... Gorzoła od ciebie na kilometr jedzie.

— No, uwożojcie — mruknął wujek.

Potem znowu zapytał:

— A kiedyż mu to ubranie kupicie? Ileż on ty pszenicy uzbierał?

— A ze trzy miarki...

Skończył jeść kapustę i babka podała mu kluski w rondlu.

— Czegóż takie zimne, he?

— Dałam ci, to żryj... Uchłół się jak świnia i jeszcze godo. Obrzydliwiec...

— Co, ja świnia? Ja obrzydliwiec?

— A juści — potwierdziła babka.

— A żeby was...

Wujek błyskawicznie porwał za rondel i wyrzwał nim z całym siłą o izbę, tylko zajęczały żelazne skorupy i rozprysły się pod stół, pod łóżko — po całej izbie.

— A cóż ty, krzywoniu, wyprawiosz? Kupiłeś, że tłuczesz?

Wujek w tej chwili przyskoczył do babki, zerwał jej z głowy chusteczkę, złapał ją za włosy i pociągnął.

— Ty stara łupo, ja ci tu dom rozgrzeszenie...

— Puść!... puść!... — krzyczała babka.

Ale wujek nie puszczał. Szarpnął i zaczął ją bić pięścią po plecach i głowie.

— Luuudzieeee!... Luuudzieeee, ratonkuuu!... bo mie ten zbój zabije. Luudzieeee! — krzyczała babka przeraźliwym głosem.

— A ty cholero! Odbije sobie za wszystkie krzywdy — potwarzał wujek i bił.

— Ojej!... O Jezusie! A cóż ty psie wścickły!...

Babka płakała tak samo jak ja, tak samo płynęły jej łzy. Nigdy nie widziałem jej jeszcze płaczącej. Wtuliłem się w kąć przy szafie i patrzyłem przestraszony i nic nie mogłem z tego wszystkiego pojąć. Nie wyobrażałem sobie, że babkę można bić. Wreszcie zacząłem cicho płakać. Żal mi było babki. Potem, już nie wiem jak się to stało, doskoczyłem do wujka, złapałem go za rękę i zacząłem całować.

— Ujku, nie bij! Ujku, nie bij! — prosiłem.

— Uciekaj, bo i ciebie kopne! — wrzasnął.

I przestał ją bić.

Babka natychmiast wybiegła przed okno — a ja za nią. Koło płotu stało parę bab i Juszczyk.

— Patrzcie się, ludzie kochani, co ten zbój ze mnom wyprawio — zawodziła babka.

Stojący przy płocie ludzie kiwali tylko głowami i coś mówili do siebie.

Babka usiadła na pogródcie przed oknem, podparła głowę rękami i płakała.

Wszedłem do sieni i wchyliłem głowę do izby. Wujek stał oparty o stół z głową zwieszoną na piersi i gryzł dolną wargę. Nagle porwał czapkę ze stołu, cisnął nią o ziemię i zaklął:

— Niech to szlak trafi, aniby diabeł nie wytrzymał w tym piekle. Chodź no tu...

Zbliżyłem się.

— No, nie bój się...

Wyciągnął z kieszeni duży papierowy pieniądz i dał go mnie.

— Niech ci babka sprzeda pszenice, dołoży z tych i kupi ubranie. A po rękach mnie nie całuj... Ty... No idź...

Usiadłem na pogródcie przy babce i położyłem jej na kolanach papierowy pieniądz.

— Nie płaczcie już, babko. Wujek wos już nie będzie biuł.

— Kej ta dziecko... kej. A żol ci babki?

— Ano...

— No widzisz, no widzisz — powtarzała i gładziła mnie ręką po włosach.

Dawno już nie gładziła mnie po włosach. Przytuliłem się do niej.

Przez parę dni babka nie rozmawiała z wujkiem. Przyjeżdżał z roboty, siadał bez słowa przy stole, a babka również bez słowa podawała mu jedzenie.

Jedzenie wujka trzymała teraz babka na blasze, czasem gdy blacha wystygła, to nawet specjalnie paliła. Rano babka nie budziła wujka na pociąg, jak to robiła zawsze. Wujek wstawał sam, raz za wcześniej, drugi raz za późno. W chałupie nie było zegara.

Żniwa były już na ukończeniu. Gdziejegdzie stał jeszcze owies lub zapóźniona pszenica. Po stodołach zaczynali młócić — i czasem aż głucho było we wsi.

Babka wynajęła jakiegoś nieznanomego chłopca do młocki, żeby omłócił trochę żyta na chleb i sianie. Młócił od świtu do nocy.

Babka co chwila zaglądała na boisko, szukała czy młócek nie zostawia ziarna w słomie i pytała za każdym razem:

— Ileście ta omłócili?

— Niewiele. Do nocy kope odstawie, nie mortwiecie się — odpowiadał.

— Ady sie pośpieszcie, Jendrzeju. Cóż to ano kopa na takim dużym dniu. Jo baba, a potrafiłabym kope zmłócić, a co dopiro chłop. Pokozołabym wom, ino mi teraz w piersiach zatyko.

— Ano cóż robić mojiściewy — odpowiadał Jędrzej. — Ludzie nie som koniami i majo po dwie ręce i po dwie nogi. To i dlotego widzicie podwójnie ni mogo robić.

Jędrzej miał duże okłapciałe wasy i palił fajkę, z której strasznie śmierdziało. Babka nie była zadowolona, gdy go zastała przy paleniu fajki.

— Odpoczywocie? — pytała.

— Nie odpoczywom, kobito, ino pole fajke. To tyz przecie robota.

— Widze, jako robota. A ino ognia nie zapaście z ty fajki do słomy, bobyście mie do śmierci dziadem zrobili — upominała.

— E, co tyz godocie. Pon bóg robi ludzi bogatemi i bidnymi, a nie jo — odpowiadał ze śmiechem.

Czasem, gdy w izbie nie było słycać młócenia, babka zaraz mówiła:

— A idź no wyjrzyj, co ta ten młócek porobio. Może znowu siedzi. Przyjrzyj się, czy przypadkiem nie nabroł ziarna do kieszeni, bo un ta umi...

Leciałem na boisko, stałem chwilę przy młocku i wracałem z powrotem do izby.

— Trzepie słome... Wygrabuje trzyny... Przewraco... Wiąże snopki — powtarzałem babce.

Jędrzej, gdym przychodził zagładnąć, uśmiechał się pod wąsem i mówił:

— Patrzys się, czy sie nie obijom. Nie bój sie, jo dobrze znom twoje babke. Przebiegło jak lis. Nie musiałyby być z rodu Ptośników.

Babka nie pasala teraz krowy i więcej przebywała w chałupie. Krowę zawsze zabierał jej syn Franek, gdy wyganiał na ściernisko Ptasznikowe krowy. Mówił, że na ścierni może i pieć upać, a nie trze.

Jakoś się rozdeszczyło. Przez parę dni padał drobny, gęsty deszcz. Koło chałupy było błota po uszy, śmierzdziała wezbrana gnojówka i przelewała się na drogę. Wtedy babka wybrała się do Wieliczki na jarmark.

— Jak leje, to nojlepi można co kupić na starzyźnie, bo się ludziom nie chce stoć na chłapie — mówiła.

Z jarmarku przyniosła mi ubranie. Nie było nowe. Bluzka miała cztery kieszenie, jak kolejarska bluza Juszczyka, tylko że moja była w kratkę. Portki były na szelki, sięgały za kolana.

Cieszyłem się.

— Mosz szanuwać, żebyś mioł ze trzy roki. Dlotegom ci większe kupiła.

Wieczorem oglądał ubranie wujek, skrzywił się i rzekł:

— Za te pieniądze można było kupić nowe i dobre. Przecież się znom na tych fantach.

— Trza było kupić — odrzekła babka.

I już więcej nie mówili nic. To były pierwsze słowa od chwili, gdy ją wujek zbił.

Na strychu, gdyśmy poszli spać, wujek zaczął mówić:

— Podarmoś zbierał, bratku, te pzenice na dworskim. Babka jej i tak nie sprzedala. Kupiła jakieś stare łachy, to za te pieniądze, com ci dał wtedy w niedziele. Diabli wiedzą, kto w tym chodził. Może jaki suchotnik. Nie bój się, ona se ta nie da ogona uciąć. Ale mnie nie wykiwo...

Po chwili znowu zapytał:

— A widziałeś, czy niosła babka jaki tobołek, jak szła do Wieliczki?

— Ino jojka miała w koszycku — odrzekłem.

— A widzisz... Co tu dużo gadać. Ale niech się nażry twoi krzywdy.

Już usypiałem, gdy wujek jeszcze powiedział:

— A za tydzień do szkoły, bratku, powalisz. Elementorz, tabliczke i rysik kupię ci w Krakowie. No śpijmy.

Jednego wieczoru wujek przyniósł ze sobą maszynkę do strzyżenia włosów i ostrzygł mi głowę na «gołą pałę». Potem mnie babka wymyła w ciepłej wodzie i kazała mi iść spać, bo jutro raniusieńko do szkoły.

Wujek z babką już się nie gniewali. Rozmawiali, jakby nigdy nic między nimi nie było. Długo nie mogłem zasnąć. Myślałem, jak to będzie w tej szkole.

Rano wstałem razem z wujkiem. Ubrałem się w czystą koszulę i to kupione ubranie. Babka dała mi chleba z ciepłą kawą i jedną kromkę do kieszeni na potem.

Niedługo przyszedł Juszczyków Franek. On też szedł pierwszy raz do szkoły. Miał nowiuteńkie ubranie i żółte buty.

Ja szedłem boso — nie miałem jeszcze butów. Nie miał mi kto kupić.

Na drodze było pełno burego kurzu. Był taki mialki, jakby go kto we młynie zmełł.

— Mnie tata dali piniądza, żebym se kupił bułke — powiedział Franek i pokazał mi nieduży papierowy pieniądz. — A tobie babka dali?

— Jo mom kromke w kieszeni.

— Ty wiesz, jak nos teraz bedo przezywać?

— Nie wiem.

— W pirszy myszy... A my znowu drugoków i trzecioków. W drugi papugi... W trzeci dobre dzieci...

— Dloczego w trzeci dobre dzieci?

— A jo wiem? Tak sie ino wyzywo...

Na końcu wsi dogoniliśmy starego Kępę, który jechał dworskimi wołami po wykę dla krów. Kępa miał długie włosy jak baba i bardzo rzadko się golił. Nogi miał krzywe i we wsi mówili, że Kępa chodzi «łogawo». Był dogładczem bydła we dworze.

Woły wlokły się krok za krokiem. Jeden był czerwony, drugi krasy. Z czoła wychodziły im duże rozłożyste rogi. Na szyjach nie miały chomąt, jak konie, tylko drewnianą drabinę z dwoma przegrodami. Po obu stronach drabiny były żelazne kółka, od których szły postronki do orczyków. Kępa powiedział nam, że to się nazywa jarzmo.

Poprosiliśmy go, żeby nas zabrał na wóz. Nie bronił. Wóz był drabiniasty i musieliśmy się trzymać szczebli. Kępa bił woły dość grubym kijem i krzyczał.

— Hecia... sa... sa... piekielniki! Zdrowie przy wos zjem. Jak to lezo...

A potem zwrócił się do nas.

— Woły to najgorsze stworzenia na świecie. Uparte, że człowiek może do nich płuca wypluć — i nie usłucho. Jak czasem stanie, to go można zabić, a nie ruszy się. Uparty, jak prawdziwy wół. A i ludzie są tacy sami. Jeszcze się dość napatrzycie, boście młodzi. Potym ujrzycie, że każdy z was będzie wołem, każdy będzie chodził w jarzmie... Hecia... sa... Kej to lezie, piekielnik! No, wysiadajcie, bo skręcę w pole...

Poszliśmy drogą. Tą samą, którą mnie matka prowadziła do babki na wychowanie, tą samą, którą mnie babka prowadziła do wpisu.

Koło drogi rosły wierzby. Na wierzbach ćwierkały wróble.

Oglądałem się za Kępą. Jechał pomalutku wąską polną drogą. Woły zwiesiły łby w dół. Rogi wyglądały, jak gałęzie. Droga wydawała mi się teraz okropnie długa.

II

Zaczęła się jesień i wraz z nią codzienne chodzenie do szkoły. Błoto nie błoto, deszcz nie deszcz. Wypadało się z chłupy kwadrans przed rozpoczęciem nauki i gnało się galopem przez całą drogę, żeby być na czas. Z kromką czarnego chleba w kieszeni, z tabliczką i elementarzem pod pazuchą i strachem, żeby się tylko nie spóźnić.

Babka bardzo szanowała czas. Inne dzieci dawno już przeszły do szkoły, a ona mówi do mnie spokojnie:

— Przyniś no mi koszyk pliw ze stodoły. — Dostaj no mi koszyk zimnioków z lochu, żebym miała na obiad. — Przydorędz patyków pod blache. — A wyjrzyj no, kej się ta gęsi obracają. — Trza by ano sień pozamiatać, bo wyglądo jak stajnia.

I tak codziennie.

Czasem przyszedłem późno i nauczycielka wołała mnie do stołu.

— Ukłoń się... Czegoś się spóźnił?

— Bo mi babka kazała patyki nosić — odpowiadałem.

A na drugi raz wymieniałem znowu inną robotę.

Nauczycielka uśmiechała się i mówiła:

— Ty wciąż ino z tą babką. No, idź na miejsce i nie spóźniaj się.

Siedziałem w trzeciej ławce. Koło mnie siedział Juszczyków Franek i jakiś chłopak z Zakrzowa, co się nazywał Waś. Przyносił zawsze do szkoły świątły chleb w ceratowej torbie i pełne kieszenie gruszek. Czasem mnie poczęstował. Opowiadał mi, że jego ojciec ma trzy konie, buhaja do krów, młockarnię na kierat i że chowają służącego.

Był większy ode mnie, miał białawe włosy zaczesane na bok i duże niebieskie oczy. Przezywali go «duże ślipia». Trochę się jakał i nie miał pamięci do nauki. Obiecał mi, że jak mu

napiszę całą tabliczkę «M», to mi da za to gąbkę do mazania, bo ma dwie. Ja zamiast gąbki miałem nieduży kawałek szmatki, przywiązanej na sznureczku do tabliczki.

Przy oglądaniu nauczycielka poznała, że to nie on pisał. Kazała mu wstać.

— Kto ci to napisał?

— Jo, prosze pani...

— Waś, powiedz prawdę, bo ci uszu nakudłę.

Ale Waś zwiesił tylko głowę i nie powiedział nic.

Wtedy nauczycielka zwróciła się do mnie:

— Tyś mu napisał. Ja wiem, że ty, ani się nie zapieraj. Powiedz, co ci dał za to?

Patrzyła na mnie tak przenikliwie, że nie mogłem się zaprzeć.

— Gąbkę — odpowiedziałem cicho.

— Jak jeszcze raz to zrobisz, to ci dam po łapach — powiedziała i pokazała mi wiśniowy kij grubości palca.

Od tego czasu Waś był na mnie zły i raz na pauzie dał mi dwa razy w twarz. Bałem się go, bo był ode mnie silniejszy.

Nauczycielka biła nawet tym wiśniowym kijem. Franek Juszczyków dostał już parę razy. Najbardziej dostał wtedy, gdy napluł jednemu chłopakowi z Zakrzowa na głowę. Wtenczas dostał na stołku. Wszyscy się śmiali, jak płakał, a mnie było go żal. Gdy przyszedł do ławy zapytałem go:

— Bolało cię?

— Jak diabli. Ale nie powiedz mojemu tatowi.

Na pauzie dał mi pół kromki chleba nasmarowanego masłem.

Lubiłem chodzić do szkoły. Moi koledzy płakali, ażeby nie iść do szkoły, ja płakałem, gdy mnie babka chciała zostawić w chałupie.

Nauczycielka upominała nas zawsze, żebyśmy do szkoły i ze szkoły szli spokojnie, przed każdym starszym zdejmowali czapki i chwalili pana boga. Niektórzy śmiali się z tego. Ja zaś specjalnie chodziłem tam, gdzie można było spotkać ludzi, bom się cieszył, gdy taki stary gospodarz, który kiedy indziej aniby na mnie nie popatrzył, teraz, kiedy chwaliłem pana boga, zdejmował czapkę i odpowiadał:

— Na wieki...

Czasem wieczorem babka wypytywała mnie, co tam mówi nauczycielka w szkole. Opowiadałem jej wszystko dokładnie od początku do końca, a ona słuchała, kiwała głową, drapała się pod pazuchami i mówiła:

— Jak ta spamiętosz tyle tego?... Jej, jej...

Wujek mnie chwalił, że ładnie piszę i że mam pamięć.

— To ci, bratku, ani ogień nie spali, ani woda nie zabierze. To już będziesz miał na całe życie, że tak powiem...

Były już siwe przymrozki. Mróz zwarzył już ścierniówki i saradele, zasiane oziminy już się zazieleniły na polach, rzepe

powyrywano — a ja jeszcze wciąż boso chodziłem do szkoły. Nogi moje były zawsze czerwone, jak ćwikłowy burak, pod podeszwami szczypało, jakby mi kto szpilki wbijał. Coraz częściej bywały deszcze, drzewa stały gołe, jakby uschnięte, czarne chmury wron przelatywały coraz częściej nad wsią i babka mówiła, że to na śnieg. Drzewa, wieś, pola miały smutny wygląd. Tylko wysoki, stary dąb u Krzywdziny za stodołą stał z liśćmi, tylko że nie były zielone, lecz ciemnożółte. Przy najmniejszym wiatorku szumiały sucho i zawsze słyszałem je w izbie.

A w chałupie w tym czasie szatkowało się kapustę na zimę, chowało się ziemniaki do kopca, grabiło się liście i robiło się z nich ociszę koło ścian. Jednego dnia padał gęsty deszcz i było zimno. Przeszedłem do szkoły i zacząłem cichutko płakać, bo mi zmarły nogi.

Zobaczyła to nauczycielka.

— A ty czego boso chodzisz?

— Bo nie mam butów.

— A dlaczego?

— Bo mi nie ma kto kupić.

— A gdzie twoja matka?

— Kesik pojechała.

— A ojciec?

— Tyż nimom...

— No to siadaj i powiedz w domu, żeby ci kupili buty.

Babka kazała mi tak mówić, jak nauczycielka będzie o buty pytać.

Potem nauczycielka powiedziała do całej klasy:

— Widzicie, dzieci, jak to źle jest bez ojca i matki. Wy wszyscy macie buciki, a on nie. Widzicie, jaki on biedny. Trzeba kochać swoich rodziców, jak ich macie.

Wszystkie dzieci patrzyły na mnie. Zrobiło mi się gorąco i na pewnom się zaczerwienił, bom czuł, jak mi policzki płoną. Jakby mi kto ogień do nich zbliżał.

Może tydzień przed pierwszym śniegiem wujek kupił mi trzewiki. Babka powiedziała, że jej to nic nie obchodzi, bo ona ma swoich dwoje i musi się o nich martwić, żeby mieli w czym chodzić — a nie o mnie.

Nie pamiętam czym już miał kiedy buty we wczesnym dzieciństwie. To były zdaje się pierwsze, jakie mi utkwily w pamięci.

Chciałem wujka pocałować w rękę, ale się nie dał. Więc go chwyciłem rękami za szyję i zacząłem mocno ścisnąć. Był dla mnie najlepszy na całym świecie.

Zimno już było spać na strychu. Babka poradziła, ażeby sobie wujek zrobił siennik ze starych worków, wypchał słomą i przynosił na każdą noc do izby, kładł na ziemi, no i spał, a ja żebym sypiał w stajni, to mi tam będzie najlepiej.

I sypiałem w stajni. W kąciu, tu gdzie krowa miała głowę, naścieliłem słomy, brałem na noc chustkę i stare łachy i spało się. Z początku śmierdziało, ale później nie czułem już smrodu, bom się przyzwyczaił, jak mówiła babka. Tylko mi powieki poczerwieniały, a w każde rano oczy miałem zaropiałe, że trudno je było otworzyć.

Raz podeszła do mnie nauczycielka i pociągnęła nosem.

— A cóż od ciebie tak śmierdzi?

Zaczerwieniłem się, ruszyłem ramionami i powiedziałem, że nie wiem.

Dopiero Juszczaków Franek wstał i powiedział:

— Bo un, prosze pani, w stajni sypio.

Zawstydziłem się i odpowiedziałem:

— A jak u nas jest ino jedna izba i nima placu...

Nauczycielka nie odezwała się nic.

Nauka szła mi dobrze. Zaczęliśmy już pisać na zeszytach. Babka kupiła mi tylko jeden zeszyt i powiedziała, że mi więcej nie kupi.

— Rodź se som. Jo ni mom piniędzy na takie świdygoły. Wystarczy, że ci jeś daje i do szkoły posyłam.

I radziłem sobie sam. Juszczaków Franek nie miał pamięci do nauki. Dawałem mu odpisywać zadania, podpowiadałem mu jak czego nie umiał i dostawałem za to od niego pióra, ołówki, a nawet i zeszyty.

— Nasi tata majo piniodze, to mi kupio. Weś se, a podpowiadoj mi.

Brałem i podpowiadałem.

Była zima. Babka wieczorami łuskała bób i groch, a ja musiałem jej pomagać. Znowu zaczynało się zimowe mielenie na lato. Mełliśmy cztery garnce tygodniowo. Tej zimy byłem już silniejszy i laska nie wyskakiwała z młynka. Jak tamtej zimy, tak i tej nie omijało mnie nic. Robiłem jeszcze więcej. Nawet bicie szło dalej regularnie, przynajmniej dwa razy w tygodniu. Tylko teraz, jak było już za dużo bicia, tom uciekał z izby. A tamtej zimy stałem spokojnie i babka biła ile chciała.

Przychodziłem ze szkoły, zaraz ściągałem trzewiki z nóg i stawiałem koło blachy, żeby wyschły. I aż do spania siedziałem boso. A gdyśmy szli mleć, tom owijał nogi szmatami.

Tylko wyjątkowo w niedzielę miałem przez cały dzień trzewiki na nogach. Bo rano szliśmy z babką do kościoła, później przez całą sumę siedziałem w izbie jak uwiązany, bo «przez sume grzech lotać», dopiero po południu kazała mi się godzinkę przelecieć, żebym się przewietrzył.

— Ino żebyś mi nie jeździuł po lodzie, bo sie buty psujo, a nowych nimo ci kto kupić — upominała mnie.

Uczyła mnie teraz przeróżnych pacierzy i litanij. Sam nie wiedziałem, ilem tego umiał.

— To ci się kiedy przydo — mówiła.

Wujek raz siedział w izbie, jak mnie uczyła, roześmiał się i powiedział:

— Co będo robić księža, jak on będzie tyle pacierzy umiał? Pójdą lasy bielić?

— Nie psułybś chłopoka, skoro już som nie chcesz wierzyć — odrzekła.

— Nie słuchoj go nic — powiedziała do mnie.

Ale mnie bardzo ciekawiło, dlaczego on tak mówi.

Bo księzda znałem już dobrze. Przyjeżdżał raz w tygodniu na religię do szkoły i opowiadał nam ładne rzeczy o Adamie i Ewie i o raj, gdzie rosną najlepsze jabłka na świecie.

Ksiądz był wysoki, zawsze wygolony, zczesany do góry. Dziwiło mnie, dlaczego nie ma wąsów i nigdy nie chodzi w takiej bluzce jak kierownik i dlaczego mu tylko trochę nogawic od portek widać.

Zapytałem się o to babki.

— Czyś ty zgłupiał, chłopok? Kej tyz ksiądz bedzie miał wąsy... to ino kapucyny majo brody i wąsy, ci co majo klastur w Krakowie. Co ci tyz przychodzi do łba!

A gdym zapytał, dlaczego ksiądz ma tak dużo malutkich guzików przy sutannie, odpowiedziała:

— To sie nie nazywa sułtanna, ino duchowno sukienka. A guzików ma lotego tyle, bo jak poniezu miał 33 lata, to go Żydzi na Kalwaryji ukrzyżowali i na te pamiątkę ksiądz mo 33 guziki przy duchowny sukience.

— Babko, a dlaczego go Żydzi zabili?

— O Jezus Maryjo, jakiś ty ciekawy! Ady ci ksiądz opowiada na religii. Bo ich nawracoł na katolicko wiare i źli byli na niego. Przecie sie nawet w pacierzu mówi:

«... Ukrzyżowan umar i pogrzebion, wstąpiuł do piekieł, trzeciego dnia zmortwywstoł, wstąpiuł na niebiosa i siedzi po prawicy boga ojca wszechmogącego...» Nie pamiętosz to?

Ale to mi nic nie wyjaśniło.

Takich rozmów z babką było bardzo dużo. Nie wystarczały mi opowiadania księzda i chciałem się od babki czegoś więcej dowiedzieć. Ale babka nie mówiła mi nic nowego, tylko jeszcze bardziej rozpałała moją ciekawość. Tłumaczyła mi wszystko po swojemu i cytowała całe pacierze i litanie. I nie dowiedziałem się nic.

Gdym zapytał, czy są jeszcze te jabłka w raj, powiedziała:

— A som, ino grzysny człowiek nie ujrzy ich nigdy.

— A jak nie być grzysnym?

— Modlić sie i słuchoć pana boga, ale daj mi święty spokój!...

A później się zastanowiła i upomniała mnie:

— A nie pytoj sie nigdy ujka o takie rzeczy, bo to kalwin, w nic nie wierzy i na księzda wygaduje.

Umykał czas. Pasałem już sam krowę babki i byłem w trze-

ciej klasie. Przechodziłem z klasy do klasy. Wujek latem pracował w wapienniku, zimą siedział w chałupie, łapał zające na drut i zastawiał paści na tchórze — nawet złapał coś ze dwa. Od czasu do czasu kłócili się z babką i babka mu mówiła: «jużbyś się tyz móg, stary byku, ożenić». A wujek odpowiadał:

— Nie ma się do czego śpieszyć.

Babka coraz częściej narzekała, że jej jest coraz gorzej, że podatki są duże i nie może wydolić, że ziemia się popsowała i nie chce rodzić jak przedtem. Żyliśmy biednie i jedliśmy jałowo. Trzy razy dnia ziemniaki bez omasty, z jałowym żurem. Raz na dzień dawała mnie i wujkowi po kromce chleba i lamentowała, że nie wystarczy do nowego. Chleb trzymała teraz pod kluczem.

Babki wcale nie obchodziło, jak ja się uczę i czy mam zeszyty i książki.

— Żebyś już nojprędzy skończył z tom szkołom, bo ci ino czas zabirow, a żodny korzyści z tego nimo — mówiła.

A mnie dalej paliła ciekawość poznawania wszystkiego, o czym mówiono w szkole. To co mówił nauczyciel i ksiądz, było wszystko za mało. Chciałem wiedzieć więcej i nie miałem skąd.

Gdym zapytywał babki, nie umiała mi odpowiedzieć i powtarzała wiecznie jedno i to samo:

— Zgłupiołeś chłopok, co ci tyż do łba przyszło.

Wujka nie pytałem, bo mi babka zakazała.

Raz przyniosła od kogoś małą książeczkę, która się nazywała «Żywot św. Genowefy».

— To jest ładno historyjo. Bedziesz mi czytoł wieczorami.

Czytałem przez parę wieczorów. Babka słuchała jakby kazania i płakała, jak to ta święta musiała w lesie żyć i jeść same korzonki, jak to do niej łania przyszła i dała jej się wydoić, żeby nie umarła z głodu.

— Bidastwo... bidastwo — powtarzała. — Widzisz, jak to ponbóg o wszystkich pamięto.

Mnie się też podobała ta książeczka. Przeczytałem ją parę razy.

Którejś niedzieli nie było babki i pokazałem książeczkę wujkowi.

— E, co to takie... to akurat dobre dla takich dewutek, jak twoja babka. Jeszcześ młody, to ci się takie bajki podobają. Ale jak podrośniesz, to ci się na wszystko oczy otworzą. Nie jest to tak ładnie, jak ci mówią w szkole — jak ci ksiądz opowiada. Widzisz, tyś jest bidny, bez ojca i matki, to na każdym kroku poturają tobą. Myślisz, że jest sprawiedliwość na świecie? A popatrz się, jak inni żyją. Już taki Juszczyk mo osiem morgów ziemi i jeszcze na kolei do tego robi... Oni nie wiedzą co to bieda. Albo Marchewka — dwadzieścia pięć morgów.

Czworo ich jest. Trzymają parobka i dziwkę do roboty, a sami nie tkną się niczego. A idź do niego i powiedz, żeś bidny, to ci zaraz drzwi pokaże. Albo chcij pożyczyć żyta na chleb, na przednowku, to powie, że nie ma ani ziorka — a gnije mu w saszku. A pobożny, bardziej niż ksiądz. A ksiądz też dobry. Jak komu pożyczyc na przednowku żyta, to mu trzeba w procencie trzy dni od korca odrobić... Tacy oni. A w szkole to wam ładnie mówi, nie?

— Wujku, a dlaczego ty do kościoła nie chodzisz?

— Jeszcześ za młody, żebym ci powiedział dokładnie. Po co tam pójde? Ja naprzód, bratku, wiem co ksiądz powie. Widzisz, ja mówię tak: mądrzy ludzie do kościoła nie chodzą. Patrz się na twojego kierownika ze szkoły. On ino wpadnie na chwilke do kościoła, jak jest podniesienie, i zaraz ucieka. Na kazanie nigdy nie chodzi. A widziałeś kiedy, żeby ten nasz pan był choć raz w kościele? On ma pana boga i kościół w portfelu. Ale służbie każe iść... Nie bój się, oni ta wiedzą, co robią.

— A ty się nie boisz grzychu? — pytałem z zaciekawieniem.

— Głupiś jeszcze! Jakich grzychów? Może to jest grzech, że jem jałowe ziemniaki z żurem?

— Wiesz co, babka mi powiedziała, że ty nie wierzysz w boga.

Wujek się roześmiał, klepnął mnie po ramieniu i powiedział:

— A niech ta chłapie. Ona sama nie wie, czy wierzy, czy nie wierzy... Ja, bratku, wierzę w te ręce — jak nie będę miał tych rąk, to mi żoden ponbóg nie do. I tobie też nie do, chociaż byś się cały rok modlił. To ino księdzu daje...

I znowu się roześmiał.

— Ale nie mów nikomu tego, com ci powiedział. Bo to ludzie z igły zrobią widły.

Przyrzekłem, że nie powiem.

Każde słowo wujka robiło przewrót w moim myśleniu i wywoływało dziwny niepokój. Komu wierzyć, czy księdzu, czy wujkowi? Z tym nie mogłem sobie dać w żaden sposób rady.

Ksiądz był dla mnie czymś mało zrozumiałym i bardzo się go bałem. Uważałem, że on wszystko potrafi zrobić — wtrącić człowieka do piekła i wybawić go z powrotem. Lubilem słuchać, gdy opowiadał w szkole o biblii i gdy wygłaszał kazanie w kościele. Myślałem, że nikt nie potrafi tak pięknie mówić. Wujka zaś znałem lepiej i lubilem go najbardziej ze wszystkich ludzi na świecie i znowu nie mogłem się z tym pogodzić, żeby mówił do mnie nieprawdę. Bardzo mnie to zastanawiało. A gdym czasem rozmyślał nad tym, co wujek mówił o bogu i księdzu, tom drżał ze strachu, bo mi znowu przychodziło na myśl, że grzechem śmiertelnym jest słuchać takiego opowiadania i że za to trzeba w piekle cierpieć. Nie występuj przeciw bogu i jego kapłanom — nauczał nas ksiądz.

Bałem się również o wujka, że kiedyś musi iść za to do piekła. Długo byłem w tej rozterce.

A tymczasem zbliżała się pierwsza szkolna spowiedź. Już trzy miesiące z rzędu przygotowywał nas do niej ksiądz. Chodziliśmy nawet do niego na plebanie, gdzie nas jeszcze przepytawał na pamięć z wszystkich kościelnych i bożych przykazań. Jak kto nie umiał, dawał mu dwa razy trzcina po ręce. Czasem, gdy się przedzej z nami załatwił, brał nas do dużego ogrodu i mówił:

— Dzieci, wyrrywajcie no-no tę trawę z marchwi...

I wyrwaliśmy.

Pierwsza spowiedź była dla mnie czymś strasznym. Ze zmartwienia nie mogłem nawet jeść. Babka pytała mnie czasem:

— A czegożeś ty taki?... Możeś chory, abo co?

Ale nie odpowiadałem jej nic.

Gdym tylko dorwał się chwili wolnego czasu, brałem katechizm lub biblię i czytałem, choć wszystko znałem na pamięć. Brałem również książkę do nabożeństwa i odczytywałem po cichu różne litanie i psalmy, jakie mi tylko wpadły pod rękę. Chodziłem zamyślony, zapomniałem o robocie i babka się na mnie złościła:

— Czekoj, pódziesz do spowiedzi, to cie ksiądz pochwoli, jakiś ty dobry...

Wszyscy mnie straszili tą spowiedzią. Nauczyciel i nauczycielka w szkole, a babka w chałupie. Tylko wujek nic nie wspominał, jakby w ogóle o niczym nie wiedział. A przecież wiedział.

Starąłem się być jak najlepszym, żeby się nikt na mnie nie złościł — a najbardziej babka.

Trzy dni przed spowiedzią zacząłem robić rachunek sumienia, bo nam tak kazał ksiądz. Zacząłem wspominać, com komu zrobił złego, komu wyrządziłem krzywdę. Trudno szła ta robota.

Nie biłem się jeszcze z nikim, nikomu nic nie ukradłem. Chyba to, żem Juszczykowi młode szczepki w sadzie pościął za to, że mnie zbił, a przez niego zbiła mnie znowu babka i nie jadłem obiadu i kolacji. Chyba to grzech?

Cóż dalej?

Chyba to, żem bił gęsi gałęzią po nogach, żeby latały na skrzydłach, bom się lubił przyglądać, i może to, żem czasem krowę zbił patykiem po pysku, jak mi paskudowała koniczynę lub ziemniaki, gdym ją pasł na miedzy. Przypomniały mi się też i kury Krzywdziny, com je okulał jak chodziły po naszej pszenicy, i Juszczyków kogut. Wszystkie złe uczynki stawały mi przed oczami. Nie mogłem sobie dać rady. Wszystko się poplątało. Złe z dobrym.

Ksiądz nas uczył, że jak sobie kto nie może przypomnieć

wszystkich grzechów, to niech weźmie książeczkę do nabożeństwa i odmówi specjalną modlitwę do rachunku sumienia, to mu się zaraz grzechy przypomną. Odszukałem i odmówiłem parę razy. Powtarzałem bez końca «boże bądź miłościw i pomóż mnie grzesznemu przypomnieć wszystkie moje złe uczynki».

Ale widocznie bóg nie chciał mnie grzesznego wysłuchać, bo zapomniane grzechy nie przychodziły do głowy.

Wyrwałem z zeszytu dwie kartki papieru, poszedłem za stołę, gdzie nie ma nikogo i zacząłem spisywać grzechy. Dużom tego spisał. Całe dwie strony: od najmniejszych do największych. Zacząłem od niesłuchania babki i starszych, przeszedłem przez krowę, gęsi, kury, wróble, skowronki, zatrzymałem się na Juszczykowych szczechkach, wreszcie skończyłem na słuchaniu wujka, jak mówił źle o bogu i księdzach. Grzechów nauczyłem się na pamięć, jak wierszyka...

We czwartek po południu cała szkoła poszła do spowiedzi. Przyjechało jeszcze dwóch księży od Reformatów z Wieliczki i było ich razem trzech.

Siedziałem w ławie pod chórem i czekałem na swoją kolej. Wydawało mi się, że ława pali się pode mną. Jeszczem chyba nigdy dotąd nie miał takiego strachu, jak przy tej pierwszej spowiedzi. Odmówiłem parę razy modlitwę przed spowiedzią i przyszła kolej na mnie.

Z kartką w ręce — na kartce było wypisane moje nazwisko — i cały drżący ze strachu przystąpiłem do konfesjonału, gdzie siedział obcy — nie nasz ksiądz. Rzekłem «boskie słowo», pocałowałem księżą rękę i stułę, odklepałem na pamięć «Ja grzeszny spowiadam się panu bogu wszechmogącemu, najświętszej panie Maryji, wszystkim świętym i tobie, ojciec duchowny, żem zgrzyszył myślom, mowom i uczynkiem». Zacząłem szeptać kolejno wszystkie grzechy, tak jak się nauczyłem na pamięć. Ksiądz zbliżył ucho do drewnianej kratki i słuchał uważnie. Pachniało od niego tak samo, jak od nauczycielki w szkole. Czasem tylko zapytał:

— A ile razy to robiłeś?

Odpowiadałem co mi ślina przyniosła na język: — dziesięć razy, dwadzieścia, pięć — jak się zdarzyło.

Najgorzej to już było ze słuchaniem wujkowych opowiadań o bogu i księdzach. Ksiądz się rozłościł na dobre i zwymyślał mnie od smarkaczy, od oberwusów i półgłówek. Musiałem wszystko powiedzieć dokładnie, co wujek mówił, jak się nazywa i gdzie pracuje. Wyśpiewałem wszystko jak wyuczony szczygieł. Gdyby pytał nawet o to, czego nie było, to bym powiedział, że było.

— No, masz jeszcze jakie grzechy? — zapytał, już zwyczajnym, miłym głosem.

— Nie mam, prosze ojca duchownego — odszeptałem.

— A powiedz no... możesz się ty brzydko bawić?

Nie odpowiedziałem, bo nie wiedziałem co.

— Bawiłeś się, nie zapierasz się? A ileż razy? Widzisz, to jest śmiertelny grzech i pójdziesz do piekła.

Zrobiło mi się gorąco, jakieś migotki zaczęły latać przed oczami.

— Ja, proszę ojca duchownego, nigdy nie brzydko nie bawiłem, nawet nie wiem jak się to brzydko bawi...

— Nie kąpałeś się razem z dziewczynami?

— Nie...

— Nie podnosiłeś im czasem sukienki, jakżeście razem krowy paśli w polu? Bo wy tak, pastuszki, umiecie...

— Nie — odrzekłem już na wpuł z płaczem.

— No, to dobrze. Zmów «Więcej grzechów»...

Zacząłem szeptać do księiego ucha:

— «Więcej grzechów nie pamiętom, za te i za wszystkie żałuje serdecznie, żem cie, boże miłosierny, obraził, a ciebie, ojcie duchowny, prosze o rozgrzeszenie i o pokute».

A ksiądz przez ten czas obliczał moje grzechy i obmyślał pokutę.

— Przez dwa tygodnie z rzędu będziesz odmawiał rano i wieczór po pięć «Zdrowaś» i pięć «Chwała ojcu», a trzy razy w tygodniu przez jeden miesiąc litanie do św. Stanisława Kostki. No i dzisiaj, jak powrócisz od spowiedzi, pójdziesz mi natychmiast do tego gospodarza, coś mu ściał te drzewka, przeprosisz go i przyznasz się, żeś to ty zrobił. Tylko, żebyś mi poszedł, bo pan bóg, widzisz, wszystko widzi. Jak nie pójdziesz, to jutro przy komunii, jak będziesz spożywał pana Jezusa, możesz nie połknąć świętego ciała i możesz się udławić. Masz iść...

— Dobrze — odrzekłem.

Ukląłem, a ksiądz zaczął się modlić za mnie. Po chwileczce zapukał. Wstałem, znowu pocałowałem go w rękę i w stulę i poszedłem się modlić pod wielki ołtarz. Przed wielkim ołtarzem klęczeli już inni wyspowiadani i czytali z książeczek. Jeden chłopak nachylił się do mnie i zapytał szeptem:

— Czegoś ty był tak długo? Aleś czerwony. Pewnie miał pełny worek grzechów...

— Nie grzysz, boś dopiero był do spowiedzi — powiedziałem. Ale on nie przestawał.

— A jaką ci ksiądz zadał pokutę? Mnie dziesięć ojczynaszów na cały tydzień. A jak ten obcy ksiądz spowiada, dobrze?

Nie odpowiedziałem nic, przeniosłem się gdzie indziej i zacząłem odmawiać modlitwę po spowiedzi. Ale nie mogłem. Myśl, że muszę iść do Juszczyka, przyznać się prawie po trzech latach — nie dawała mi spokoju. To było straszne.

Wracaliśmy już pod wieczór. Wszyscy byli weseli, a ja o mało nie płakałem. Z Bodzanowa, gdzie był kościół, trzeba było iść do naszej wsi ze trzy kwadranse. Szliśmy przez pola. Nad zbo-

zami śpiewały skowronki. Na zachód było widać klasztor kamedułów na Bielanach koło Krakowa. Od nas trzeba było tam iść z pięć godzin. Wydawało mi się, że na najwyższej wieży siada teraz różowe koło zachodzącego słońca. Na miedzy, którąśmy szli, rosły duże kępy macierzanki i silnie pachniały.

Gdy było już mroczno, usiadłem pod oknem i zacząłem cicho szlochać.

Wyszedł wujek i zauważył.

— Cóż ci się znowu stało?

Powiedziałem mu wszystko. Wujek wysłuchał do końca i powiedział:

— Za taką hecę wartasz, widzisz, w skórę. Tak się nie powinno robić. No, ale teraz już za późno. Idź spać i nie chodź do żadnego Juszczyka. Ino babce nie mów o niczym, bo by chałupę do góry nogami przewróciła.

Ale to mi nie wystarczało. Powtórzyłem mu za księdzem, co mi się stanie, jak nie pójdę.

Wujek zastanawiał się chwilę.

— Idź spać, nie bój się, nic ci się nie stanie. Nie bądź, bratku, taki głupi. Już wnet sam wszystko pojmiesz.

Opierałem się jeszcze. A wujek mówił dalej:

— Przecież mi wierzysz. Wiesz, że ci nigdy źle nie chcę. Ksiądz cię ino tak ocyganił. Onym to jest potrzebne, żeby się każdy trząsał, tak jak ty. No idź, idź...

Wstałem z pogródki.

Wujek znowu nad czymś myślał, bo gwizdał cichuteńko i patrzył do góry. Potem rzekł, jakby sam do siebie:

— Co to, dranie, wyrabiają z tymi dziećmi...

Na niebie było pełno gwiazd. Wyglądały jak niezliczone roje robaczków świętojańskich.

Na drugi dzień rano nie jadłem nic, bo się komunię powinno przyjąć na pusty żołądek. Babka dała mi kromkę chleba do kieszeni, małą gromnicę do ręki, do bluzki przypięła parę gałązek mirtu z jakąś białą wstążeczką i kazała iść z panem bogiem.

— Ino nie grzysz po dródze. I pamiętaj, żebyś zaraz jak wyjdiesz z kościoła wzion kawołek chleba do gęby i zjod. Bo grzych jest splunąć po komunii jak się nic przedtem nie łyknęło.

Byłem w strachu. Co prawda, wujek już mi wyperswadował, że mi się nic nie stanie, wciąż jednak byłem przekonany, że mi się może jakie nieszczęście przydarzyć jak będę połykał komunię.

A tu nie stało się nic.

Komunię położył mi ksiądz na wystawiony na dolną wargę język i wsunąłem ją razem z językiem do ust. Potem obróciłem w ustach parę razy językiem (bo gryźć to ciężki grzech) i komunia przylepiła mi się do podniebienia. Trochę mnie to przstraszyło. Pomyślałem, że się to może zaczyna jakieś nieszczę-

ście. Ale pomanipulowałem językiem i odlepiła się. Potrzymałem jeszcze chwilkę w ustach i połknąłem razem ze śliną. Komunia miała smak opłatka i przeszła mi zwyczajnie przez gardło, jak przechodził mi codziennie chleb, ziemniaki, woda, jęczmienna kasza i wszystkie inne strawy, które babka gotowała w chałupie.

Komunii anim nie poczuł w żołądku.

Przeminął strach i zaczęło się słabe powątpiewanie, czy też ksiądz mówi prawdę. Bo z tym udławieniem się, to mnie naprawdę ocyganił, i to jeszcze przy takich świętych rzeczach jak spowiedź i komunია.

Tego mój mózg nie mógł jeszcze rozwiązać.

Wieczorem wujek zapytał się z uśmiechem:

— No, jak tam poszło? Nie udławiłeś się?

— Nie, anim nie czuł, jakem połknął — odrzekłem.

— No widzisz. Ja ci, bratku, mogę takich komunii całą ćwierć narobić, ino trza mieć grysikową mąkę i formę do pieczenia. Znowu mnie to zdziwiło.

— A nam ksiądz mówił, że komunია to ciało i krew pana Jezusa — powiedziałem.

— Ano, on może mówić. Od tego przecież jest. A ja ci powiem, że to nie ciało i krew pana Jezusa, ino pot i krew fornali i chłopów, co orzą i sieją, zbierają i młóca te pszenice, co z niej opłatki robią. To sobie dobrze zapamiętaj!

I zapamiętałem dobrze.

* * *

Pałem teraz Ptasznikowe krowy, żeby sobie zarobić na ubranie i buty. Do szkoły chodziłem rano i przed ósmą krowy musiały być już napasione. W pole wyganiałem je o wpół do piątej rano. Zadania i wszystkie inne szkolne rzeczy odrabiałem przy krowach. Gdym tylko otworzył książkę w domu, babka zaraz krzyczała:

— Co ty se, chłopok, myślisz? Zgłupiołeś pewnie z tom naukom. Adwókotem bedziesz abo co? Opamiętał byś się. Weź się do jakij ludzki roboty, bo ci książki żyć nie dadzo.

A tu zreć naprawdę nie było co. Babka wyjałowiła ziemię, nie gnoića, i ziemia rodziła lichy. Wujek mówił, że babka nie dba o ziemię, bo to nie jej, tylko tych dzieci, co dziadek miał z pierwszą babką. I że jak się ożenią, to każdy weźmie po swoim kawałku.

Bywało się nawet i głodnym. Gdym babce mówił, żeby mi dała jeść, złościła się i mówiła:

— Co ty dna ni mosz, czy co? Tylem ci przecie dała i jeszcze głodny. Myślisz, że na służbie daliby ci więcy?

Szedł mi już dwunasty rok. Za rok miałem wyjść ze szkoły, ażeby iść na służbę do gospodarzy, albo na dniówkę do dworu.

— Jedno z dwojga... musisz już som żyć — mówiła babka.

Dobrze zdawałem sobie sprawę z tego co mnie czeka. Na tyle byłem już świadomy. Wujek pracował dalej. Coraz więcej rozmawiał ze mną o różnych rzeczach, o dworze, o księżdach i bogu. Strach przed bogiem i piekłem, jakim czuł przed pierwszą spowiedzią, ostygł i nastąpiła zwyczajna obojętność. Religia w szkole stawała się dla mnie nudna. Wolałem geografię, historię i przyrodę.

Do kościoła chodziłem w każdą niedzielę i święto, bo mi się podobało granie na organach, śpiewanie, dzwonki, kadzidła, obrazy i ten jakiś inny nastrój niż zwykle. Również odbywałem regularnie cztery razy do roku spowiedź, lecz już nie z tym przejęciem i strachem.

Rozmowy z wujkiem stały się dla mnie jedynym źródłem, skąd się dowiadywałem o życiu i świecie.

Raz przyniósł mi wujek parę książek do czytania. Byli to «Chłopi» Reymonta.

Czytałem ukradkiem przed babką, boby mi nie dała, gdyby zobaczyła — a gdyby jeszcze wiedziała, że książki przyniósł wujek, to by mi na pewno nie pozwoliła czytać. Podobały mi się te książki i prosiłem wujka, żeby mi jeszcze przyniósł. Obiecał.

Czasem, gdy nas się zeszło trzech lub czterech pasterzy przy krowach w polu, zaczynałem im opowiadać o tym, co czytałem. Słuchali chętnie. Raz odezwał się jeden z nich:

— E, teraz cheba tak nima...

— Mój wujek mówił, że jest tak samo — odpowiedziałem.

— E, co ta twój ujek wi. U nos w chałupie opowiadali, że twój ujek to bolszewik. I trza sie go wystrzygać...

— Kto tak powiedział?

— Kto powiedział, to powiedział, nie powiem i już...

Zmartwiło mnie to, że wujka tak przezywają, ale nie powiedziałem mu nic. Nie wiedziałem, dlaczego tak o nim mówią. Raz, gdyśmy poszli spać na strych, zapytałem go.

— Wujku, jak kogo przezywają bolszewikiem, to jest to co złego?

— Co ci znowu do głowy przyszło? To zależy, widzisz, jak kto... Jeden się może obrazić, a drugi będzie to uważał za zaszczyt. Ale złego to nie jest nic... Bolszewicy, bratku, to tacy sami ludzie, jak i u nas we wsi, ino inaczej myślą i nie lubią panów, księży i tych co nic nie robią. Zapamiętaj to sobie.

Chodziłem już ostatni rok do szkoły. Wujek gdzieś pojechał i nie było go ze dwa tygodnie. Przyjechał z jakimś nieznanym chłopem i ten był u nas coś ze trzy dni. Do babki mówił «proszę pani».

— E, jako jo tyz pani, prosze pana — odpowiadała babka.

Siadywał z wujkiem wieczorem pod stodołą i coś szeptem rozmawiali. Gdym czasem do nich podchodził, wujek odzywał się zaraz:

— Hulaj no stąd, bratku!...

Bardzo mnie interesował ten nieznajomy. Gdy odjeżdżał, po-
dał mi rękę i powiedział:

— No, trzymaj się, mały proletariuszu!...

— Nie bój się, on się ta będzie trzymał. Bystry jest — odrzekł
wujek.

Może po dwóch dniach po tym odjeździe, przed świtem, gdy
jeszcze nawet wujek na pociąg nie wstawał, obudziła mnie roz-
mowa na strychu. Otwarłem oczy.

Wujek wkładał już spodnie, a na drabinie stał żandarm. Ze-
rwałem się na równe nogi. W sieni zobaczyłem jeszcze dwóch.

Ten żandarm co stał na drabinie wyszedł na strych i wujek
zeszedł do sieni. Potem wylazł na strych jeszcze jeden żandarm
i zaczęli we dwójkę przewracać słomę. Wujek przez ten czas
sznurował sobie trzewiki, a żandarm stał nad nim. Zdawało mi
się, że żandarm pilnuje, żeby wujek dobrze sznurował.

Babka miała wystraszone oczy, roztrzepane włosy i tylko w
zarzuconej na koszulę spódnicy latała tam i z powrotem po
sieni, zaglądała na strych i powtarzała bez przerwy:

— Panowie, rany boskie, panowie!... Całą słomę mi poprze-
wracacie, miałam tak ładnie poukładano. Pomiszo mi sie łowsia-
no z jęczmienną...

I znowu schodziła po drabinie do sieni i znowu labiedziła:

— A cóż wy tyz od niego, panowie, chcecie? Zabił kogo, czy
jak? Do roboty jeździ jak pon bóg przykosoł... Abo czy to
komu we wsi wlos bodej na noge? Abo co komu ukrod?... Ej,
panowie, panowie, opamiętajciez się...

— Nie jęczcie, matko... Wy nic nie wiecie. Taki to gorszy
jak złodziej — odezwał się ten żandarm co stał przy wujku.

— Niech no pan uważa — powiedział wujek.

Ci dwaj zeszedli ze strychu. Mieli pełno słomy na plecach.

— A komora gdzie? — zapytał jeden.

— I do komórki chcecie iść?... Tam przecie nic nima...

— Otwórzcie no, nie gadajcie!...

Babka rozłożyła ręce.

Z komórki przeszli do izby. Z łóżka babki wyrzucili wszystką
słomę i przewracali wszystkie spódnice w skrzyni.

— Kej tyz chłopom w babskich spodnicach kopać!... Jak się
tyz panowie nie wstydzicie...

Żandarmi wybuchnęli śmiechem.

— Dajcie, babko, spokój — odezwał się wujek.

Był już ubrany i miał smutną twarz.

— Gotowy? — zapytał żandarm.

— Tak — odpowiedział wujek.

— No, to jazda!

Babka stała przy blasze i dziwnie jej goniły oczka.

— A kez wy go bierzecie?

— Do kryminału, matko. Wiecie już?

— Do hareštu? — zapytała zdziwiona.

Zdawało mi się, że zastygła w tym zdziwieniu, bo nawet nie odrzekła nic, gdy jej wujek powiedział:

— Bądźcie zdrowi, babko...

— A ty się trzymaj i sprawuj się dobrze — powiedział do mnie i uśmiechnął się dziwnie.

— A kiedy przyjdiesz? — zapytałem.

— Przyjdę, przyjdę, nie martw się nic...

Ręce wujka związał żandarm błyszczącymi łańcuszkami. Na takim samym łańcuchu uwiązany był przy budzie Juszczyków pies, na którego wołaliśmy Zagraj. Wyleciałem za nimi aż na drogę. Jeden żandarm szedł na przodzie, za nim wujek, a dwóch za wujkiem. Patrzyłem, aż znikli na zakręcie drogi, która prowadziła do Wieliczki. I wtedy nagle zrobiło mi się żal wujka, tak, że chętnie bym płakał. Nie mogłem jednak tym razem. Tylko wewnątrz coś mnie straszliwie paliło, wydawało mi się, że nie wytrzymam i ryknę.

Był czerwiec. W tym czasie okwitały zboża i gdy się tylko zrywał najmniejszy wietrzyk, nad stajaniem unosił się ledwo widoczny, o chlebnym zapachu pył. Wujka nie było. Nie wiedzieliśmy nawet, gdzie go zabrali. W pierwszych dniach babka labiedziła trochę, że go ano szkoda.

— Byłby mi łakę zesik i przy żniwach dopomóg. A tak musi człowiek najmuwać do pomocy, a tu nima za co. Ze tyz taki stary i taki głupi. Zmamroł sie z jakimisik nieznanomemi diobłami i teraz musi cirpieć. Ale jo zawsze tak powiadom... Jak se kto pościele, tak sie wyśpi.

Pogadała i przestała. Jakby w ogóle zapomniała o wujku. We wsi też ludzie gadali. Nawet się śmiali. Śmiał się nasz sąsiad Juszczyk, śmiali się u Krzywdziny, śmiał się stary Pyrz, Marchewka i inni.

— Taki ano mądrala i tak se dowojarzuł — powiedział raz wieczorem Juszczyk do babki, gdyśmy stali przy płocie. — Wy nawet nie wicie, kto to taki ten wasz pasirb.

— Cóż jo sie ta, moi kochani, rozumie na tym — odrzekła babka.

— To niby, wicie, przeciw swojemu krajowi był. Roz ano idziewa se razem z pociągu do chałupy i pogworkujewa o tym i owym. Jo ta, wicie, nie wierzuł, co ludzie brżakali o nim i gadu, gadu, zaczon niby o ty tam jego polityce. I wicie co mi powiedział?

Babka się bardziej nachyliła na płot, aż zaczął z lekka potrząskiwać i otwarła szerzej oczy w oczekiwaniu.

— Że ano chłopci powinni lo siebie dwór podzielić, każdy po takim kawółku, a panów do łopaty zaprzagnąć...

— No, widziały światy? Co mu znowu do łba przylazło! — zdziwiła się babka.

— Tak ano powiedział. A tu, widzicie, pon bóg tak urządził

świat, jak uwożół i co nom sie ta chrobokom przeciw temu sprzeciwiac. Pon był zawsze panem i panem zostanie. To już szkoda zachodu koło tego... niby...

— Kej jo ta wiem co o tym...

— A pewnie, skąd byście mieli wiedzieć. Coż wos to niby może obchodzić. Bedzecie mieć teraz spokój w chałupie.

— Prowdeście powiedzieli, święto prowe — odrzekła babka. Przy wieczerzy babka powiedziała do mnie:

— Widzisz, co ludzie godajo o ujku... Teraz człowiek głupieje z tego wszystkiego. Nie wiadomo kogo słuchać.

— Wszyscy cyganie jak te psy, bo som na wujka źli — odpowiedziałem.

— Ano, ty przecie zawsze za nim obstowosz. Uwożój, żeby cie ino pon bóg nie skoroł i żebyś nie był taki jaki un.

— Nojwięcy mi ta o to. Bede to jo, a nie wy. A jak sie komu nie podoba, to niech se odmieni — odpowiedziałem babce.

— Patrzcie sie ludzie. Bedziesz mi to dogaduwoł, ty gówniozru. Jo ci tu dom!... Jo ci tu dom! — rozłościła się, porwała z blachy kawałek rąbanego patyka i chciała mnie uderzyć. Chwyciłem ją za rękę, patyk wypadł jej na izbę, a ja uciekłem na pole.

— Czekoj, czekoj, ty smoku! Jo ci pokoże, które półdnia dłuższe. Nie pokazuj mi sie na oczy w chałupie!

I tej nocy nie przyszedłem spać do chałupy. Wlazłem przez strzechę do stodoły i spałem na słomie. Słoma była zesłoroczna i śmierdziała stęchlizną.

Długo nie mogłem zasnąć. Myśli krążyły mi wciąż koło wujka i koło własnego życia. Bo nagle poczułem się obco w chałupie babki, gdy wujka zabrali żandarmi. Zdawało mi się, że wszyscy ludzie są o coś na mnie źli, że mogą mnie gdzieś złapać i zbić — zbić zwyczajnie o nic — tak, ze złości. Wujka przecież nie ma, któż się za mną ujmie? Nie miałem nikogo we wsi. Wszyscy byli dla mnie dalecy, obcy. A babka? Cóż babka, nie była przecież moja. Nigdy się za mną nie ujęła, gdy mi kto krzywdę wyrządził. Matka nie przyjeżdżała i nawet ani razu nie napisała listu. Może już zapomniała? Więc sam jak palec. I tej ciepłej czerwcowej nocy, leżąc na stęchłej zesłorocznej mierzwie odczułem może pierwszy raz w życiu samotność. Odczułem ją świadomością dorosłego dziecka, które już potrafi odróżnić dobro od krzywdy, ciepło matki i ojca od oziębłości obcych — choć ciepło było mi obce, tak samo, jak obcy był mi światły chleb, spanie pod pierzyną w łóżku i dobro.

Wcisnąłem twarz w słomę i musiałem płakać. Nie było tu nikogo, tylko słoma, słupy i deski. I można się było wypłakać za wszystko co bolalo. Wypłakać się może pierwszym świadomym płaczem.

A za deskami, którymi była obita stodoła, szumiał słaby

wiatr i pachniały akacje, które prawie rozkwitały. Rosły przy samej stodole.

Tymczasem rok szkolny zbliżał się ku końcowi. Sam kierownik pytał «na klasy», upominał i doganiał nawet trzcina.

Najbardziej pilnował Juszczykowego Franka, bo miał iść dalej do szkoły do Wieliczki. Ale Juszczykowemu Frankowi dalej szła źle nauka. Stękał przy tablicy, aż mu rosa występowała na czoło i nijak nie mógł sobie dać rady.

Kierownik się złościł:

— A nuże, a nuże! O, ty żróbkul... Ojciec ci za dużo jeść daje i sadło ci mózg oblało. Och, ja bym ci tego tłuszczu trochę ujął, ja bym ci ujął!...

Czasem aż płakał, tak mu kierownik dokuczył swoim gadaniem.

Ale do szkoły w Wieliczce zdał i został przyjęty.

Przy pożegnaniu szkoły nauczyciel wygłosił do nas mowę:

— ...Chłopcy, niech wam ta szkoła świeci przez całe życie. Korzystajcie z tego, coście się u mnie nauczyli. Nie zapominajcie o tym, że ja wam tu zawsze kładłem do głowy łopata, żebyście szanowali zwierzchników, przełożonych i starszych i żyli według przykazań bożych. Wystrzegajcie się złych uczynków i złych ludzi, żebyście się nie stali tym kłosem między pszenicą, o którym nieraz opowiadałem. A jak będziecie potrzebowali rady, przychodźcie do mnie. Nie zapominajcie o tym, że ja was tu uczyłem. Bo to tak bywa, że takie parobczaki, którzy już ze szkoły wyjdą, to mają ino w głowie kołki i zabijanie. A jak spotkają swojego nauczyciela, co się tu nad nimi męczył, to spuszczają łby i przechodzą jak te woły. I nawet kapelusza nie zdejmą. Pamiętajcie, że ja was nie tak uczyłem. Pamiętajcie, nie bądźcie tacy...

Później rozdawał świadectwa ukończenia szkoły ludowej w Zakrzowie. Każdy podchodził kolejno do stołu, odbierał świadectwo, całował kierownika i wracał. Gdy przyszła kolej na mnie, kierownik powiedział przy wręczaniu:

— Masz, chłopcze, świadectwo, że ci wszędzie będzie z nim dobrze. Szanuj, bo to twój jedyny majątek.

Chałupa była zamknięta i kłódka wisiała u drzwi. Babki nie było. Grabiła siano na łące. Ze świadectwem w ręce poleciałem w pole.

— Aleś się wysiedziół w ty szkole. Bier sie od razu do grabienia, bo się chmuro. No, czegóż ty stoisz, jakby cie, nie przy-mirzając, mieli doić?

— Babko, ja wam ino chciałem moje świadectwo pokazać. Mom z góry na dół bardzo dobrze — odezwałem się nieśmiało.

— Coś ty chcioł?

— Żebyście moje świadectwo oglądneli — powtórzyłem.

Myślałem, że babka naprawdę obejrzy, każe sobie wszystko

przeczytać i pochwali mnie, bo na sekundę przestała grabić i popatrzyła się na mnie jakby z zaciekawieniem.

— Mom ano haw twoje świadectwo — krzykła i obróciła się do mnie tyłem. — Bedzie mi tu o świadectwie godoł. Grabić trza. Tyle lot bogu dzięki przeżyłam na świecie i ni miałam żodnego świadectwa i nic mi sie nie stało. Takiś sie duży ochowoł i tak mosz pstro w głowie. Myślisz, że panem będziesz? Służba cie ano czeko, chłopoku, że służba. Jużem sie doś z tobom nameczyła. Pomożes mi jeszcze przy żniwach i trzeba się zabirać z chałupy. Ani ci święty boże nie pomoże. Trza sie zabirać...

Stałem na skraju łąki ze spuszczoną głową i słuchałem litanii babki. Każde jej słowo spadało na mnie, jak twardy, dębowy kij i gruchotało na drobne kawałki tę chwilową uciechę, jaką mi przyniosło dobre świadectwo i słowa kierownika, że mi z tym świadectwem wszędzie będzie dobrze.

— Aboś ty ano kmiocy syn? Takiemu jak ty wydoli, jak sie umie podpisać na papierze i na książeczce przeczytać w kościele... Bier grabie!

Złożyłem świadectwo na cztery części, schowałem do kieszeni, wzięłem grabie i zacząłem grabić. Możem pograbił z kwadrans, gdy babka znowu krzykła:

— O, ty paradniuku! Toś ty w świętálnym ubraniu do siana przyszedł! Jak wezne tych grabi, jak cie zdziele przez łeb, to ci zaraz wybiję to świadectwo... O, najświętszo panienko, co tyz ty, chłopok, mosz w ty głowie! Pon bóg cie pewnie upośledziuł tom głupotą... Jo już sama nie wiem co myśleć. Leć na jedny nodze do chałupy i przebier sie. Ino tam nie siedź godzinie...

— Chałupa zamknięto. Jakże sie miałem przebrać — odezwałem się.

— Jak to umi wykręcać. Nie wisz ano kej klucz zawsze leży? Jest pod strzechom nad oknem.

Położyłem grabie i poleciałem. Poszedłem drogą, chociaż miedzą było bliżej. Nie wiem — dlaczego. Droga była szeroka, że się dwa wozy mogły wyminąć. Na środku było pełno mniejszych i większych wyboin. Gdy bywało błoto, koła wpadały, aż po same łby i nawet para koni z trudem mogła uciągnąć wóz.

Już przy samej wsi spotkałem Juszczykowego Franka. Wracał z matką z Wieliczki. Był w nowym, granatowym ubraniu i w gimnazjalnej rogatywce z niebieskim otokiem. Zrównałem się z nimi.

Franek uśmiechnął się do mnie.

— Gdzieś był? — zapytał.

— U babki przy sianie. A ty z Wieliczki?

— Ano... Chodź się po południu kapać na dworski staw.

— Jak będę miał czas to pójde.

Wtedy jego matka popatrzyła na mnie z ukosa. Była tłusta, szeroka w plecach, gdy szła, kolebała się cała, jak drzewo, gdy

mu podcinają korzenie. We wsi przezywano ją «klaczą». Zakaszła, jakby umyślnie, i rzekła:

— A cóż ty, Franuś, mosz z nim chodzić. Tyś moje dziecko, nie to co un. Tyś już student, a un będzie dali pos krowy. To ty tego nie wisz?

A potem zwróciła się do mnie:

— Idźże se, chłopok, swojom drógom... kej mosz iść. Nie lo psa kiełbasa.

I przeszła razem z Frankiem na drugą stronę drogi.

Minąłem ich i poszedłem gdzie miałem iść.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

Z DZIEJÓW RUCHU REWOLUCYJNEGO

ROMAN WERFEL

UDZIAŁ POLAKÓW W KOMUNIE PARYSKIEJ 1871 r.

I

Kiedy w dniu 18 marca 1871 r. wznosił się nad Paryżem sztandar Komuny, w Paryżu przebywała liczna emigracja polska. Wielu członków tej emigracji miało stanąć w szeregach komunardów, wielu miało przelać swą krew na barykadach Komuny, wielu miało paść ofiarą egzekucyjnych plutonów kątów wersalskich. W Komunie Paryskiej kolonia polska w Paryżu wzięła udział niezwykle żywy — żywszy niż w jakimkolwiek innym ruchu rewolucyjnym na ziemi francuskiej.

Przyczyną tego faktu była okoliczność, że co do składu społecznego i oblicza politycznego, była to emigracja inna niż te emigracje, które zastały w Paryżu wypadki rewolucyjne 1848 r., czy też próby powstańcze lat poprzednich. Dawniej była to zasadniczo emigracja 1831 r., stosunkowo słabo tylko uzupełniana nielicznymi późniejszymi emigrantami. We Francji skupiała się emigracja niemal wyłącznie szlachecka z pochodzenia, żyjąca w odosobnieniu od ludności francuskiej, skoncentrowana przeważnie po «zakładach». Niemi, wiążącymi jej lewicę z rewolucyjnymi organizacjami innych narodów, były — z nielicznymi wyjątkami — raczej kontakty organizacyjno-polityczne, aniżeli zażyłe stosunki osobiste. Natomiast w 1870 r. przebywała w Paryżu przede wszystkim emigracja powstania 1863 r., jedyne-go ruchu powstańczego, w którym, na wielkiej polaci kraju, wzięły świadomie, dobrowolnie udział elementy nieszlacheckie — mieszczańska inteligencja, lud miejski, gdzieniegdzie chłopci. Sporo tego elementu ludowego napłynęło i na emigrację. Był to element świadomy, przejęty w znacznym stopniu ideami demokratycznymi, wiążący się szybko ze społeczeństwami zachodnimi. Wielu emigrantów polskich zapisywało się na uni-

wersytety francuskie i szwajcarskie, brało udział w życiu studenckim, w którym wtedy niezwykle żywotne były prądy socjalistyczne i demokratyczne. Wielu spośród nich pracowało zawodowo, jako zwykli robotnicy, wchodząc w ten sposób w świat robotników francuskich — gen. Wróblewski np. pracował jako zecer w jednej z drukarni paryskich. Wszystko to sprawiało, że ta «nowa» emigracja, a co najmniej jej większość, reagowała o wiele szybciej na wszystkie hasła rewolucyjne, że o wiele ściślej współpracowała z emigracją rewolucyjną innych narodów, że łączyła się bezpośrednio z rewolucjonistami krajów, w których się znajdowała. Ze zgorzeniem patrzyli na to «starzy» emigranci.

«Nie masz w łonie wychodźców naszych gorszego żywiołu — oświadczał Ludwik Bulewski, bądź co bądź «lewicowiec» w łonie «starej» emigracji, przyjaciel Mazziniego i jeden z przywódców «Ogniska Republikańskiego Polskiego» — jak ten, który w szeregach ich przybył za granicę w r. 1863. Składa się on po największej części z młodzieży niedostatecznie wykształconej... Nic tak nie demoralizuje umysłu na poły tylko wyrobionego, jak konspiracja. A ci panowie konspirowali przed opuszczeniem kraju co najmniej dwa lata» («Czas», Kraków, 2.VI.1871, str. 2).

Bulewski miał powody do oburzenia. Z zalem musiał patrzeć, jak wśród emigracji powstawały i brały górę kierunki, sprzeczne całkowicie z jego światopoglądem, ze światopoglądem konsekwentnego burżuazyjno-szlacheckiego demokraty. Wśród emigracji rozchodziły się szeroko pisma takie, jak «Gmina» (1866—67), organ J. Brzezińskiego, syna chłopskiego ze Żmudzi, b. studenta uniwersytetu moskiewskiego, głoszącego pół-utopijny, narodnicki socjalizm, wysuwającego hasło federacji ludowej Polski z ludową Rosją, Litwą, Ukrainą, namiętnie atakującego tych, co wzdychali: «Pańszczyznę, wolność racz nam wrócić panie» (por. «Niepodległość», Warszawa, 1931, t. I, str. 27). Popularna była «Zmowa» Tokarzewicza i Rożałowskiego, która, na mniej niż rok przed Komuną, pisała: «Odrzucamy i potępiamy wszelkie instytucje, na których się opiera nowoczesny porządek społeczny, gdyż takowy fatalnie ciągnie za sobą niewolę, ciemnotę i nędzę dla milionów, a zbytek, rozpustę i znikczemnienie dla tysięcy... Mamy na widoku orężne powstanie ludu przeciw wszystkim, którzy owego porządku rozmyślnie bronią; mamy na widoku nową rewolucję» (tamże, str. 193).

Nowe prądy ujawniły się i w życiu organizacyjnym emigracji. Nie tylko «Hotel Lambert» czartoryszczyków, ale i grupa mieroślawszczyków, roszcząca sobie pretensje do dziedzictwa po dawnym Towarzystwie Demokratycznym — pozostały prywatnymi kapliczkami, na uboczu od głównego prądu życia emigracyjnego.



Jarosław Dąbrowski

Czołową organizacją stało się Zjednoczenie Emigracji Polskiej, opierające się o zasady manifestu 22 stycznia 1863 r., występujące jako organizacja bojowo-demokratyczna. Podjęta przez elementy klerykalno-prawicowe próba zorganizowania «Ogółu» emigracyjnego, jako przeciwwagi przeciw «Zjednoczeniu», skończyła się haniebnym fiaskiem.

W «Zjednoczeniu» czołowymi postaciami byli szczerzy demokraci, bliscy poglądom socjalistycznym. W r. 1866 — przy wyborach do Komitetu Reprezentacyjnego Zjednoczenia, wysunęły się na czoło dwie postaci: gen. Hauke-Bosak (pierwszy Polak-autor broszury o strajku generalnym) i Jarosław Dąbrowski. Przy ogólnej liczbie 1170 głosujących, na Bosaka padło 810 głosów, na Jarosława Dąbrowskiego — 720 głosów. Przy wyborach 1867 r. liczba głosów za Dąbrowskim nieco zmalała: przy 715 głosujących padło za nim 415 głosów — 58⁰/₁₀₀ ogółu głosujących, zamiast 61⁰/₁₀₀ przed rokiem. Przyczyną spadku głosów była nagonka, podjęta przeciw Dąbrowskiemu w związku z jego mężnym wystąpieniem w obronie Ukraińców w Galicji: w liście do bendlikańskiej «Niepodległości» zaprotestował stanowczo przeciw odmawianiu przez szlachecki sejm lwowski «Rusinom» galicyjskim prawa do własnego języka, kultury, narodowości. Wystąpienie to spowodowało wściekłą, szowinistyczną kampanię przeciw Dąbrowskiemu we wszystkich organach reakcji szlacheckiej i szlachecko-burżuazyjnej demokracji. W tych warunkach utrzymanie niemal bez zmiany procentowego stosunku głosów należy raczej uważać za sukces. A obok tego — wybory 1867 r. wysunęły na czoło nowego towarzysza ideowego Jarosława Dąbrowskiego: na 715 głosujących 634 oddało swe głosy za Walerym Wróblewskim. Elementy socjalistyczno-demokratyczne (oczywista: dalekie jeszcze od naukowego socjalizmu Marksa i Engelsa) wyraźnie obejmowały ster ideowy życia emigracyjnego.

Mówimy tu tylko o życiu wewnętrznym emigracji. Ale warto wspomnieć o jeszcze jednej okoliczności: w ówczesnych sekcjach Międzynarodowego Stowarzyszenia Robotników wielu było Polaków. Niestety, w prasie emigracyjnej polskiej spotykamy się tylko z poszczególnymi aluzjami i wzmiankami, a z prasy Międzynarodówki nie mamy możliwości skorzystać. Wiadomo, że blisko z Międzynarodówką współpracowała emigracja londyńska — jeden z przedstawicieli «starej» emigracji, Antoni Żabicki, były działacz lewicy Towarzystwa Demokratycznego, zasiadł w Radzie Międzynarodówki. I w innych krajach, w szczególności w Belgii, w Szwajcarii, Polacy należeli do sekcji Międzynarodówki. Akcja Międzynarodówki wśród Polaków przyczyniła się w poważnym stopniu do wzmożenia udziału Polaków w Komunie.

Masowy udział Polaków w Komunie przygotowany był więc przez uprzedni rozwój wypadków w łonie emigracji, przez

ożywioną akcję elementów socjalistyczno-demokratycznych wśród emigracji, przez działalność Pierwszej Międzynarodówki wśród Polaków.

II

Dwie postaci wysuwają się na czoło wśród polskich komunistów: Jarosław Dąbrowski i Walery Wróblewski.

Dąbrowski w powstaniu styczniowym reprezentował rewolucyjną lewicę «Czerwonych», reprezentował koncepcję rewolucji ludowej i sojuszu z ruchem rewolucyjnym rosyjskim. Na emigracji, jak widzieliśmy, Dąbrowski odgrywał poważną rolę. Był też solą w oku carskiej ambasady: korzystając z wykrycia związanej z nim tajnej drukarni, wyrabiającej fałszywe blankiety paszportowe dla potrzeb roboty rewolucyjnej polskiej i rosyjskiej — carscy prowokatorzy usiłowali wpłatać Dąbrowskiego w aferę fałszowania... banknotów rosyjskich! Ale nawet sąd Drugiego Cesarstwa zmuszony był uwolnić polskiego rewolucjonistę — nie przeszkodziło to zresztą później reakcji polskiej w plugawieniu pamięci Dąbrowskiego tym właśnie z carskiego arsenału zaczerpniętym oszczerstwem.

Wojna 1870 r. zastała Dąbrowskiego w Paryżu. Demokrata i republikanin, pozostał obojętny wobec wojny zaborczej, toczonej przez Napoleona. Dopiero po Sedanie i ogłoszeniu Republiki, zgłosił się do szeregów. Ale burżuazyjni republikanie bali się cara: Dąbrowskiego nie przyjęto do armii. Burżuazyjni republikanie, ze strachu przed własnym ludem, sabotują obronę Paryża — Dąbrowski podejmuje walkę przeciw zdrajcom. Pisuje w prasie. Wydaje broszurę «Trochu comme organisateur et comme général en chef», piętnując zdradzieckie manewry generałów Republiki. Wygłasza odczyty na ten sam temat w klubach robotniczych Paryża. Trochu każe go aresztować. Dopiero po kapitulacji Paryża Dąbrowski wychodzi na wolność.

Kapitulację tę Dąbrowski przeżył niezwykle ciężko: «Jestem... — pisze do przyjaciela — ...tak złamany tym dramatem okropnym, gdzie lud pełen zapału i poświęcenia, posiadający potężne środki materialne, środki mogące wystarczyć na przywrócenie pokoju i swobody dla całej Europy, został... haniebnie sprzedany przez garstkę łotrów i niedołęgów, że postanowiłem raz na zawsze usunąć się od życia publicznego...» (Wołowski, Polacy w rewolucji paryskiej, str. 23). Ale to chwilowe zniechęcenie od razu ustępuje, kiedy Dąbrowski widzi nowe siły, występujące do walki przeciw «garstce łotrów i niedołęgów».

Walka przeciw Trochu związała Dąbrowskiego z rewolucyjnymi klubami robotniczymi. «W styczniu, kiedy organizacje rewolucyjne Paryża gotowały się do obalenia rządu, proponowały Dąbrowskiemu stanowisko szefa sztabu generalnego» (Керженцев, История Парижской Коммуны 1871, str. 279).

Z chwilą kiedy proletariat Paryża przepędził rząd Thiersa, Dąbrowski ukazał się na widowni — «18 marca członkowie Centralnego Komitetu Federacyjnego gwardii narodowej, a panowie Paryża zaledwie od kilku godzin, powołali Dąbrowskiego na radę wojenną» (Wołowski, Polacy w rewolucji paryskiej, str. 25). W ciągu krótkiego czasu Jarosław Dąbrowski mianowany został dowódcą głównym wojsk Komuny.

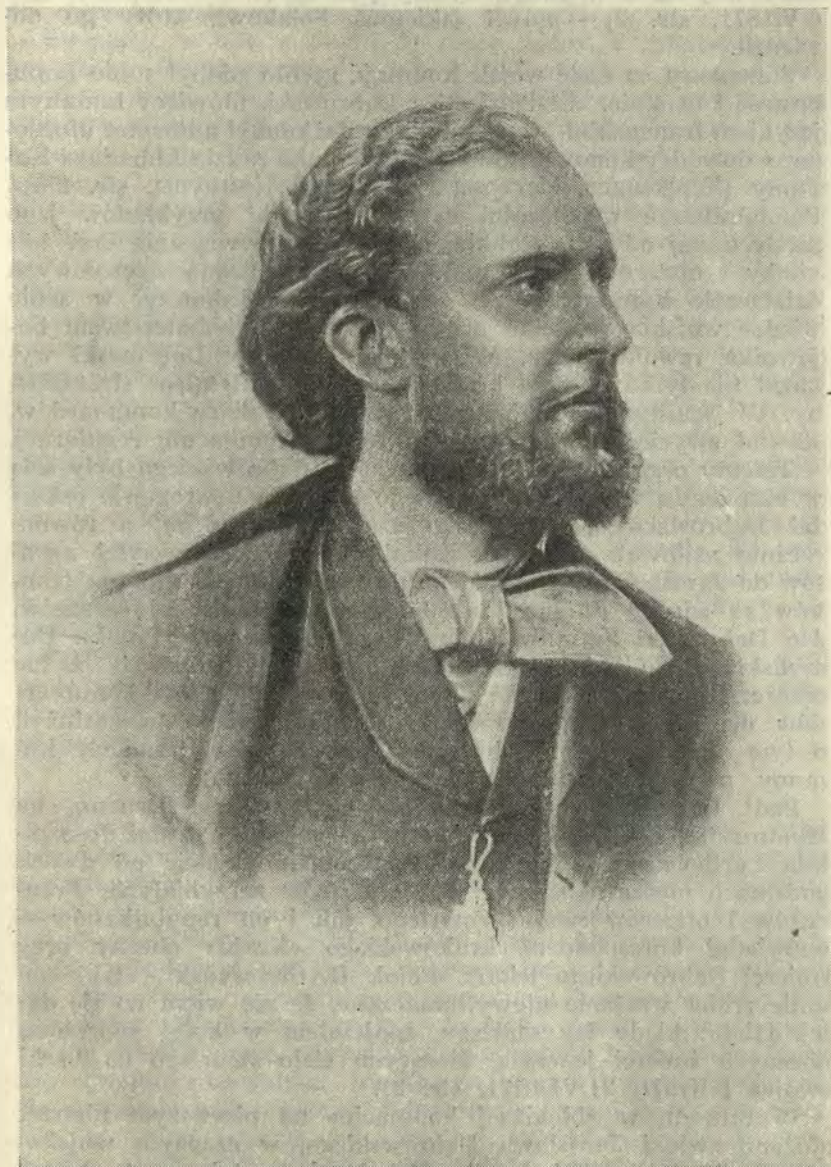
Objął tę funkcję kierowany głęboką solidarnością ideową, a nie jakimiś względami osobistymi. Jeszcze na cztery lata przed Komuną, 13 lutego 1867, w oświadczeniu złożonym na emigracyjnej gminie Batignolles tak określił swoje stanowisko ideowe: «Postępem... nazywam coraz to większy rozwój sprawiedliwości, czy to w dziedzinie równości, czy wolności politycznej, czy też w kwestii udziału w używaniu materialnym» («Niepodległość», Warszawa, 1935, t. I, str. 180). Na tym stanowisku, dalekim jeszcze od naukowego socjalizmu, motywując swoje dążenia idealistycznie hasłem «sprawiedliwości», daje jednak Dąbrowski wyraz solidarności nie tylko z demokracją polityczną, ale i z socjalizmem w dziedzinie gospodarczej.

Wypadki 1870 r. jeszcze pogłębiły w Dąbrowskim to przekonanie: «Rząd wersalski i Zgromadzenie Narodowe były dla Dąbrowskiego prawdziwymi winowajcami wszystkich nieszczęść, które zwały się na Francję, naturalnymi sojusznikami wszelkiego despotyzmu...» — pisze Wołowski, który rozmawiał z nim w czasie Komuny (Wołowski, Dombrowski et Versailles, str. 68).

Sytuację Komuny widział Dąbrowski zupełnie jasno. Dnia 18 marca wieczorem «na zapytanie Komitetu, co myśli o sytuacji, Dąbrowski odpowiedział, że trzeba tego samego wieczora, zwoławszy gwardię narodową, uderzyć na Wersal, wziąć rząd i Zgromadzenie Narodowe, jako nie posiadające zaufania kraju, w niewolę i rozpisać wybory na Konstytuantę» (Wołowski, Polacy w rewolucji paryskiej, str. 25).

«... Rząd wersalski uważa was za buntowników i na traktowanie z wami się nie zgodzi. Siłą więc wypadków i przez sam lud, któremu ulegać musicie, będziecie popchnięci do stoczenia walki orężnej» (tamże, str. 26) — mówił członkom Komitetu bojącym się «rozpętania wojny domowej». Jak dalece Dąbrowski miał rację potwierdza Marks: «Trzeba było zaraz maszerować do Wersalu, skoro tylko wpierw Vinoy, a potem reakcyjna część paryskiej gwardii narodowej sama wycofała się z pola bitwy. Przez skrupuły sumienia nie wyzyskano odpowiedniej chwili. Nie chciano *rozpocząć wojny domowej*, jak gdyby złośliwy potworek Thiers swą próbą rozbrojenia Paryża nie rozpoczął już wojny domowej» (Marks, *Ausgewählte Schriften*, Moskwa, Inoizdat, 1934, t. II, str. 545).

Dąbrowski widział trudności, przed jakimi stała Komuna, ale wierzył w jej zwycięstwo i czuł się związany z ludem.



Walery Wróblewski

«Lud chce dziś bronić praw swoich, nie pomagać mu, gdy mnie wzywa, a ja mogę, byłoby podłością» («Kraj», Kraków, 6.V.1871, str. 2) — mówił jakiemuś Polakowi, który go odwiedził.

Stanąwszy na czele wojsk Komuny, rychło zdobył sobie popularność i uznanie. «Cudzoziemiec Dąbrowski, mówiący łamanym językiem francuskim, w ciągu kilku dni zdobył autorytet ulubionego dowódcy komunardów» — pisze o nim radziecki badacz Komuny (Керженцев, История Парижской Коммуны, str. 299). Pamiętnikarze współcześni cytują dziesiątki przykładów jego niesłychanej odwagi, szybkiej orientacji, przywiązania do żołnierzy i oficerów Komuny. Louise Michel, jedna z czołowych działaczek Komuny, pisze, że Dąbrowski jednoczył w sobie wiedzę wojskową oficera armii regularnej z bohaterstwem bojownika rewolucyjnego. W walkach Komuny Dąbrowski wykazał nie tylko odwagę i wiedzę, ale i wielki talent strategiczny. W Neuilly np., mając zaledwie 2—3 tysiące komunardów, stawił zwycięsko czoło przeszło 10 tysiącom armii regularnej.

Talenty organizatorskie i strategiczne Dąbrowskiego były solą w oku rządu wersalskiego. Dlatego rząd ten uporczywie oskarżał Dąbrowskiego, jakoby był szpiegiem pruskim, a równocześnie usiłował go kupić. Kilkakrotnie Thiers wysyłał agentów do Jarosława Dąbrowskiego, oferując mu pół miliona franków za zdradę Komuny lub bodaj opuszczenie jej szeregów. Ale Dąbrowski agentów Thiersa — między innymi Polaka Buszyńskiego — oddaje trybunałowi rewolucyjnemu i żadne oszczerstwa wersalskie nie mogą poderwać zaufania komunardów do ich młodego dowódcy. Że na zaufanie to zasłużył, o tym świadczy jego bohaterska śmierć na barykadach Komuny, po wdarciu się wersalczyków do miasta.

Padł Dąbrowski na barykadzie na bulwarze Druano, na Montmartre. Ciężko ranny w brzuch, zaniesiony został do szpitala Lariboisiere na bulwarze Rochechouart, gdzie po dwóch godzinach męczarni zmarł. «Płacz starców zgrzybiałych, Francuzów i oficerów sztabu zmarłego, jak i on republikanów — opowiadał korespondent krakowskiego «Kraju» obecny przy śmierci Dąbrowskiego lekarz, Polak H. Gierszyński — takie na mnie zrobił wrażenie niewytłumaczone, że nie wiem co się dalej działo: kiedy łyż otarłszy, spojrziałem w koło, widziałem obecnych śmierci generała, biorących ciało zmarłego na barki swoje» («Kraj», 21.VI.1871, str. 2).

W ratuszku, w «błękitnej komnacie» na pierwszym piętrze, złożono zwłoki Jarosława Dąbrowskiego, w czarnym wojskowym uniformie, na katafalku. Obok niego stała warta honorowa. «... Twarz, biała jak śnieg, o wąskim nosie, zaciśniętych ustach i z niewielką, ostro zakończoną blond bródką, była spokojna. Jego twarde, a zarazem delikatne rysy ujawniały... całą szlachetność jego duszy» (Lissagaray, Les huit journées de mai,

str. 77). «Oficerowie i żołnierze pod gradem kul ciągnęli przez plac Ratuszowy, aby spojrzeć i ucałować jego trupa» (Wołowski, Dombrowski et Versailles, str. 127—129).

Wreszcie, w noc z 23 na 24 maja, kiedy w mieście szaleje już rzeź i Paryż zaczyna płonąć — Dąbrowski wyrusza w swą ostatnią drogę. «Na Père-Lachaise trup Dąbrowskiego odbiera ostatnie honory. Przeniesiono go tam w nocy. Podczas przenoszenia, przy Bastylli rozegrała się wzruszająca scena. Komunardzi tych barykad zatrzymali pochód i ułożyli zwłoki u stóp Kolumny Lipcowej. Bojownicy, z pochodniami w dłoniach, utworzyli dokoła niego kaplicę z płomieni, a komunardzi, jeden po drugim, składali pocałunek na czole generała. Podczas ich defilady dobosze bili w bębny. Ciało, owinięte w czerwony sztandar, składa się teraz do grobu. Vermorel, brat generała, jego oficerowie, około dwustu gwardzistów, stoją wyprostowani z obnażonymi głowami. «Oto on — woła Vermorel — oto ten, którego odważano się oskarżać o zdradę! Jeden z pierwszych oddał swe życie za komunę! A my, co robimy, zamiast go naśladować?» I Vermorel mówi dalej, piętnując tchórzostwo i panikę. Słowa jego, urwane zwykle, biegną, rozgrzane namiętnością, jak potok stopionego metalu. «Przysięgnijmy, że nie wyjdziemy stąd, chyba po to, aby umrzeć». To było jego ostatnie zdanie; miał dotrzymać słowa. Armaty, tuż obok, co chwila zagłuszały jego głos. Mało było takich, którzy nie płakali.

Szczęśliwi ci, co będą mieli taki pogrzeb. Szczęśliwi ci, których pogrzebie się wśród bitwy, żegnanych przez armaty, opłakiwanych przez przyjaciół» (Lissagaray, Histoire de la Commune, str. 380—81).

* * *

Walery Wróblewski, którego nazwisko nierozwiązalnie związane jest z Komuną Paryską, brał również udział w powstaniu styczniowym. Był student petersburski, przyjaciel osobisty «Kastusia» Kalinowskiego, wraz z nim wydawał i kolportował «Muzykę Prawdę», powstańczy organ białoruski, pierwsze pismo rewolucyjne w języku białoruskim. «Czerwony» radykał jak Kalinowski, reprezentuje w powstaniu koncepcję *chłopskiej* rewolucji. «Wróblewski wierzy, że tylko przez rewolucję społeczną Polska może odzyskać niepodległość i dlatego zajmuje się rewolucjonizowaniem wiejskiego ludu i tłumaczeniem mu, że zniesienie pańszczyzny, uwłaszczenie ludu i polskie powstanie, są jedną nierozłączną kwestią» (H. Gierszyński, Wspomnienia o W. Wróblewskim, str. 4). W powstaniu — naczelnik wojskowy województw białostockiego, brzeskiego, lubelskiego i podlaskiego — jeden z ostatnich schodzi z pola bitwy, «posiekany od pięt aż do czubka», jak często sam mawiał. Na emigracji niezwykle popularny, wybierany do wszystkich komite-

tów. «Przeżył wszystkie instytucje — i z każdej wyszedł czysto, uczciwie, bez skazy... Żył w nędzy, w strasznej, nieopisanej nieraz nędzy. Na kilka tygodni przed nominacją na generała zapalał lampy olejne w teatrze Porte St. Martin... Subsydiów w prefekturze policji (udzielanych wtedy wszystkim emigrantom polskiem — przyp. R. W.) nigdy brać nie chciał» — pisze współczesny korespondent prasowy («Kraj», Kraków, 20.V.1871, str. 2).

Na emigracji posuwał się coraz bardziej na lewo. «W inną Polskę niż ta, którą lud nasz pracowitymi rękoma z grobu wydzwignie... nie wierzę... dla innej Polski ani żyć, ani umierać nie mogę... wszystko przez lud; to znaczy ani mniej, ani więcej tylko rewolucja mas, ku źródłom moralnym i materialnym zwrócona... Demokrata z pojęć, z zasad, z ducha, rewolucyjnym radykalistą jestem ze krwi, z przeszłości, z poprzednich przedpowstańczych robót» («Niepodległość», Warszawa, 1935, t. I, str. 187—8) — mówił z dumą o sobie w r. 1869. «Dla szczerego demokraty, który prawdziwie i szczerze pragnął rozwiązania kwestii włościańskiej, socjalizm jest tylko dalszym ciągiem wielkiej myśli rewolucji i postępu, toteż... Wróblewski walczy we Francji o prawa robotnika, tak jak w Polsce walczył o prawa chłopów» (H. Gierszyński, Wspomnienia o W. Wróblewskim, str. 6—7).

Podobnie jak Dąbrowski, Wróblewski zbliżył się do przyszłych działaczy Komuny w okresie walki ze zdrazieckimi machinacjami generała Trochu. Jak Dąbrowski, pisywał w prasie opozycyjnej, występował w klubach robotniczych. Podobnie jak Dąbrowski, powołany do współpracy bezpośrednio po 18 marca, był również zwolennikiem pochodu na Wersal.

Obok Dąbrowskiego, był czołowym generałem Komuny. «Komunie dał się poznać — pisze o nim radziecki historyk — jako wybitny dowódca wojskowy, wytrwały, metodyczny, odważny» (Керженцев, История Парижской Коммуны, str. 280). Wysoko cenią go współcześni mu działacze Komuny: Lissagaray, Louise Michel. Lissagaray podkreśla jego wiedzę wojskową, jego umiejętność wyzyskania wszystkich i wszystkiego. Louise Michel notuje: «Wróblewski walczy na Butte aux Chailles. Mam zaufanie» (L. Michel, La Commune, str. 270). To krótkie «on a confiance» wymowniejsze jest od wielu panegiryków. Wróblewski walczył do końca: oddziały jego broniły ostatnich barykad Komuny.

Po upadku Komuny Wróblewski schronił się do Londynu. Tutaj wstąpił do Międzynarodówki i został sekretarzem Rady Generalnej dla spraw polskich. We wszystkich sprawach wewnętrznych Międzynarodówki siedł za Marksem: w protokołach głosowań, w Radzie Generalnej i na Kongresie Haskim Międzynarodówki nazwisko jego figuruje zawsze po stronie Marksa i Engelsa. Często bywał u Marksa w domu.

Oblicze ideowe Wróblewskiego w tym okresie charakteryzuje dobitnie następujący urywek z jego przemówienia wygłoszonego na obchodzie niemieckiego «Kommunistischer Arbeiter-Bildungs-Verein» w Londynie, a tłumaczonego na tymże obchodzie z francuskiego na niemiecki przez Fryderyka Engelsa: «Dopóki będą żyli Polacy, dopóty wielki ruch robotniczy będzie miał obrońców w ich osobach; słowem i czynem zaświadczą oni, że ich miejsce jest tam, gdzie toczy się walka o interesy proletariatu» (Маркс—Энгельс, Сочинения, т. XV, str. 675).

Płomienny patriota, Wróblewski daleki był od wszelkiego antyrosyjskiego szowinizmu i nigdy nie dawał się użyć za narzędzie intryg dyplomatycznych i dywersyj innych mocarstw kapitalistycznych. Gierszyński opowiada: «W czasie wojny bałkańskiej lord Disraeli ofiarował mu 5 milionów, pod warunkiem, że urządzi wyprawę do Polski przez Morze Bałtyckie. Wróblewski zrozumiał dobrze, że sprytnemu ministrowi chodzi o dywersję w Polsce jedynie dla wymuszenia od Rosji korzystniejszych dla Anglii warunków przy zawieraniu pokoju. Odpowiedział przeto, że nie jest «condotierem», i że nie myśli się bić dla pieniędzy... W Genewie, gdzie przebywał później razem z innymi emigrantami Komuny, żył generał w ścisłych stosunkach z młodzieżą rewolucyjną rosyjską» (H. Gierszyński, Wspomnienia o W. Wróblewskim, str. 8).

III

Świetne nazwiska Dąbrowskiego i Wróblewskiego przesłoniły nieco innych Polaków, którzy brali udział w Komunie. A było ich sporo i oddali duże usługi sprawie Komuny. «W r. 1871 — stwierdza Engels — *liczna* (podkreślenie moje — R. W.) emigracja polska we Francji oddała się do dyspozycji Komuny» (Маркс—Энгельс, Сочинения, т. XV, str. 222). «Większość Polaków, przebywających w Paryżu, wzięła w walce czynny udział» — stwierdza współczesna korespondencja prasowa («Kraj», Kraków, 21.V.1871).

Nawet w wypadkach, które doprowadziły bezpośrednio do ogłoszenia Komuny, Polacy odegrali pewną rolę. «Motorem ruchu 19 marca — pisze Tokarzewicz do Jeża w maju 1871 — był Polak, co nam w czytelnicy przy rue de l'Ancienne Comedie w piecu palił. Zwie się Antoni Mycielski» («Niepodległość», Warszawa, 1931, t. I, str. 201).

Bezpośrednio po ogłoszeniu Komuny, komisja wyborcza powzięła uchwałę, że cudzoziemcy mogą być przyjęci do Komuny. «Zważwszy, że sztandar Komuny jest sztandarem Republiki światowej...» — brzmi pierwszy argument tej uchwały. Równocześnie Komuna zaczęła wzywać do swoich szeregów bojowników wszelkich narodów.

W kwietniu ogłoszony został manifest podpisany przez emi-

grantów Polaków: Kampańskiego, Tołłoczkę i Biernackiego. Powołując się na «socjalno-demokratyczny komitet polski» manifest wzywał do utworzenia w szeregach komunardów batalionu polskiego. Batalion ten miał się nazywać «batalionem strzelców nadwiślańskich».

Do stworzenia osobnego batalionu polskiego ostatecznie nie doszło. Za to wielu, bardzo wielu Polaków służyło w batalionach ogólnych, francuskich.

Jednym z czołowych dowódców Komuny był Okołowicz, garybaldczyk i powstaniec 1863 r. Walczył pod Asnières i odznaczył się szczególnym bohaterstwem. «Pułkownik Okołowicz otrzymał 3 rany, z których dwie w głowę. Zawieziono go do Paryża, ale tego samego jeszcze wieczora waleczny ten oficer chciał wrócić na pole bitwy. Widziano go na drugi dzień, dowodzącego swoim żołnierzom z głową całą obwiniętą bandażami» («Gazeta Narodowa», Lwów, 29.IV.1871, str. 2).

Landowski, jeden z czołowych działaczy obozu «czerwonego» 1863 r., dowodził legionem gwardii pod Asnières, potem był jakiś czas komisarzem komunikacji na Sekwanie.

W sztabie Wróblewskiego walczył i później został rozstrzelany przez wersalskich Aleksander Wernicki, «ulubieniec młodzieży, pracujący na polu politycznym» («Kraj», Kraków, 22.VI.1871, str. 2), korespondent krakowskiego «Kraju». Pisał on w czasie walk do tego dziennika:

«Wersal przedstawia dziś stek kapitalistów i dążących do zyskania kapitału, nie pytając jakimi środkami. Tam skupione państwo, któremu za zbytek ma służyć pańszczyźniany motłoch, pędzony do roboty nie bizunem ekonomia, lecz wprost głodem i nędzą. Więc w walce głodu i pracy z przepychem, czy podobna pozostać biernym widzemy?... Nikt z nas nie wyrzuci Kościuszce, ani Pułaskiemu, że wdali się w domową wojnę Ameryki z Anglią (domową?), wyzyskiwanej kolonii z metropolią. Nikt z nas nie potępi braci, walczących w Czarnogórze przeciwko Turkom, lub przeciwko gnębielom murzynów. Więc z tego powodu nie mamy prawa potępiać tych, co walczą we Francji za pracę wyrobników i wolność życia. Tym bardziej, że ci tylko nam szczerze sprzyjają, że to ich tylko pierś wydaje ciągłe okrzyki: Niech żyje Polska!» («Kraj», 12.V.1871, str. 2).

W ogóle w sztabie Wróblewskiego było wielu Polaków. Jego szefem sztabu był Rozwadowski, później członek Międzynarodówki, znany Marksowi, kilkakrotnie wspominany w jego listach. Był tam Nawrocki, Slezier i szereg innych. Adiutantem Dąbrowskiego był W. Rożałowski — w powstaniu styczniowym dowódca oddziału partyzanckiego na Wołyniu, na emigracji — współwydawca narodnicko-utopijnej «Zmowy», bliski Dąbrowskiemu szczególnie z racji wspólności poglądów na kwestię ukraińską, późniejszy biograf Dąbrowskiego. Walczył w szere-

gach Komuny pułkownik Czarnowski, emigrant jeszcze 1831 r., rozstrzelany później przez wersalczyków. Walczył Ferdynand Burba, powstaniec 1863 r., były student moskiewskiego uniwersytetu. W wykazach rozstrzelanych komunardów raz po raz spotykamy nazwiska polskie: Sławiński, Kawecki (jakaś Ładojska-Kawecka, być może jego żona, była aktywną działaczką w klubie wolnomyślicieli za Komuny), Kampański (organizator batalionu polskiego), robotnicy kolejowi Huszcza i Górski, Paździerski, Krysiński, Łukasiński i Gintyło (sprowadzeni do Wersalu i tam rozstrzelani), Dalewski (szwagier Zygmunta Sierakowskiego), Waszkowski, Truski, Biernacki, Kossakowski, Kwiatkowski, Potapeńko. Śmiercią walecznych polegali na barikadach Bąkowski, Miecznikowski, Świdziński Karol (kuzyn Jarosława Dąbrowskiego), Waligórski.

Wszyscy oni walczyli w szeregach komunardów. Niektórzy nawet specjalnie przybyli do Paryża, aby stanąć pod czerwonym sztandarem Komuny. Więc na przykład dwaj oficerowie artylerii Wolkert i Daszewski, służący w oddziale Garibaldiiego w armii republiki — na wieść o powstaniu Komuny porzucili ten oddział i «po wielu niebezpiecznych przeprawach» przedostali się do Paryża.

Jaka była ogólna liczba Polaków, biorących udział w Komunie? W dni majowe, w prasie wersalskiej, opłacanej przez carską ambasadę, ukazała się lista 700 Polaków, rzekomo biorących udział w Komunie. Stąd cyfra ta powędrowała dalej, nawet do pism przyjaznych Komunie. Nie jest to jednak relacja wiarygodna. Rzecz jasna, ambasadzie carskiej zależało na «skompromitowaniu» wobec rządu wersalskiego, bardzo usłużnego caratowi, całej emigracji polskiej w ogólności, oraz jak największej liczby poszczególnych emigrantów polskich. Stąd — zaliczono do liczby Polaków wielu komunardów innych narodowości. Stąd umieszczono na liście wielu Polaków, nie biorących udziału w Komunie.

Nie zasługują jednak na zaufanie również cyfry, podawane przez ówczesną prasę polską («Kraj», «Czas», «Gazeta Narodowa»), wahające się gdzieś w pobliżu setki. Tworzą one dysproporcję z ogólną liczbą Polaków w Paryżu, z częstym pojawianiem się nazwisk polskich, z wyraźnym oświadczeniem Engelsa o oddaniu się do dyspozycji Komuny «licznej emigracji polskiej».

Określenie rzeczywistej liczby Polaków — uczestników Komuny wymagałoby specjalnych poszukiwań w prasie Komuny, trudno dziś dostępnej, i badań archiwalnych, niemożliwych dziś do przeprowadzenia. Pozostaje więc tylko odszukanie bodaj pewnych liczb orientacyjnych.

Materiału do wysnucia takiej, ściśle orientacyjnej, cyfry dostarcza brukselski korespondent «Kraju» krakowskiego, sam komunard, bliski ideologii Pierwszej Międzynarodówki. Pisze

mianowicie: «Z cudzoziemców, którzy najliczniejsze Paryżowi kontyngensa dostarczyli, byli: Anglicy, Belgowie i Polacy... Wszyscy cudzoziemcy razem nie dochodzili liczby tysiąca ludzi, rozrzuconych po batalionach gwardii narodowej» («Kraj», Kraków, 14.VI.1871). Jeśli uwzględnić, że Polacy stanowili niewątpliwie w tym okresie w Paryżu grupę najzasobniejszą w młodych, zdatnych i zwykłych do broni mężczyzn, to przyjmując dane powyższe za wiarygodne, sądzimy, że liczba Polaków walczących w szeregach Komuny wynosiła między 250 a 500 ludzi, zbliżając się raczej do tej górnej granicy.

IV

Udział Polaków w Komunie był mocno nie na rękę polskiej reakcji — emigracyjnej i krajowej. Był dla niej dowodem bankructwa jej wpływów ideowych i politycznych.

Reakcja polska bowiem — trzeba to stwierdzić wyraźnie i dobitnie — stanęła całkowicie po stronie «garstki lotrów», by użyć określenia Dąbrowskiego, rządzącej w Wersalu. W armii wersalskiej służyli także oficerowie Polacy: kapitan Byszyński, kapitan Frankowski, wykluczony swego czasu za małwersacje z Komitetu Reprezentacyjnego Zjednoczenia Emigracji Polskiej, porucznik Świętorzecki i inni. Podobnie jak reakcjonści francuscy, tak i polscy «wzdychali do bagnatów pruskich, które by uwolniły Paryż od panowania paryskiego proletariatu». «Prusacy wracają!» — nie wiem, dlaczego tak obojętnie tę wieść przyjmujemy; być może dlatego, że ona strachem napawa komunistów — pisze do «Czasu» jego paryski korespondent («Czas», 27.V.1871, str. 2).

Od pierwszej chwili Komuny rozpoczyna się też gorączkowa akcja reakcji emigracyjnej przeciw polskim komunardom. Już 24 marca towiańczyk Edmund Różycki rozlepił na murach Paryża odezwę, w której wzywa lud Francji, by padł na kolana przed bogiem i — rzecz jasna — zrezygnował z walki przeciw Wersalowi. 17 kwietnia reakcyjne instancje organizacyjne emigracji wydają odezwę przeciw udziałowi Polaków w Komunie. Władysław hr. Zamojski bierze udział w spiskach wersalczyków w Paryżu. Sypią się antykomunowe oświadczenia w prasie: hr. Władysława Platerra, głowy czartoryszczyków, Bulewskiego, de Rahozy («negocjant» — kupiec podpisze się ten pan później w pewnym memoriale) i wielu innych. Jeśli komunardzi polscy wypisują swoje nazwiska krwią własną na barykadach Paryża, rezygnując z ogłoszenia się w prasie, to każdy reakcyjny szlachetka uważa za swój obowiązek uwiecznić w prasie polskiej i francuskiej, że taki a taki nie ma nic wspólnego z zamachem Komuny na całość kas kapitalistycznych.

Najnikczemniejszy bodaj jest memoriał «Komitetu Emigracji Polskiej», ogłoszony już po upadku Komuny, w chwili, gdy

Paryż ociekał krwią, gdy Dąbrowski spoczywał na Père-Lachaise, gdy polscy komunardzi padali pod salwami plutonów egzekucyjnych. W tej właśnie chwili widome głowy czartoryszczyzny — figurują tu podpisy b. ministrów 1831 r. Morawskiego i Barzykowskiego, oraz gen. Rybińskiego, widome głowy prawnicy «starej» demokracji emigracyjnej — reprezentują ją Nabelak i Ruprecht — uznały za stosowne podjąć wściekły atak na polskich komunardów, jak ich nazywają, «zwyrondniałych i zbrodniczych», uznały za potrzebne złożyć i swój «polski» podpis pod wyrokami wersalskich katów.

«Wszyscy ci ludzie — mówi o polskich komunardach memoriał — ciężko zawinili w naszych czasach; pozostawiamy ich sprawiedliwości francuskiej; karę, którą otrzymali lub która ich oczekuje — całkowicie na nią zasłużyli» («Memoire sur la participation d'un certain nombre de Polonais à la guerre civile de la commune», str. 4).

Cały atak reakcji skupił się na osobie Dąbrowskiego. Reakcja ucieka się przy tym do ulubionego chwytu: wskazuje na jego związki z rewolucjonistami rosyjskimi, jako dyskredytujące go w oczach szowinistów polskich. «Bardziej Rosjanin niż Polak, od dawna związany z socjalistami rosyjskimi» — pisze o nim memoriał («Memoire sur la participation d'un certain nombre de Polonais à la guerre civile de la commune», str. 9), a nieznaną skądinąd ze swej działalności w ruchu wyzwolenczym «negocjant» p. Mikołaj de Rahoza odważa się oświadczyć Dąbrowskiemu, jednemu z czołowych organizatorów ruchu lat 1861—1863, członkowi pierwszego Centralnego Komitetu Narodowego: «prócz swojego urodzenia w Polsce nic z nią wspólnego nie masz: wychowanie twoje i przeszłe służby wiążą cię raczej z narodem rosyjskim» («Czas», 31.V.1871).

Cóż dziwnego, że reakcyjna prasa krajowa podchwytuje każde oszczerstwo wersalskie, każde na temat polskich komunardów łgarstwo? Cóż dziwnego, że taki np. «Czas» rzuca na Dąbrowskiego, czołowego działacza polskiej emigracji, nikczemne, z carskiej studni zaczerpnięte oszczerstwo o rzekome fałszowanie banknotów («Czas», 28.IV.1871, str. 2), a Wróblewskiemu zarzuca «głupotę»? («Czas», 31.V.1871). Ten sam «Czas» kiedy indziej znów pisze: «On (Jarosław Dąbrowski) zaciąga dług nie u Francji i nie za Polskę, ale u mających się wznieść na gruzach narodów — przyszłych wolnych gmin kosmopolitycznej federacji europejskiej na rzecz chyba gminy nihilistycznej na wschodzie Europy» («Czas», 19.IV.1871, str. 1). Instynkt klasowy odpowiedział te słowa redaktorowi stańczykowskiego organu; instynkt klasowy wskazał mu wroga, który wtedy sam dopiero nabierał świadomości własnej roli. Organ habsburskich lokajów wyczuł w Jarosławie Dąbrowskim bojownika międzynarodowej socjalistycznej rewolucji.

Dziwna hywa ironia historii. Nie spodziewali się zapewne

redaktorzy obszarniczego pisma krakowskiego, że to, co w swym szlachciursko-reakcyjnym żargonie nazwali «gminą nihilistyczną»: proletariacka, ludowa rewolucja na wschodzie Europy stanie się potężną, decydującą o losach Europy siłą, podczas gdy polityka ich następców doprowadzi naród polski do kolejnych ciężkich przejść.

V

Mimo jednak wysiłku reakcji polskiej nie udało się pozyskać sympatii całej opinii krajowej dla rządu wersalskiego. Prawda, Komuna nie znalazła poparcia, poparcia bez zastrzeżeń, w żadnym z pism krajowych czy emigracyjnych. Ale prawda o Komunie i polskich komunardach, prawda o bestialstwach wersalskich przyjaciół polskiej arystokracji, przedziera się do opinii polskiej, sprawia, że w szeregu pism dokonuje się zwrot na rzecz Komuny, lub ściślej mówiąc — na niekorzyść Wersalu.

Olbrzymią rolę odegrały przy tym prześladowania Polaków, z poduszczenia carskiej ambasady i z własnej inicjatywy, podjęte przez reakcję wersalską. Nie może tych prześladowań pominąć nawet nikczemny memoriał Barzykowskich i Ruprechtów.

«Samo imię Polaka staje się dla wielu przedmiotem podejrzania, represji zapobiegawczych i odosobnienia... Kilku z naszych rodaków odmówiono pracy z powodu ich polskiego nazwiska. Inni piszą nam z prowincji, skarżąc się na złą wolę, którą się im okazuje. Nie szczędzi się nam obraźliwych słów. Znajdują się naiwni, którym się zdaje, że każdy Polak to komunarda lub podpalacz» — skarżą się lokaje p. Thiersa, którzy dopiero co pochwalili jego plutony egzekucyjne («Memoire itd.», str. 5).

«Nasza emigracja młoda wiele cierpi. Przed atakiem rozlepiono już po wsiach, otaczających Paryż, plakaty: «Śmierć Polakom!». Może za kilka dni wszystkich nas stąd wypędzą» — pisze do «Kraju» jakiś przygodny korespondent («Kraj», 8.VI.1871).

A oto jak los więźniów-komunardów opisuje, na podstawie opowiadań więźnia-Polaka, daleki od ideologii Komuny, Władysław Mickiewicz (syn poety): «sprowadzono go do piwnic pałacu Luksemburskiego, gdzie okienka, zatłkane z obawy pożaru w czasie oblężenia, nie przepuszczały powietrza. Więźniowie, wychodząc rano, chwiali się jak pijani, a wielu padało. Gnano ich uderzeniami kołb w plecy aż do obozu w Satory. Zamknięto ich w miejscu, które w czasie oblężenia służyło jako cmentarz dla żołnierzy niemieckich i dokoła ustawiono strażę. Padał deszcz ulewny. Na noc kazano im kłaść się i zabroniono wstawać pod groźbą karabinu. Nad ranem wszyscy leżeli dosłownie w wodzie. Kilku więźniów, którym

płynne błoto dochodziło do ust, wstało czy to, że mieli umysł zamroczony, czy też, że dość mieli życia. Jeden z nich zaczął tańczyć. Gdy strzelano do niego zabito kilku innych, którzy leżeli» (Wł. Mickiewicz, Pamiętniki, t. III, str. 74—75).

Engels stwierdza: «Po jej (Komuny — przyp. R. W.) upadku wystarczało, z punktu widzenia sądów polowych wersalskich, być Polakiem, aby natychmiast zostać rozstrzelanym» (Маркс—Энгельс, Сочинения, t. XV, str. 551).

Wiadomości o tych straszliwych warunkach bytu więźniów, o masowych rozstrzeliwaniach Polaków, nawet nie biorących udziału w Komunie — tak rozstrzelano starszusków Szweicera i Matulewicza, zgrzybiałych weteranów 1831 r. — dokonały przełomu w opinii polskiej. W prasie polskiej zaczynają się przejawiać sympatie jeśli nie dla sprawy Komuny, to dla samych komunardów i dla ich bohaterskiej postawy w obliczu śmierci, zaczyna się wyraźne potępienie Thiersa i katów wersalskich. Nawet w «Czasie» ukazują się notatki o bohaterstwie komunardów, co prawda, przy akompaniamencie obłudnych westchnień: «Trudno pojąć, do jakiego stopnia niektórzy z powstańców są zażarci» (np. «Czas», 3.VI.1871). Prasa liberalna i burżuazyjna wręcz potępia Thiersa:

«Rewolucja, którą zamierza przeprowadzić stojące na zdradzie republiki Zgromadzenie Narodowe — pisze, nie rozumiejąca zresztą istoty Komuny, lwowska, burżuazyjno-demokratyczna «Gazeta Narodowa» — będzie się tym różniła od rewolucji dopiero co przygniecionej, że gdy Komuna średniowieczny system sfederowanych municypalności kładła za podstawę państwa i była robiona przez szewców, krawców, stolarzy, mularzy, różnych fabrykantów i robotników — wersalska rewolucja przeprowadzić zamierza średniowieczny system monarchij z nieomylnym papieżem na ich czele, a robioną jest przez markizów, hrabiów, książąt i biskupów» («Gazeta Narodowa», Lwów, 11.VI.1871).

A burżuazyjno-demokratyczne wydawnictwo broszurkowe «Demokrata Polski» pisało w tym samym czasie: «Ani p. Thiers, ani p. Favre, ani Zgromadzenie Narodowe, ani żadni kandydaci do korony nie zdołają przytłumić lub wytepić w sercach obywateli miłości do wolności, równości i braterstwa! Nie ochronią oni swoich zacofanych, krwią zboczonych rządów ani stanem oblężenia, ani monarchią, ani nawet republiką na wzór tej, która powstała 4 września. Odtąd nie będzie już we Francji pokoju, lecz tylko zawieszenie broni, stronnictwa przeciwne sobie nie mogą się już ani pojąć wzajemnie, ani pogodzić — istnieją tam dwa oddzielne światy. Walka odnowi się niezawodnie wkrótce na nowo!» («Demokrata Polski», Lwów 1875; «Rewolucja i reakcja we Francji», str. 15).

W tej atmosferze ogólnej nienawiści do Thiersa przedostają się na łamy prasy głosy prawdziwych komunardów. Tak np.,

dając ogólną ocenę Komuny, pisze korespondent brukselski krakowskiego «Kraju», jak wynika z innych jego korespondencji, sam uczestnik Komuny i, jeśli nie członek Międzynarodowego Stowarzyszenia Robotników, to w każdym razie człowiek z nim związany:

«Na sztandarze jej (Komuny — przyp. R. W.) wypisane były dwa hasła: likwidacja społeczna, to znaczy emancypacja pracy i rzeczpospolita powszechna, to znaczy federacja narodów. Oto, co w łonie swoim piastowała rewolucja paryska, poczęta 18 marca, a zakończona 28 maja dziką katastrofą.

Postawiła ona wyraźnie i krwią ofiarną podlała ideę, która się dotąd samopas po głowach wałęsała, niekiedy w mało czytanych pismach, niekiedy w mówcach na kongresach ligi pokoku i wolności i stowarzyszenia robotników tryskała. Ideę tę mianują pospolicie utopią. Że zaś utopia owa przedstawia się wielu Polakom jako jedyna dla Polski deska zbawienia, nie dziw przeto, że się Polacy do wojny domowej francuskiej włączali. Dziwić by się raczej należało, gdyby było inaczej» («Kraj», 1.VI.1871, str. 1).

Nie udało się reakcji polskiej odciąć Polski od Komuny Paryskiej i od polskich komunardów. Prawda o Komunie, prawda o bohaterskich synach narodu polskiego, co przelewali swą krew na jej barykadach, dotarła i do kraju.

VI

Komunardzi polscy, rozstrzeliwani przez siepaczy Thiersa, wyklinani i oczerniani przez polską reakcję — pomnożyli sławę imienia polskiego wśród proletariatu całego świata. Nauczyciele socjalizmu Marks i Engels wielokrotnie wskazywali na zasługi polskich komunardów.

Engels pisał: «Wśród polskich to wygnańców znalazła Komuna Paryska swych mężnych obrońców» (Маркс—Энгельс, Сочинения, т. XV, str. 551); mówił o emigracji polskiej: «w r. 1871 dała ona Komunie Paryskiej najlepszych generałów i najbardziej bohaterskich żołnierzy» (Маркс—Энгельс, Сочинения, т. XV, str. 673).

Lenin pisze: «Po klęsce w ojczyźnie, najlepsi synowie Polski szli po całym świecie popierać klasy rewolucyjne; pamięć Dąbrowskiego i Wróblewskiego jest nierozzerwalnie związana z największym ruchem proletariatu wieku XIX, z ostatnim — i, miejmy nadzieję, ostatnim nieudanym — powstaniem robotników paryskich» (*Lenin*, Dzieła wybrane, t. II, str. 358—359).

* * *

Korespondent brukselski «Kraju», nieznany z imienia i nazwiska komunard polski, pisał, bezpośrednio po stoczonych

walce, w chwili gdy pracowały jeszcze sądy polowe, gdy szalała nagonka Barzykowskich i Ruprechtów:

«Śmiało i z czołem podniesionym możemy mówić o Dąbrowskich, Wróblewskich i wielu innych, co krwią swoją instalację wyznawanych nowych idei oblali» («Kraj», 14.VI.1871, str. 1).

Proroctwa to były słowa.

Nie chciała o Dąbrowskich i Wróblewskich wiedzieć Polska wersalska. Głucho było o nich w szkole polskiej. Próżno szkalibyśmy w miastach polskich ulic ich imienia. Cicho było o nich w prasie i w pracach naukowych.

Ale imiona ich żyły w masach ludowych. Żyły w masach ludowych Polski — nie darmo mała broszurka Rożałowskiego o Dąbrowskim była jedną z pierwszych broszur agitacyjnych rodzącego się ruchu robotniczego w Galicji. Żyły w masach ludowych Francji — w proletariacie paryskim, co roku defilującym przed Murem Rozstrzelanych. Żyły w masach ludowych Związku Radzieckiego, wychowanych przez wielką partię bolszewików, partię Lenina — Stalina w duchu proletariackiego internacjonalizmu, w duchu głębokiej czci dla poprzedniczki Października — Komuny Paryskiej.

Kiedy na wezwanie Hiszpanii Ludowej na pomoc ludowi hiszpańskiemu pospieszyli ochotnicy z całej Europy — ochotnicy polscy, ukraińscy, białoruscy i żydowscy z ziem Polski wersalskiej nadali swej brygadzie imię Jarosława Dąbrowskiego, polskiego niepodległościowca, druha rosyjskich rewolucjonistów, poległego w służbie socjalistycznej rewolucji francuskiego proletariatu. Nie shańbiła tego imienia polska brygada w Hiszpanii, wyświadczyła niemałe usługi sprawie hiszpańskiej wolności. A drobne, gęsto zadrukowane kartki «Dąbrowszczaka» szeroko rozniosły znowu imię Jarosława Dąbrowskiego, pamięć polskich komunardów po ziemiach polskich.

Dla polskich mas pracujących Związku Radzieckiego — Dąbrowski, Wróblewski i wszyscy komunardzi polscy są symbolem najściślejzego połączenia płomiennego patriotyzmu z nieubłaganą walką przeciw «rodzimy» i innym wyzyskiwaczom oraz z pełnym, całkowitym poświęceniem się sprawie międzynarodowej rewolucji. Wyposażeni w broń marksizmu-leninizmu, której nie posiadali polscy komunardzi — polscy robotnicy, chłopcy i inteligencja pracująca Związku Radzieckiego tym pewniej kroczą drogą, na którą, wiedzeni rewolucyjnym instynktem i rewolucyjnym entuzjazmem, wkroczyli ongiś Dąbrowski, Wróblewski i ich towarzysze: drogą proletariackiego internacjonalizmu.

JULES VALLÈS

DO KOLUMNY

Na pokaz motłochowi swe rozwarte łono
Spiżowy posąg, gniewem zwalony, wypiętrza;
Plujmy nań, łachmaniarze, boć to z nas łupiono
Po cztery sous za samo wchodzenie do wnętrza.
Cztery sous!... Nie wznoszono cię dla chudeuszy,
A i nawet bezdomni, głodni desperaci
Nie mogli z twego szczytu wyzbywać się duszy,
Na bruki skacząc, chyba że który zapłaci!
Skończyły się te czasy... Leżysz kupą miedzi,
Pogruchotany przez nas zielony truposzu!
I dla nas, głodomorów, dla wielkiej gawiedzi
Wybiją z Bonaparta twego grosz po groszu.

Przełożył *Adam Ważyk*

EUGENIUSZ POTTIER

POWSTANIEC

Jerzemu Proteau

Przed tobą oto nędzo dzika,
Przed tobą dolo niewolnika
Strzelbę w dłoń
Powstaniec wziął, ładując broń!

Powstaniec! Tak to zwą Człowieka,
Bydłęciem nie chce być, nie czeka,
Lecz idzie gdzie mu każe myśl.
Z niezłomną wiarą naprzód kroczy
I w słońcu wiedzy utkwiał oczy,
Co już czerwono wschodzi dziś.

Zobaczysz go na barykadzie,
Z towarzyszami w ostrym gradzie
Kpi i żartuje śmierci wbrew.

Odwagą oczy mu goreją
I jasno świeci w nich ideją
Sztandarów purpurowy wiew.

On wśród Komuny jest żołnierzy
I w niepodzielność globu wierzy,
Granice niech zaorze pług,
Niech wspólnym źródłem ziemię mienia,
Kapitał wspólną zaś kieszenią,
W którą by każdy sięgnąć mógł.

On żąda: moją jest maszyna
I więcej karku nie ugina
Pod tłokiem ich parowych pras.
Bo dziś eksploatator wszędzie
W wyzysku zmienia złe narzędzie
To co wybawić może nas.

On klasie, co zagrabia prawo,
Dziś wypowiada wojnę krwawą,
Chociażby ją przez lata wiódł.
Dopóki jeden burżuj pcha się
I nie pracując brzuch swój pasie,
Robotnik będzie cierpiał głód!

Od niego burżuj już przeklęty
Nie wyrwie jak od innych renty,
Co rok miliardów parę kop!
Ci, których chleb wydziera z pyska
I dywidendę z płuc wyciska,
To wy: robotnik, górnik, chłop.

Gdy ziemię losy ludzkie bołą
I biada nad człowieczą dołą,
Pojmuje on jej ból i złość.
Tak chce urządzić ziemię całą,
By z krągłej piersi jej tryskało
I by dla wszystkich było dość.

Przed tobą oto nędzo dzika,
Przed tobą dolo niewolnika
Strzelbę w dłoń
Powstaniec wziął, ładując broń!

Paryż, po powrocie z wygnania, 1884 r.

Przełożył *Stanisław Jerzy Lec*

NIE ZGINEŁA

Dobili ją karabinami,
Tchu brakło kulomiotom,
Wdeptali wraz ze sztandarami
W rynsztoki, w glinę, w błoto.
I chociaż banda tłustych szuj
Zwycięstwo okrzyknęła,
Ty się nie frasuj,
Jaśku mój,
Komuna nie zginęła!

Jak trzęsą jabłoń sadownicy,
Jak łąkę koszą żeńcy,
Wymordowali wersalczycy
Walecznych sto tysięcy.
Lecz tych szakali zgraja, rój,
Niczego nie dopięła.
Ty się nie frasuj,
Jaśku mój,
Komuna nie zginęła!

I rozstrzelali tak Varlina,
Flourensa i Millière'a,
Ferré, Rigaulta i Moilina —
Trupami cmentarz zbierał.
Myśleli: Kiedy skończym bój,
Zabraknie rąk do dzieła.
Ty się nie frasuj,
Jaśku mój,
Komuna nie zginęła!

Na grób liczyli i milczenie,
Gdy rannych dobijali,
W agonii, mękach i w cierpieniu
Mrących w szpitalnej sali.
Aż ludu krew, jak czysty źródój
Przez szpary drzwi spłynęła.
Ty się nie frasuj,
Jaśku mój,
Komuna nie zginęła!

A pismak każdy, co bezkarnie
Z oszczerstwa jeno żyje,

Na komunardów lał trupiarnie
Paszkwilów swych pomyje.
Choć zgraja — jeden z drugim zbój —
Nas żółcią obluźnęła,
Ty się nie frasuj,
Jaśku mój,
Komuna nie zginęła!

Żelazny topór Damoklesa
Zawiśł nad ich głowami,
A na pogrzebie Jules Vallèsa
Wprost pogłupieli sami.
My szliśmy godnie, każdy swój,
Trumna wśród nas ginęła!
No więc, sam widzisz,
Jaśku mój,
Komuna nie zginęła!

Wiadomo wszystkim komunardom,
Marianna jest morowa!
Rydz-dziewka! Więc krzyknijmy hardo:
Żyj nam, Komuno! Zdrowa!
Słyszycie? Już, judaszom wbrew,
Ruchawka się zaczęła...
Niech zadrzą na nasz zew,
psiakrew!
Komuna nie zginęła!

Przełożył *Allan Kosko*

KOMUNA PRZESZŁA TĘDY

*Edwardowi Vaillant
członkowi Komuny*

Zażęł błyskawic żar Komunę,
Jest Paryż dumny z niej niemało;
Czuć świat dziś prochem, proch — piorunem,
Rzekłbyś, że wczoraj jeszcze grzmiało.
Jej klęska wciąż na odwet czeka,
Więc mnichy, sknery i przybłądy
Drżą, zabitego mając ćwieka:
Komuna przecież przeszła tędy!

Bruków ulicom brak jak długie,
Zdziesiątkowane bataliony;

Szły równo, ostro śmierci pługi,
Ryjąc głębokich bruzd miliony.
Z tą hekatombą niezmierną
Ściekała krew strumieniem wszędy,
Lecz spójrzcie: wschodzi siew — czerwono...
Komuna przecież przeszła tędy!

Znienawidziła Bonaparta
Na kolumnowej wysokości
I do wojen kult, co — tam do czarta! —
Był wręcz obelgą dla ludzkości.
Niech więc grzmi Chauvin, niech ujada —
Kolumny z brązu groźne zręby
Już padły jak z kart domek pada...
Komuna przecież przeszła tędy!

Czy pomnisz, Ludu, dziś Tuilerie
Osadził w nich kat-grudzień¹ pana;
Święcił tam orgie i brewerie,
Z pałacu zrobił wnet lupanar.
Codziennie zmieniał tam kochanki,
Dla zbytku deptał wszelkie względy.
No — z dymem poszły mu firanki...
Komuna przecież przeszła tędy!

Europo, Zjednoczone Stany,
Dziś zjazdy Pracy obradują,
Nauka pęd ma niewstrzymany
A postęp — wartko młoty kuja.
Dla jutra — granic nigdzie nie ma,
Świat przyszłość tka ze złotej przędzy.
Jeden dla ludów plan i temat...
Komuna przecież przeszła tędy!

Już Kongres orzekł: «Moje — wszystko:
«Fabryki, zbiory, rzeki, place,
«Kolej, kopalnie, torfowiska,
«Narzędzia wielkiej ludzkiej pracy.
«Bo ustokrotni się produkcja,
«Gdy huty nasze wspólne będą,
«Leniów — przekreśli Rewolucją...»
Komuna przecież przeszła tędy!

¹ Aluzja do zamachu stanu z dnia 2 grudnia 1851 r.

Już piją mózgi światło wiedzy,
Duma rozpiera ludziom piersi,
Z wiosek i z miast, z ulicy, z miedzy
Uczeńsi stają się i śmielsi.
Kiedy w przysiółku zadymionym
Myślą o wielkim dniu z legendy,
To o sztandarze śnią czerwonym...
Komuna przecież przeszła tędy!

Przełożył *Allan Kosko*

LUIZA MICHEL

NA PORAŻKĘ REWOLUCJI

Na popękany zegarze dni płyną osnute żałobą.
Płyńcie, płyńcie i płyńcie, płyńcie doba za doba,
Miłości i nienawiści — wszystko unosząc ze sobą.

Silni, odważni padli w walce,
Wszystko skończone, towarzyszel!
A podłe pełzną już padalce,
I niewolników skowyt słyszę.
Gdzieżeście bracia komunardy
Ze skrzącym Marsylianą wzrokiem,
Nieustraszoną szliście krokiem
Jak naszych ojców zastęp hardy.

Kochałam, bracia-bojownicy,
Wasz zapał i junackie ramię
I gromki głos kartaczownicy
I płomieniste nasze znamię.
Śród rozszalałej fali szumu
Jak pięknie z losem pójść w zawody,
Śmierć za jedyną mieć nagrodę!
Wybiła już godzina tłumu.

Potrzebne wam krwi żywej soki,
Starcy bez ducha i bez sławy?
Więc przelewajcie jej potoki
I pijcie ten ocean krwawy!
A my w śmiertelne zstąpię truny
I do snu ułożymy głowy,
W piękny nasz sztandar purpurowy
Udrapowani jak w całuny.

Lecz widzę: duch nas zemsty wskrzesza
I wszędy, w każdej świata stronie
Nieprzeliczona wraca rzesza,
Mocno trzymając się za dłonie:
Wielu z nas krwią serdeczną broczy
Z piersi przeszytej kulą wrażą,
Drudzy w całunach, z bladą twarzą —
A przodem śmierć z proporcem kroczy.

W więzieniu wersalskim, czerwiec 1871 r.

Przełożył: Karol Drezdner

PAUL VERLAINE

ZWYCIĘŻENI

W nocy swych więzień rzekli sobie zwyciężeni:
Skuto nam ręce, ale my żyjemy jeszcze.
Gdy żelaza zginają nam barki ku ziemi,
Żywy skarb: w żyłach naszych krążąc krew szeleszcze.

W naszych głowach strażują baczenie nasze oczy,
Czuje napięte, za kością czołową mózg płonie,
Gdy trzeba będzie miażdżyć, mord z niego wyskoczy,
I twarde będą szczęki nasze, szybkie dłonie.

Na ogrom swego błędu ślepi w pierwszej chwili,
Szaleńcy, co za późno pojną jego wagę,
Nam tchórzliwej swej łaski zniewagę rzucili.
Tak! Dobrze! Łaska zemści nas za tę zniewagę.

Skuli nas! Lecz kajdany po to wróg nałożył,
By mogły bić, gdy spadną w mroku pod pilnikiem,
Strażników rozbrajanych, a tryumfatorzy
Święcąc zwycięstwo dadzą czas umknąć strażnikom.

I znów walka! I może zwycięstwo i sława,
Walka straszna, zwycięstwo miażdżące żelazem,
A że tym razem władać będzie siła prawa,
Walka będzie ostatnia, zaprawdę, tym razem!

Gdyż umarli wbrew starym marzeniom mistycznym,
Jeśli kul nie szczędzono, doszczętnie umarli,
Czas już nie jest upiorów galopem epicznym
Na widmowych rumakach, pośród nocy czarnej.

Klacz Rolanda i Roland to mityczne dzieje,
Sens ich rwie się i żąda wysiłku nad życie,
Co by nas zgubił; jeśli mieliście nadzieję
Na litość naszą, drogo za błąd zapłacicie.

Wy umrzecie z rąk naszych, wiedźcie, gdy zwycięstwa
Los nam przypadnie. Skamłąc litości umrzecie.
Tego chce sprawiedliwość, tego żąda zemsta,
Tego konieczność jutra, której nie cofniecie.

I ziemia, o jałowym dawno, chudym łonie,
Długo, chciwie, radośnie pić waszą krew będzie,
Której ciężki i smaczno-kwaśny opar wionie
W niebo i zaróżowi obłoku krawędzie.

Psy i wilki oczyszczą z ciała wasze kości,
Ptaki splądrują trzewia stadami głodnymi,
A my będziemy śmiać się z ogromnej radości,
Bo trup jest trupem, my was tego nauczymy!

[1872 r.]

Przełożył *Mieczysław Jastrun*

ACHILLES LE ROY

NIEŚMIERTELNA KOMUNA

*Obywatelowi
Eugeniuszowi Chatelain*

Pod ogniem kartaczownic padła,
Nowego Prawa broniąc dumnie:
Sfora wersalskich psów zajadła
Skalała miejsce przy jej trumnie.
Lecz ona rozjaśniła łuną
Mroczną niewolę i uśpienie.
Odrodź się, powróć, o Komuno!
Wydźwoń gnębionym przebudzenie!

Refren:

Wznieśmy, o pracujący, nasz sztandar płomienny w górę!
Nieśmiertelna Komuna wróci, by już nie przeminąć.
Jedno jest tylko dla nas wyjście z niewoli ponurej,
Naprzód, naprzód z przysięgą: w walce zwyciężyć lub zginąć!

Z barykad słychać trąbki granie,
Do marszu wzywa znów ochoczo:
Na polach walk zdziesiątkowani
Starzy wojacy krwią już broczą.
Lud sprawiedliwy powstał po to,
By znikła sprawców rzezi klika:
Aby raz skończyć z tą robotą,
Brak nam jednego robotnika.

Refren

Powstańże, dalej, Jasiu głupi,
I czoło wznies zroszone potem!
Ciebie jak owcę każdy łupi,
Odbierz plon pracy swej z powrotem!
Już z rewolucją któryż raz ty
Idziesz na lepsze zmieniać losy?
Z pola swojego wypleń chwasty,
Skoś pyszne, wybujałe kłosa!

Refren

Górniku, ziemia to grobowiec,
Skazańcze, warsztat to galera,
Kapitałowi bój wypowiedz,
W proch posiadaczy dłoń twa ściera!
Maszyny obejmijcie wasze,
Stryczek Anzinu morzycielom:
Niech dzisiaj chata i poddasze
Sokami ludzki ród obdziela!

Refren

Dziś z bronią w ręku u bogaczy
Po udział już się zgłosić pora,
Po udział, który brał z rozpaczny
I z nędzy naszej rentier-zmora!
A gdy mu aureoli zbraknie
Dla uwieńczenia zbrodni własnych,
Niech wie: niczego nafta tak nie
Oświeśla jak pałaców jasných!

Refren

Tyle już wieków we łzach tonie,
Kłęsk tyle przeszło po nas burzą, —
Nie będzie łaski! Wszystkie bronie
Przeciw tyranom dobrze służą!

Oto już taki czas nastaje,
Że zemsta musi przebić mury!
Dynamit tę nauczy zgraje,
Jak podskakiwać ma do góry!

Refren

Któż posłuch da o litość krzykom,
Podły grabarzu, chciwy sknero,
W ofierze naszym męczennikom
Złożymy was i bohaterom.
Biada wam! Bowiem podług winy
Karę odmierzy się dokładnie:
W przepastne toczcie się głębiny,
Gdzie mrok was straszny czeka na dzień!

Refren

Przełożyła *Zuzanna Ginczanka*

JERZY DANILIN

POEZJA KOMUNY PARYSKIEJ

Poezja Komuny Paryskiej — to poezja polityczna, poświęcona Komunie i jej bohaterom. Stworzyli ją albo bezpośredni uczestnicy Komuny albo jej zwolennicy. Znalazły w tej poezji odbicie również i dalsze losy komunardów po upadku Komuny, na emigracji, w więzieniach, na okrętach więziennych, na salach sądów wojennych, przy słupie satoryjskim, gdzie było miejsce egzekucyj, na zesłaniu i na ciężkich robotach Nowej Kaledonii — aż do czasu powrotu ich do Francji, do przynajmniej części rzeczywistości Trzeciej Republiki.

Dotąd światowej nauce historii literatury nieznana jest poezja Komuny Paryskiej, nieznane są nazwiska jej twórców i niewiadome jest jej istnienie. Współcześni wiedzą dużo więcej o życiu Herculanium i Pompei, niż o poetyckich pomnikach pierwszej próby dyktatury proletariatu, od której dzieli nas zaledwie 70 lat.

Czemuż to tak się stało? Reakcja burżuazyjna stworzyła dokoła poetów Komuny Paryskiej atmosferę wrogości, nienawiści, starała się ich zożydzić. Burżuazyjni wydawcy odmawiali drukowania ich utworów albo ogłaszali je w formie zeszczonej — nawet w utworach, wydawanych przez poetów-komunardów na emigracji znać czasami ślady cięć cenzury. Burżuazyjni bibliografowie i historycy literatury ignorowali poetów Komuny Paryskiej, nie notowali ich dzieł, nie przekazywali nawet ich nazwisk. W żadnej francuskiej pracy, dotyczącej francuskiej literatury czy poezji XIX wieku, czytelnik nie spotka nazwisk poetów Komuny Paryskiej.

Przemilczanie poetów Komuny było tym łatwiejsze, że najwybitniejsi poeci-komunardzi brali czynny udział w rewolucji, wykonywali rozmaite odpowiedzialne obowiązki, mieli więc mało czasu na twórczość literacką. Oto czemu poezję 72 dni w głównej mierze stworzyli nieznani poeci i rozbrzmiewa w niej głos samych mas paryskich, bojowników Komuny 1871 roku. Rzecz oczywista, burżuazyjni historycy literatury nie byli zainteresowani w tworzeniu pośmiertnej sławy dla swoich wrogów klasowych. Nie ogłosili nawet archiwów Komuny.

Komuna nie miała do dyspozycji aparatu wydawniczego: wydawnictwa paryskie, drukarnie, zapasy papieru, wszystko to

znajdowało się w rękach prywatnych właścicieli, więc drukowane słowo Komuny, w szczególności poezja, która się w owe dni narodziła, była ograniczona, skrępowana brakiem miejsca. Gazety udzielały miejsca przede wszystkim dekretem i informacjom wojennym, nie mogły prawie drukować wierszy; rzadkie zaś wydania wierszy w broszurach i ulotkach zjawiały się widocznie z bardzo wielką trudnością. W dodatku wszystko, co wydrukowano podczas dni Komuny, reakcja wersalska niszczyła z okrutną wściekłością. Wszystkie te okoliczności tłumaczą nam fakt, że doszło nas bardzo niewiele z liryki 72 dni Komuny i dokładne przestudiowanie tego tematu jest na razie nader utrudnione.

Najbardziej dostępne są utwory poetyckie, napisane po klęsce Komuny, lecz i ten materiał nie został dotychczas zebrany i zbadany.

Podczas «krwawego tygodnia» wersalczyki rozstrzelali wielu literatów-komunardów, broniących jej sprawy na barykadach. Tak zginęli Delescluze, Varlin, Rigault, Millièrre, Tony Moilin. Tak też stracony został poeta-komunard Edward Moreau, członek komitetu centralnego gwardii narodowej; żona poety, która go odprowadziła aż do murów koszar Lobau, słyszała salwę karabinową, od której padł jej mąż...

W te straszliwe dni ukrywający się w podziemnym Paryżu Eugeniusz Pottier ułożył swoją «Międzynarodówkę», która stała się od 1889 roku hymnem rewolucyjnego proletariatu całego świata. «Międzynarodówka» jest bezsprzecznie najlepszym spośród wszystkich hymnów proletariackich, jakie obficie zrodziły się po upadku Komuny w twórczości jej poetów. Jest to zarazem manifest rewolucyjno-demokratycznej poezji, oznajmiającej oto o swoim zdecydowanym zerwaniu z utopijnym socjalizmem i rozmaitymi burżuazyjno-demokratycznymi złudzeniami minionych czasów.

W podziemnym Paryżu, aż do swego wyjazdu na emigrację, ukrywali się również inni poeci Komuny. Był wśród nich alzateczyk Karol Keller, który na kilka lat przed Komuną zaczął przekładać na język francuski «Kapitał». Marks, który niezmordowanie udzielał ofiarom wersalskiego terroru najrozmaitszej pomocy na niezmiernie szeroką skalę, przesłał Kellerowi fałszywy paszport, z którym poeta mógł uciec do Szwajcarii.

Poezja Komuny Paryskiej szeroko rozwija się w następnym dwudziestoleciu; zasadniczy jej zrąb powstał w ósmym dziesięcioleciu, stworzyli go komunardzi-emigranci. Znajdowali się wśród nich najwybitniejsi poeci Komuny: Eugeniusz Pottier, Karol Bonnet, Gustaw Gaillard, Karol Keller, Emanuel Delorme i wielu innych, a spośród czasowo związanych z nią współbojowników Paul Verlaine i Rimbaud. Poeci-emigranci znaleźli schronienie przede wszystkim w Anglii, Szwajcarii i Belgii.

Ponura atmosfera rozkładu emigracji katastrofalnie odbiła się na prywatnych losach niektórych poetów (na przykład Eugénusza Vermerscha), wciągnawszy ich w swary i bakuninowskie intrygi. Przeważająca jednak większość poetów Komuny potrafiła zachować polityczne zdrowie nie tylko na emigracji, lecz również w kazamatach wersalczyków. Wiemy obecnie, w jak straszliwych warunkach więziennych przebywali komunardzi oczekujący sądu, zesłania lub stracenia. Głodni, pozbawieni wody, narażeni na obelgi i znęcania się, otoczeni lufami mitraliez, ci godni podziwu ludzie z żelaza — nie poddawali się słabości, nie wpadali w rozpacz. I w tym straszliwym otoczeniu nieugięty duch bojowników Komuny potrafił tworzyć strofy bojowe, tętniące zemstą. Poezja polityczna Luizy Michel i Clovisa Huguesa sięga w te dni więzienne wyżyn natchnienia. Nie wspominamy już o anonimowych pieśniach, pełnych posępnego wyzwania i rewolucyjnej energii, grzmiących przekleństwami pod adresem wersalskich zwycięzców; więźniowie układali także pieśni wspólnie i śpiewali je nawet chóralnie, strażę daremnie starały się temu przeszkodzić. Jeden z komunardów, poeta, dziennikarz Gaston Crémieux, przywódca Komuny Marsylskiej, napisał w więzieniu dramat wierszem o Robespierre; nieukończony ten dramat zakończył później Clovis Hugues. Poeci na zesłaniu (poza Luizą Michel, Gustawem Maroteau, Henrykiem Brissakiem i Janem Allemane byli tam i inni, po części bezimienni poeci) znaleźli nawet sposób na stworzenie swojej prasy w Nowej Kaledonii.

«Nie rozumieli Komuny ci, którzy ją tworzyli — pisze Lenin — tworzyli ją wyczuwaniem genialnie przebudzonych mas i żadna frakcja francuskich socjalistów nie uświadamiała sobie tego, co robi» (Сочинения, t. XXII, str. 352).

Tym tłumaczy się również fakt, że nie stworzono w dni Komuny hymnu równego «Międzynarodówce».

Dopiero po upadku Komuny zdali sobie sprawę jej poeci z wielkiego historycznego znaczenia rewolucji, której nie rozumieli podczas jej trwania; żarliwie poczęli układać poematy, hymny, satyry i pieśni poświęcone pierwszej rewolucji proletariackiej, jej wielkiemu wyzwolenczemu porywowi, jej poszczególnym wydarzeniom, wskazujące jej błędy oraz demaskujące okrucieństwo wersalskiego terroru. Ten temat z niezwykłą mocą występuje w utworach poetów Komuny. Wstrząsające obrazy mordowania podczas «krwawego tygodnia» dziesiątków tysięcy proletariuszy na ulicach Paryża, zwierzęcego okrucieństwa sądów wojennych, niemilknących salw w Satory, przepelnionych więzień i lwich fos, to najbardziej przejmujące strony poezji Komuny Paryskiej.

Ale poezja Komuny Paryskiej nie ogranicza się do protestu przeciwko wersalskiemu terrorowi. Rzeź majowa nie była w jej oczach przejawem osobistego okrucieństwa Thiersa czy ge-

nerała Galliffet, lecz głębokim, organicznym następstwem walki klasowej, rozprawą kapitalizmu z podnoszącym się proletariatem. Antywersalska tematyka tej poezji była zarazem tematyką antykapitalistyczną; dlatego też namiętne nawoływania poetów-komunardów do bezlitosnej zemsty na wrogach ludu stają się energiczną propagandą nowej proletariackiej rewolucji, która zniszczy kapitalizm.

Zrywając z wiarą w oszukańcze hasła burżuazyjnej demokracji, z iluzjami utopijnego socjalizmu i innymi drobno-mieszczkańskimi wpływami, poezja Komuny Paryskiej nie zdołała się uwolnić od nich całkowicie. Wyłaniał się w niej jednak krąg nowych tematów, zwiastujących już poezję przyszłości. Poezja ta opiewała Komunę Paryską jako zbrojne powstanie proletariatu przeciwko kapitalizmowi, rodziła pierwsze rewolucyjno-proletariackie hymny, głosiła sojusz robotników z chłopami, nawoływała do międzynarodowego zjednoczenia proletariuszy-rewolucjonistów, słowem poezja Komuny wniosła do światowej poezji wielki, ożywczy wkład ideowo-artystyczny.

Przewodzącą grupą w poezji Komuny Paryskiej byli jej demokratyczni, ludowi poeci, najwytrwalsi, oddani i konsekwentni propagatorzy przykazań Komuny. Tu należy wymienić takie nazwiska jak Pottier, Clément i Chatelain. Najwybitniejszym poetą był Eugeniusz Pottier, poezja Komuny Paryskiej dochodzi w jego twórczości do szczytu swojego światowo-historycznego znaczenia i staje się życiodajnym źródłem nowej rewolucyjno-demokratycznej poezji XX wieku.

Los Eugeniusza Pottier jest szczególnie wyrazistym przykładem nienawiści, jaką otaczało poetów Komuny społeczeństwo kapitalistyczne.

«Skończyłbym ze sobą, gdybym wiedział, że po mojej śmierci sprzedaż moich utworów będzie mogła zapewnić szczęśliwe życie mojej rodzinie!» Te słowa wypowiedział 70-letni Eugeniusz Pottier; przemawia w nich rozpacz proletariackiego poety, który widział, że mimo całego talentu i kunsztu nie zdoła zwalczyć wiecznej nędzy swojej rodziny. Pierwszy zbiorek swoich poezji Pottier wydał w 1831 roku, kiedy miał zaledwie 14 lat. I musiał czekać 53 lata na możliwość wydania drugiego zbiorku. Ten zbiorek ukazał się dopiero w 1884 roku i wydawcy zażądali, aby weszły do niego tylko utwory pisane przed Komuną. Najlepsza, najsilniejsza, rewolucyjna część twórczości pieśniarskiej była jak i przedtem nieznaną czytelnikom. I dopiero staraniem przyjaciół, byłych komunardów, którzy zorganizowali przedpłatę, Pottier mógł wydać na krótko przed śmiercią, w r. 1887, trzeci tom wierszy, pt. «Pieśni rewolucyjne», zawierający najlepsze utwory, między innymi cały cykl o Komunie Paryskiej. Ta książka stała się poetyckim testamentem Eugeniusza Pottier. Znaczenie jej dla współczesnych i dla nas jest ogromne. A przy tym pomaga ona nam lepiej

pojąć i ocenić twórczość innych poetów Komuny, pochwyć odcienie ogólnych idei politycznych i artystycznych, które były wspólne całej tej poezji, ale najwyraźniej, najdobitniej przejawiały się w jego twórczości.

Poezja Komuny Paryskiej wykuwała się w przyjaźni poetów ludowych z poetami-inteligentami, którzy na tle ówczesnej szkoły parnasistów reprezentowali prąd rewolucyjno-demokratyczny. Do tych poetów zalicza się Rimbaud, Paul Verlaine, Eugeniusz Vermersch, Albert Glatigny, Andrzej Gill, Karol Keller.

Większość tych poetów była współbojownikami Komuny; zapłoneli jej ogniem, byli wstrząśnięci jej krwawym finałem, namiętnie przeklęli jej katów. Oczywiście, brakło tym inteligentom wytrwałości proletariuszy. Wnieśli do poezji Komuny swój indywidualizm i skłonności do anarchizmu, a po upadku Komuny odeszli od rewolucji, wpadli w pesymizm i bierność. Ale jakiegokolwiek braki można by wytknąć tym parnasistom-komunardom, poeci ci oddali rewolucji proletariackiej swój talent, bogactwo swojej obrazowości i celnego słowa. Poematy Vermerscha i Verlaine'a, wiersze Rimbauda, Stefana Carjat, Karola Keller zwracają się nie tylko przeciw wersalskiemu terrorowi, ale przeciw całemu kapitalistycznemu ustrojowi, pełne nienawiści i pasji. Są to wspaniałe pomniki rewolucyjnej poezji.

Jeśli twórczość ludowych poetów Komuny była nowym etapem w rozwoju francuskiej poezji rewolucyjno-demokratycznej (w porównaniu z poezją rewolucji lutowej) i torowała drogi rewolucyjnej poezji 20 wieku, to znaczenie historyczno-literackie poezji parnasistów-komunardów polega na tym, że bezpośrednio odzywając się na głos Komuny była ona protestem przeciwko głównemu kierunkowi parnasizmu, na którego czele stał Leconte de Lisle, przeciwko właściwej temu prądowi apolityczności i beznamiętności. Niestety, o twórczości wielu parnasistów-komunardów, Ksawerego de Ricarda, Karola Frémine'a i innych, ani o odgłosach Komuny w ich poezji nie dochowały się żadne wiadomości. Parnasiści-komunardzi cierpieli niemało prześladowań ze strony burżuazyjnej reakcji.

Z poezją Komuny Paryskiej ma styczność również legalna poezja francuska, która była związana z walką o amnestię; na czele tego ruchu stanęli — jeszcze w 1871 roku — Wiktor Hugo i Albert Glatigny. Chociaż Wiktor Hugo wypowiadał się o Komunie z popołatą liberalną dwoistością (potępiał Komunę, ale żądał chrześcijańskiego przebaczenia dla komunardów), za co też otrzymał należną od poety-komunarda Trohela odpowiedź, to jednak wypowiedzi Wiktora Hugo odegrały dość poważną rolę w walce o amnestię. Pod koniec ósmego dziesięciolecia walka o amnestię była już tematem masowej poezji, wybitnie na

przykład przejawiała się w zbiorze «Republikańska Muza» (1879), grupującym wielu poetów, spośród których najdonioślej swym głosem przemówił poeta — robotnik Olivier Souètre. W poezji emigrantów sprawa amnestii prawie nie występuje, poza popularną pieśnią Eugeniusza Pottier «Zadnego święta bez amnestii!».

Powrotowi komunardów do Francji w 1880 roku towarzyszył nowy przypływ poezji Komuny Paryskiej. Wielu poetom — jak Pottier, Clément, Chatelain — udało się wreszcie wydać swoje zbiorki, inni zaś otrzymali możliwość rozwinięcia swoich zdolności w pracy dziennikarskiej (Gustaw Gaillard, Luiza Michel), zjawia się wielu nowych poetów, którzy do tego czasu prawie nic nie ogłaszali, przeważnie byłych uczestników Komuny, poświęcających pióro jej chwale i walce o nową rewolucję społeczną. Olivier Souètre, Jerzy Proteau, Andrzej Gill, Deckherr, Leon Maillot — oto nowe nazwiska. Najciekawszy jest chyba komunard Achilles Le Roy, człowiek z malowniczą przeszłością, rewolucjonista od młodych lat i uczestnik wypraw garybaldowskich, który w dziewiątym dziesięcioleciu odegrał wielką rolę kulturalną w charakterze wydawcy literatury socjalistycznej i poetów Komuny Paryskiej.

Poezja Komuny Paryskiej stanowi pomnik literacki o światowym znaczeniu. «Komuna była mogiłą *starego*, specyficznie francuskiego socjalizmu, ale równocześnie i kolebką nowego dla Francji, międzynarodowego komunizmu» — pisał Engels (Маркс—Энгельс, Соч., t. XXVII, str. 422).

Parafrazując te słowa, można powiedzieć, że poezja Komuny Paryskiej jest mogiłą starej francuskiej rewolucyjno-demokratycznej poezji XIX wieku, pełnej najrozmaitszych burżuazyjno-demokratycznych złudzeń i wpływów utopijnego socjalizmu — i kołyską proletariackiej poezji walczącej o obalenie kapitalizmu i ustrój komunistyczny.

W ostatnim dziesięcioleciu i później tradycja poezji Komuny Paryskiej wyradza się i wulgaryzuje we Francji pod rozkładowym wpływem drugiej Międzynarodówki. Zdołała jeszcze wywrzeć pewien wpływ na szereg poetów symbolistów, głównie na tak zwanych pieśniarzy Montmartre'u (Juliusz Jouy, Maurycy Boukay, Arystydes Bruant, Montéhus i inni), ale jej ostrość polityczna i nieprzejednany charakter zatracą się «w złagodzonej» ujęciu, na miejsce wojującego patosu klasowego przemycą się oportunistyczne. Toteż spuścizna Komuny Paryskiej nie znalazła godnych spadkobierców w ojczyźnie.

Nam przekazali ją sami uczestnicy Komuny Paryskiej. W ZSRR spędzili ostatnie lata życia Achilles Le Roy i drugi poeta-komunard, Gustaw Hinard, którzy kontynuowali tu swoją pracę literacką. Na język rosyjski przekładał Hinarda A. Łunaczarski i kilku poetów radzieckich.

Tę spuściznę przyjęła także radziecka wiedza o literaturze. Dzisiaj w siedemdziesięciolecie Komuny Paryskiej możemy już zorientować się w poezji, wymienić nazwiska jej wybitniejszych poetów i główne utwory. Ale poezję tę dopiero zaczęliśmy badać. Radzieccy historycy literatury powinni uważać za jedno ze swoich poważnych zadań nieustannie, wytrwale poszukiwanie zapomnianych i zagubionych pomników tej poezji, która powinna być — i będzie — wskrzeszona.

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

JULES VALLÈS I JEGO TRYLOGIA¹

I

Jules Vallès nie miał łaski u historyków literatury. Aż do ostatnich lat nie znajdzie się w grubych nawet dziełach o literaturze jego nazwiska. I można odgadnąć przyczynę tego, poza normalną opieszałością, z jaką podręczniki literatury odnawiają swój repertuar. Nazwisko i osoba Vallèsa są ściśle związane z Paryską Komuną, a wspomnienie Komuny miało być długo straszakiem dla burżuazji Trzeciej Republiki. Vallès, poza dziesięcioletnim wygnaniem, miał i owym milczeniem, zaległym na długo dokoła jego nazwiska, odpokutować swój udział w wypadkach roku 1871.

Właśnie on. Bo też właściwie Vallès był jedynym z pisarzy czynnie wmieszanym w te wypadki. Udział Rimbauda w Komunie jest raczej legendą literacką; jeżeli szesnastoletni Artur Rimbaud na wieść o wybuchu Komuny puścił się pieszo do Paryża, nie jest zbyt pewne czy się do tego Paryża dostał. Verlaine — autor dość słabego wiersza poświęconego Komunie — wydaje się w niej raczej zabłąkany; nie bardzo widzimy tego poetę w roli «szefa biura prasowego» (Goncourt, *Journal*, IV); tym bardziej fantazyjne wydają się zwierzenia samego Verlaine'a (tamże), który jakoby miał ocalić Nôtre-Dame od projektowanej uchwały skazującej ten kościół na zburzenie! Natomiast Vallès związany jest z Komuną najściślej; przygotowywał ją, brał udział w jej rządzie: całe jego życie jest jakby

¹ Jules Vallès (1832—1885), wybitny pisarz i publicysta francuski, wczesnie rozpoczął działalność polityczną. W grudniu 1851 brał udział w walkach w obronie republiki. Po jej upadku uczestniczył w republikańskim spisku przeciwko II Cesarstwu. W przeddzień Komuny, jako dowódca batalionu gwardii narodowej, brał udział w walkach przeciwko rządowi obrony narodowej, szczególnie w powstaniu 31 października 1870 r. Po rewolucji 18 marca był Vallès członkiem Komuny, jednym z najczynniejszych działaczy Komisji Oświecenia. Był członkiem I Międzynarodówki, ideologicznie bliski drobnoburżuazyjnemu socjalizmowi Proudhona. Pismo jego «*Cri du peuple*» zajmowało w okresie Komuny postawę pojednawczą między proudhonistami i blankistami. Po upadku Komuny zbiegł do Londynu, skazany został zaocznie na śmierć. Po amnestii w r. 1880 wrócił do Paryża i kontynuował działalność publicystyczną.

wyczekiwaniem tego faktu. Stosunek to nawskroś osobisty; rezultat nie tylko polityczno-społecznych wierzeń lub teorii, ale jakby uczuciowy odwet za własne życie, za własną młodość. A jakie było to życie, zwłaszcza ta młodość, o tym dowiemy się od niego samego; dziełem Vallèsa, które zapisało się w literaturze, jest jego ściśle autobiograficzna trylogia *Jacques Vingtras*.

Był może jeszcze inny powód ostracyzmu, który dotknął Vallèsa. Autobiograficzna jego powieść wciąga w grę — zwłaszcza w swej części pierwszej — środowisko, w którym się wychował, własną rodzinę pisarza, a czyni to z brutalną i bezwzględną szczerością, która nawet w dobie walczącego naturalizmu raziła. Naturalizm operował udokumentowaną fikcją; powieść Vallèsa ociekała autentyzmem, żywą prawdą. Znów *Dziennik Goncourtów* dostarczy nam niepodejrzanego dokumentu reakcji, jaką musiała wywołać owa pierwsza część trylogii (*L'Enfant*), gdy ukazała się w książkowym wydaniu w r. 1879. W tymże roku E. Goncourt notuje: «Ohydna, wstręt na ta świeża książka Vallèsa. Dotąd matka była święta; dotąd matkę oszczędzało dziecko, które wynosiła w łonie. Dziś — koniec w literaturze religii macierzyństwa; zaczyna się bunt przeciw niej. Vingtras, to symbol naszych czasów».

Zaznaczamy, że Goncourt nie był człowiekiem płochliwym, lękającym się śmiałości w literaturze; że sam uważany był za pioniera naturalizmu; że wreszcie to nie jest mówione dla publiczności, po prostu zapisek dla siebie w poufnym dzienniku; — a ocenimy, jaka musiała być reakcja przeciętnego odbiorcy lub krytyka. Sam Goncourt, mimo tej surowej wypowiedzi o książce Vallèsa, wprowadził w testamentacie nazwisko jej autora w skład projektowanej przez siebie akademii, dobranej z dziesięciu pisarzy; co więcej, utrzymał go na tej liście mimo bardzo wzdorliwej pozycji² jaką zajął Vallès wobec tego wyróżnienia; ale nie wszyscy umieli się wznieść do takiej bezstronności. Podobne choć łagodniejsze echo książki Vallèsa znajdziemy w korespondencji Flauberta, który dnia 13 czerwca 1880 pisze do przyjaciółki:

«Autobiografia Vallèsa (*Jacques Vingtras*) to rzecz z talentem. Biedaczysko! Pojmuje się jego zółć. Bądź co bądź, przykry z niego ananas — wolę korespondencję Berlioza».

Książka, mimo niechęci jakie budziła, przetrwała; pierwsza zwłaszcza część trylogii jest niemal arcydziełem literackim; ostatnia zaś od połowy tomu zmienia się w dziennik Komuny, widziany oczami uczestnika jej spoza barykad. Z tych wszyst-

² «Cóż to — miał powiedzieć Vallès, a słowa te obiegły prasę — Goncourt wyznacza premię dla służalstwa? Przyczepia swój wieheć słomy do ogona pełnokrwistych ogierów, odmęzcza, kastruje jurnych? Cóż to ma być za fundacja, jeżeli nie złożony ogon starczej i zjełczalej opinii?»

kich względów sędzę, że książka Vallèsa warta jest dziś, aby jej się przyjrzeć bliżej.

O Vallèsie, jego życiu i jego książce można mówić razem. Pokrywają się w głównych zarysach. Będę więc mówił o nich w ten sposób, zaznaczając momenty, w których zachodzi jakieś odchylenie. A skoro autor w momencie wybuchu Komuny widzi w niej poza wszystkim i odwet za swoje dzieciństwo, warto zapoznać się z tym dzieciństwem, zwłaszcza że ta część trylogii bucha talentem i śmiałością obrazu.

Jules Vallès urodził się w r. 1832 w Puy jako syn nauczyciela gimnazjalnego. Ojciec jego był synem chłopa; przeznaczony zrazu na księdza, potem skierował się na drogę profesury. Ambicje uniwersyteckie zawiodły, skończyło się na uczeniu dzieci w niższych klasach prowincjonalnych kolegiów. Troska o byt coraz liczniejszej rodziny kształtuje charakter «pana profesora» w dość znamienny sposób: nauczyciel zyskuje sobie srogością opinię «psa», aby zmusić uczniów do pobierania płatnych korepetycji; zgorzkniały, przemęczony, lekceważony przez wyższe władze, znenawidzony przez uczniów i nienawidzący ich wzajem, wyładowuje w domu, zwłaszcza na pierworodnym synu, swoje zawody życiowe i swój kompleks niższości w burżuazyjnym społeczeństwie.

Bolączką tego domu była matka, może i nienajgorsza kobieta, ale nie w tej roli. Wprost ze wsi, prosta dziewczyna została «panią profesorową», kapeluszną damą, a sam ten kapelusz (żółty, strojny dwoma całującymi się wypchanymi ptaszkami), cudaczne suknie własnego kroju, maniery, język, czynią ją pośmiewiskiem w domach gdzie pani profesorowa zasiada na kanapie. Straciła prostotę wsi, nie przyswoiła sobie form i obyczajów mieszczaństwa; nie umie dla siebie znaleźć miejsca; agresywna, nerwowa, podejrzliwa, zazdrosna przy tym (i nie bez powodu) o męża, w wiecznej wojnie z sąsiadami, ze służbą, i ona wyładowuje swoje nerwy na dziecku. Julek jest najstarszym («...jestem najstarszym dzieckiem tego błogosławionego związku. Przyszedłem na świat w drewnianym łóżku, w którym były pluskwy ze wsi i pchły z seminarium...»), ale nie jedynakiem; jest ich siedmioro. Od małego bity — i to jak bity! — przez matkę na codzień, przez ojca od święta, upokarzany, gnębiony, dławiony w każdej swojej choćby najniewinniejszej ochocie, w każdej spodziewanej przyjemności, jest w istocie biednym dzieckiem. Zwłaszcza że, mimo wszystko, dzieciak kocha swoich rodziców, wystarczyłoby mu do szczęścia trochę dobroci; miewa najlepszą wolę, najlepsze postanowienia. Ale cierpi w tym domu strasznie. Cierpi i w drobiazgach, które mają dla dziecka olbrzymią wagę. Te ubrania szyte z potwornych starych spódnic matki, na wyrost! Cierpi w swojej ambicji; kiedy idzie do szkoły, jest w klasie ojca, słyszy co koledzy o nim mówią, jak go nie cierpią, jak z nie-

go szydzą; widzi, że matka jest przedmiotem śmiechu i drwin w całym mieście, i cierpi, och, jak cierpi.

Cierpi i w szkole. Owa epoka choruje na straszliwy przerost wychowania klasycznego: koniugować, deklinować, potem fabrykować wiersze łacińskie, podrabiać orędzia greckich bohaterów, to podstawa nauki. Malec jest bardzo zdolny, robi to doskonale, bierze pierwsze nagrody za wiersze łacińskie, ale nigdy nie może z siebie wykrzesać ani odrobiny zamiłowania, zrozumieć po co to wszystko. Nie ma za grosz poczucia «klasycznego piękna». «Cała ta łacina, greka, wydaje mi się śmieszna i barbarzyńska, opycham się tym, łykam to jak błoto»... Nie cierpi tej szkoły, której mury wyglądają jak więzienie; tej edukacji, w której co chwilę ujawniają mu się nierówności towarzyskie, faworyzowanie bogatych, gnębienie i upokarzanie ubogich. On sam byłby najszcześniejszy, gdyby mu pozwolono na wieś, zostać chłopem jak jego krewni, na których całe życie patrzy z zazdrością, albo rękodzielnikiem: z upojeniem przygląda się pracy szewca, takiej miłej, sensownej w porównaniu z obmierzłym «klasycyzmem». Ale jak na złość sypią się na niego wszystkie nagrody: pewnego razu dostał ich aż trzy; że zaś nagroda połączona była z wieńczeniem, pakują malcowi trzy wieńce na głowę i wśród śmiechu obecnych, becząc ze wstydu, idzie tak przez ulice miasteczka do domu.

Czasem przychodzą nowe, nieoczekiwane utrapienia. Pani Vingtras uznała, że jej synowi potrzebne są lekcje dobrych manier, a udzielać ich miał ex-żołnierz, pijaczyna, który bił żonę, ale pływał jak ryba; wyratował inspektora szkolnego z wody, za co powierzono mu lekcje tańca. Skutki tej nauki manier, zaprezentowane przez chłopca na wielkim przyjęciu u prowizora, miały być katastrofalne.

To już było w Nantes. Bo w roku 1845 przeniesiono ojca do Nantes. Jakże będzie Vallès nienawidził tego Nantes — głównie za zawód, jaki sprawiło trzynastoletniemu chłopcu. Wiązał z Nantes — jako z portowym miastem — bogate nadzieje: zakraść się na statek, pod pokład, wyleźć aż na pełnym morzu, przebłągać kapitana i jazda na antypody, gdzie nie ma domu ani szkoły. Jakiż zawód! Nantes leży dość daleko od morza, miejski port jest na spławnej rzece, drobnohandlowy, brudny, smutny, bez cienia romantycznej poezji.

I tak płynie życie chłopca w codzienności swoich małych wydarzeń. I aż dziw, że autor trylogii *Jacques Vingtras* ogranicza je tylko do przeżyć domowych i szkolnych. Bo przecież w owym prozaicznym Nantes zaskoczyły młodego Vallèsa doniosłe wypadki. Rok 1848, echa rewolucji, wydarzeń zaszłych w Paryżu. Julek ma wówczas lat 15. Wiemy z innych źródeł, że w wypadkach lutowych brał żywy udział — na swój szkolny sposób. Pierwszy raz staje przed nim kwestia socjalna,

którą pojmuje uczuciowo, dziecinnie, po prostu. Coś z tego nastawienia odnajdzie się w nim i później.

Sadzenie drzewa wolności, wyskrobywanie słowa «Royale» z tabliczki na rynku — cóż za emocje. A wizyta przedstawiciela Republiki w szkole, cała nowa frazeologia republikańska!

Kiedy jeden z uczniów założył «Klub Republikański», a małego Vallèsa nie przyjęto do klubu (zapewne z powodu wieku), wtargnął na zebranie (wiemy to nie od niego, ale z cudzych wspomnień), obalił młodocianego prezydenta, i sam wybrany w jego miejsce przeparał wniosek żądający radykalnego skasowania matury, wszelkich egzaminów, świadectw (jako obrażających pojęcie równości); wniosek pełen ostrych uchwał przeciw nauczycielom, korepetytorom, przeciw dyscyplinie szkolnej, internatom. Zasada absolutnej wolności dla uczniów.

Na wieść o czerwcowych wypadkach chce Vallès na czele dziesięciu kolegów pośpieszyć do Paryża; od lutego aż do czerwca jest wodzem małych republikańców. Tego wszystkiego nie ma w jego książce. Nie chciał może tym tematem rozszalać obrazu życia domowego, przerywać zwierzeń i porachunków o ileż dlań wówczas donioślejszych; wówczas jeszcze nie w ustroju państwa mieścił się problemat jego wolności! Na sprawy publiczne przyjdzie czas w swojej porze. Każda część trylogii ma swoją dedykację, wyrażającą jej intencje. Dedykacja pierwszego tomu brzmi: «Wszystkim tym, którzy zdychali z nudów w szkole lub którzy wylewali łzy w domu; których w dzieciństwie tyranizowali nauczyciele lub katowali rodzice, poświęcam tę książkę». Oto rama; jakże szczelnie wypełniona!

Skandalik erotyczny, którego bohaterem był, na wpół mimo woli, dorastający chłopiec, stał się przyczyną że młodego Vallèsa — czy Vingtrasa — wysyłają rodzice do Paryża. Zdawałoby się raj — Paryż po Nantes! Ale to tylko zmiana więzienia. Oddany do prywatnego internatu na ulgowych warunkach — za co mści się na nim zarząd, gnębiąc chłopca codziennymi upokorzeniami — przyjęty w nadziei że «poprawi statystykę» świetnymi egzaminami, sprawia w tej mierze zawód; odsyłają go z powrotem do Nantes. A wrażenia z Paryża? Trzymany pod kluczem, wypuszczany na krótko bez grosza w kieszeni, w pociesnym ubranku przemysłu matczynego — bo i tu poszło za nim to wspomnienie domu — nie wyniósł z Paryża nic prócz nowych uraz. Za powrotem do domu, chłopak, któremu już się węs sypie, coraz trudniej znosi niewolę. Matka już go nie bije — jest już za duży, za silny — to już wydział ojca. Raz po raz wybuchają straszliwe burze. Kiedy z nudów i aby zarobić parę groszy, chłopiec chce dawać tanio korepetycje, ojciec zabrania mu tej nielojalnej konkurencji, obniżania ceny. Na groźby ucieczki, odpowiada groźbą żandarmów, na co mu prawo pozwalało. A jednak syn kocha tego ojca. Kiedy raz, po jakiejś szkolnej burzy, starszy uczeń wpadł do domu

Vallèsów, aby znieważyc znieawidzonego nauczyciela, młody Vallès będzie się pojedyńkował za honor ojca. Dostanie pchnięcie w udo, od czego rzecz prosta ucierpiałby mimochodem i spodnie. «Na drugi raz włóż choć stare spodnie», powie mu stroskana matka. Ale znów trzeba chłopca wyprawić do Paryża, tym razem na własne gospodarstwo, na co wyznaczono mu 40 franków miesięcznie. Oprócz prania w domu, i — o biada! — znowuż garderoby z matczynych sukien.

W Paryżu chłopiec wchodzi w atmosferę brzemiennej politycznymi wypadkami. Rok 1851 — tuż przed zamachem stanu. Vallès jest zdecydowanym republikanem, chciałby czynnie wystąpić, ale w decydującej chwili nie może przeprzeć bezwładu kolegów, mimo iż konspiracyjnych wraz z nim w «Komitecie Młodych». Vallès—Vingtras — przestał tylko na próżno trzy grudniowe noce na mrozie, od czego dostał reumatyzmu w ramieniu i stał się podejrzany czujnej policji.

Ale i dom daje znać o sobie. Ktoś widział Vallèsa z bezwładną ręką; dochodzi do Nantes wiadomość, że został ranny w grudniowych wypadkach. To grozi ojcu utratą posady; trzeba ściągnąć syna natychmiast do Nantes, pokazać światu że nie jest ranny.

I młody wraca. Trzebaż wreszcie zdać i tę maturę, którą w Paryżu polityka wypędziła mu z głowy. Zda ją niebawem, w roku 1852. Ale na razie stosunki w domu bardziej są napięte niż kiedykolwiek. Ojciec i syn — ten kompromitujący, niebezpieczny syn — patrzą na siebie jak dwaj wrogowie. I tu zachodzi fakt długo nieznanym tym co wydawali sądy o Vallèsie. Zarzucano pisarzowi, że powiedział o domu rodzicielskim o wiele więcej niż wolno powiedzieć; dziś wiemy, że nie powiedział bynajmniej wszystkiego, że złagodził barwy obrazu.

Vallès wspomina mimochodem historię profesora, którego syn krzyknął publicznie: «Precz z dyktatorem!».

«Co czyni ojciec? Powiada, że syn musiał zwariować i pakuje go do domu obłąkanych. Po upływie dwóch miesięcy wypuszczono go, ale siostra tak się wzruszyła wiadomością o obłąkaniu brata, że zachorowała, podobno śmiertelnie».

Otóż to nie była przygoda kolegi, ale jego własna. Znamy jej dokumenty.³ Mianowicie ojciec Vallèsa uzyskał od domowego lekarza opinię, na zasadzie której oddał syna do domu obłąkanych. W dwa dni później zakładowy lekarz wydał orzeczenie, stwierdzające upośledzenie inteligencji, urojenia, tendencje samobójcze, znamiona organicznej choroby mózgowej — stan wymagający specjalnej opieki i zamknięcia w domu obłąkanych.

Przebywał tam Vallès — podniecony, ale zdrow na umyśle —

³ Ogłosił je dr. Béron w «La Nouvelle Revue», 15.XII.1918 (J. Thierscelin: Jules Vallès à Nantes, «Mercure de France», 15.VI.1932).

w towarzystwie wariatów przez 2 miesiące i 2 dni; wypuszczono go na skutek interwencji paryskich kolegów, którzy dowiedzieli się o tej sprawie i zagrozili ojcu Vallèsa skandalem.

Takie było dziecięctwo i taka młodość przyszłego pisarza. Jeżeli w czym można by mu zarzucić deformację rzeczywistości, to w ilościowym przedstawieniu składu rodziny. Wspomina tylko o siostrze młodego Vingtrasa, podczas gdy Valesiłek było w istocie siedmioro, co może stanie dla rodziców za pewną okoliczność łagodzącą; gdyby chodziło o jedynaka, wychowanie to zanadto trąciłoby jakimś patologicznym zwyrodnieniem sknerstwa i sadyzmu.

II

Drugi tom trylogii ma tytuł «Le Bachelier». Polskie słowo «maturzysta» niezupełnie oddałoby treść tego tytułu; ówczesny francuski «bachelier» to było i coś więcej i coś bardziej wyspecjalizowanego. To był cała gęba klasyk, spec od łaciny i greki, na których wznosił się gmach ówczesnej wiedzy. Jeżeli taki «bachelier» nie poszedł drogą profesury, jeżeli zdradził swoje przeznaczenie, wówczas okazywało się, że jest kompletnie do niczego; dobry chyba na to, żeby gonić za prywatnymi lekcjami, licytując je na taniłość. Praktycznego przygotowania do życia nie miał żadnego, tytuł zaś «bachelier» raczej szkodził mu niż pomagał; dla ludzi praktycznych zawodów znaczył mniej więcej tyle co «niedojda z pretensjami». Toteż Vallès dedykuje ten drugi tom «tym, którzy, wykarmieni greką i łaciną, pomarli z głodu». Jemu samemu zdarzyło się parę razy spotkać w Paryżu na ulicy żebraka, który legitymował się jako «bachelier», i to z nagrodami.

Vallès nie chce iść drogą regularną, drogą kariery, którą zozydzał mu codziennie przykład ojca; nie chce być za młodu owym «pion», dozorcą i katem dzieci, sypiającym w klatce w ich wspólnej sypialni, szpiegującym, zniechędzonym, narażonym na odwety dzieciaków i mszczącym się znów za nie; nie chce nasiąknąć ojcowskim serwilizmem ani trząść się przed inspektorem; nie chce zwłaszcza złożyć przysięgi zniechędzonemu rządowi, uzurpatorowi, który ukradł wolność Francji. Ma z domu zapewnionych 40 franków miesięcznie (kupił je sobie, cedując ojcu — na lichwiarskich warunkach — kapitał małego spadku, którego jako małoletni nie miał prawa objąć); rzuca się tedy w Paryż w nadziei, że zdobędzie resztę własną głową.

Jedną z charakterystycznych książek Vallèsa będzie później (1865) tom jego «Les Réfractaires» (coś pomiędzy «buntownicy» a «wykolejeńcy»). W książce tej da cykl obrazków z życia owej cyganerii zbuntowanych «bacheliers», takich jak on sam, takich z którymi się stykał. Ponura to cyganeria, bar-

dziej ponura od cyganerii artystycznej i jej desperackiej często nędzy. Tamtą nędzę złoci bodaj promień poezji, sztuki, i zawsze przyświeca jakaś nadzieja nagłej zmiany losu; tutaj — nie. Pół nędza lub nędza zupełna — nadziei znikąd. A biada temu, kto zostawszy chwilowo bez lekcji, sprzeda ostatnie buty lub koszulę aby zjeść obiad; wówczas już pogrzebał wszystkie możliwości: inteligent bez koszuli nie znajdzie pracy, a bez pracy nie odkupi koszuli; błędne koło. Jedynie nieliczni — opisuje i takich Vallès — potrafią się dostosować do takiego życia, wyzyskać wszystkie sekretne środki milionowego miasta i znajomość jego fauny głupców. Tacy potrafią żyć, i nawet niezłe, rycerze różnych intelektualnych przemysłów. A jeżeli sam Vallès, przeszedłszy wszystkie etapy paryskiej nędzy, zdołał się z niej wyrwać, to dlatego, że w tym «bachelier» tkwił tegi kawał pisarza, artysty. A zwłaszcza tkwiła pasja, żądza odwetu. «Zapłacisz mi za to, ty głupie społeczeństwo... nie stracisz na włoce. Wyostrze broń, która cię skrwawi...» — «Kiedyś spala Kodeks i Kolegia!» — woła gdzie indziej.

To życie i to środowisko jest treścią drugiego tomu trylogii. Vallès próbował różnych zawodów. Między innymi pracował przy układaniu słownika, po centymie od wiersza, przy czym trzeba było dostarczać przykładów z klasyków. Dla pośpiechu, aby wyrobić więcej centymów dziennie, a także przez kpiny, Vallès, zamiast szukać w książkach, podrabiał te przykłady; doszedł zwłaszcza do mistrzostwa w podrabianiu Bossueta! Pisywał i piosenki, i satyryczne wiersze na zamówienie, i prospekty — wszystko.

Powiedzmy odrazu — że artystycznie ten tom stoi niżej od poprzedniego. Tam mieliśmy przejmujący autentyzm⁴ wspomnień; życie dziecka widziane niemal dzień po dniu; tutaj film kilkunastu lat egzystencji paryskiej przesuwa się w dość fantazyjnym skrócie, to zwolniony to przyspieszony nadmiernie, przystrojony reminiscencjami bohemy w stylu Murgera (mimo że książka Vallèsa chce być jej zaprzeczeniem); niejeden epizod trąci już literaturą i to nienajlepszą. Cały bogaty okres dojrzewania młodzieńca, jego kształtowania się duchowego, urastania w pisarza, potraktowany jest dziwnie zdawkowo, podczas gdy błahe przygody wątpliwej autentyczności rozbudowano nadmiernie w tej «Dichtung und Wahrheit», w której «Dichtung» oznacza bardziej zmyślenie niż poezję. Ale od czasu do czasu, zwłaszcza gdy znów powieje do nas powietrze rodzinnego domu Vallèsa, książka odzyskuje akcenty przejmującej prawdy. Do takich momentów należy rozstanie się jego rodziców na

⁴ Vallèsa przeżycia szkolne, wizerunki profesorów i in. konfrontowano z innymi wspomnieniami z tych samych lat i z tej samej szkoły i stwierdzono ich prawdziwość (L. Villat: *Jules Vallès à Nantes*, «Mercure de France», 1 czerwca 1932 r.).

tle spóźnionej miłości starego Vallèsa, rozbicie domu, kamieniem rozpacz matki, potem śmierć i pogrzeb ojca. I te momenty, gdy przychodzi do głosu jakaś głęboka solidarność rodzinna. gdy czujemy, że mimo wszystko ci straszni rodzice kochali syna i on kochał ich, bardzo artystycznie tonują wstecz okrutną groteskę domowego piekielka z tomu pierwszego.

Vallès jest bardzo nierówny; istnieje jako pisarz tylko wtedy kiedy czuje, i to gwałtownie; reaguje na rzeczywistość wszystkimi zmysłami i raczej odruchami intelektu niż jego konsekwentnym funkcjonowaniem. Takie jest też jego dojście do socjalizmu, do przyszłej Komuny. Ani śladu nie znajdziemy w jego zwierzeniach jakichś kontaktów z socjalizmem naukowym, żadnej innej podbudowy teorii; jeżeli wspomni lekturę Proudhona (którego «Voix du peuple» kupuje z biciem serca), to aby zanotować że: «styl Proudhona rzuca płomienie, gra jak słońce na szybach; mam wrażenie, że poprzez wiersze druku widzę iskrzący się bagnety». Serce bije mu również, kiedy śpieszy na wykład uwielbianego przez radykalną młodzież Micheleta; moment, kiedy Micheleta pozbawiono katedry, akcja młodzieży, dużo zajmują miejsca w książce Vallèsa. A oto jego jakże znamienne wyznanie wiary:

«Czy ja wiem naprawdę, czemu ja chciałbym walki i tego co da zwycięstwo? Nie bardzo. Ale czuję, że moje miejsce jest po tej stronie, gdzie będą krzyczeli: Niech żyje Republika demokratyczna i socjalistyczna! Po tej stronie będą wszyscy synowie, nad którymi ojciec znęcał się niesłusznie, wszyscy uczniowie, których nauczyciel upokarzał krwawo, nauczyciele których dyrektor żył, wszyscy ci którym niesprawiedliwość kazała mrzyć głodem!...»

Ujrzymy, iż poza ten krąg myśli socjalnej Vallès nie wyjdzie do końca. Jest może instynkt w tym ograniczeniu. Goncourt robi uwagę, że Vallès pielęgnuje swoją gorycz, hoduje ją, obnosi, podsyca, rozumiejąc, że gdyby ją stracił, byłby jak tenor pozbawiony swego «wysokiego c».

Opuszczam na chwilę Vingtrasa, aby zestawić pierwsze sukcesy literackie samego Vallèsa na podstawie jego biografii. Zmożony nędzą, przyjąwszy, mimo zarzekań się, miejsce korepetytora w liceum w Caen, Vallès wrócił stamtąd po ośmiu miesiącach, przywożąc nieoczekiwaną książkę pt. *Pieniądz*, napisaną «przez literata, który stał się giełdźiarzem». Książka ukazała się w r. 1857 — autor jej miał 25 lat. Był to pamflet wymierzony w sfery finansowe, w pieniądź. Książka zwraca uwagę; dziennik «Figaro» przedrukowuje z niej duże ustępy. W następnym roku Vallès jest już współpracownikiem «Figara» i w ciągu 10 lat — z przerwami co prawda — pracuje w dwóch pismach — «Figaro» i «L'Evenement» — wydawanych przez potężnego wówczas handlarza myśli, Villessanta. Zaczyna cyklem felietonów «Figaro na giełdzie».

Pióro Vallès, gwałtowność jego stylu, szybko zdobywa mu reputację. Ale ten współpracownik bywa dla redaktorów i niewygodny i niebezpieczny. Nie uznaje kompromisów i, przy ówczesnej ostrej i podejrzliwej cenzurze, może narazić pismo na grzywnę lub zawieszenie. Komplementują go za talent, winszują werwy, ale mają się przed nim na ostrożności. Zniecierpliwiony Vallès marzy o własnym piśmie. Jakoż 1 czerwca r. 1867 ukazuje się «La Rue», tygodnik z podtytułem «Paris pittoresque et populaire». Vallès — naczelny redaktor; w składzie redakcji m. in. Zola, Edmond i Jules Goncourt, Léon Cladel; jako rysownicy A. Gill, Rops, Courbet. Tygodnik zawieszono po 8 miesiącach; tytuł jego stał się tytułem książki Vallès, stanowiącej zbiór jego artykułów.

Etapy tej drogi Vallès, zachowując ogólną linię *Vingtras*, grupuje cokolwiek inaczej, ale znajdziemy w tej książce wspomnień żywo skreślone sylwety Girardina, Villesessanta i innych potentatów prasy.

III

Zbliża się rok 1870. Vallès w swoich wspomnieniach oddaje nastroje ludowe Paryża, jakby już podminowanego przyszłą klęską Cesarstwa i wietrzącego jego upadek. Pogrzeb Wiktora Noir, dziennikarza, który padł od kuli księcia Napoleona, postawa robotniczego Paryża, wszystko to żyje na kartach książki. Z początkiem wojny, w sierpniu r. 1870, Vallès dostaje się do więzienia; ogłoszenie Republiki uwalnia go. Rzuca się w wir wydarzeń; zakłada pismo «Cri du peuple»; — i czeka, czeka dnia!

Ten trzeci tom trylogii pt. «L'Insurgé» poświęcony jest dziejom Komuny. I ten tom również ma dedykację: «Wszystkim tym, którzy jako ofiary krzywdy społecznej chwycili za broń przeciw źle urządzonemu światu i stworzyli pod sztandarem Komuny wielką federację niedoli — ofiaruję tę książkę». Pół tomu wypełniają echa wojny, obłężenie Paryża, podziemne przygotowania, nabrzmiewanie sytuacji. Aż wreszcie — 18 marca 1871. Zaczyna się. Pułk liniowego wojska przeszedł na stronę ludu. Jeden generał zmasakrowany, drugi pod ściankę. Takie wieści przynoszą Vallèsowi koledzy. Posłuchajmy jego samego, okrzyku, jaki mu się wydiera mimo zgrozy przed rozlewem krwi:

«No tak! To Rewolucja!

Nadeszła więc ta chwila, oczekiwana i upragniona od pierwszego okrucieństwa ojca, od pierwszego uderzenia w twarz ręką belfra, od pierwszego dnia bez chleba, od pierwszej nocy bez dachu — oto odwet za szkołę, za nędzę, za grudzień!».

Zważmy ten krzyk; w nim jest cały Vallès. Wspominałem, że w poprzednim tomie nie znajdziemy żadnych śladów ewo-

lucji umysłowej w duchu naukowego socjalizmu; rewolucja, Komuna, trupy, to dla niego wyzwolenie z urazów dzieciństwa, odwet nie tylko za grudzień, ale i za dom, za życie. Nie znaczy to, aby Vallès-publicysta nie czuł się powołany do zabierania głosu w sprawach techniczno-organizacyjnych wyłaniającego się nowego ustroju. Pojawia się w tych pierwszych dniach jego «program», w którym czytamy, że Paryż winien się ogłosić wolnym miastem, wolną gminą (*commune affranchie*), państwem republikańskim (*cit   r  publicaine*), «urzeczywistniajacym w moliwych granicach teorie bezporedniego radu, istniejącego w republice szwajcarskiej». I nakreliwszy na paru stronicach drobiazgowy plan koniecznych zaradze, tak dla gospodarki wewntrznej jak i dla rokowa z przedstawicielami armii pruskiej oraz z radem Francji, Vall s koczy swj program swami: «Takie s zaradzenia, ktre naley podjac natychmiast, pod gro popadnęcia w zamęt i stoczenia si  w przepac».

Ale w tej samej chwili ujrzymy jeszcze inne wcielenie Vall sa. Oto lud wali na ziemi  synn kolumn  z *place Vendôme* z poagiem Napoleona. Vall s nienawidzi Napoleonw — zarówno trzeciego jak i pierwszego. Nie cierpi poety B rangera za to, e «liza brazow kolumn  Napoleona; kl ka przed kapeluszem tego bandyty». Pisz wiersz «A la colonne», bdcy jakby drwic odpowiedzi na wszystkie bawochwalcze «Ody do kolumny» Wiktora Hugo i innych. Wiersz ten (zamieszczony powyej w pi knym przekadzie Wayka) pozwol  sobie przytoczy tu w oryginale:

A LA COLONNE

Le colosse d'airain, qu'ont bris  nos col res,
 Aux yeux de la canaille ouvre ses flancs b ants ;
 Crachons sur lui, nous tous qu'on forcait, pauvres h res,
 A payer quatre sous pour lui grimper dedans !
 Quatre sous !... Pour les gueux, on ne t'avait pas faite,
 Et les d sesp r s, qui, sans pain, sans logis,
 Voulaient sur le pav  s' lancer de ton faite,
 Ne pouvaient m me pas se suicider gratis !
 C'est fini, ce temps l... Te voil sur la place,
 Grand cadavre verdtre en morceau mis par nous ;
 Et pour les meurt-de-faim, la grande populace,
 Avec ton Bonaparte on va frapper des sous !

Wrocemy do trzeciego tomu trylogii. Odtd, od dn. 18 marca 1871, a do koca zmienia si  on w dziennik Komuny. Pisany jest zapewne *ex post*, ze wspomne; ale wspomnienia te barwi si  tak ywo gorczk chwili, e czytajc czujemy si  jak gdyby przeniesieni w ogie walki. Zrazu Vall s jest cywilem, ale jako redaktor «Cri du peuple», sdząc e to bdzie z korzyci dla dyscypliny rewolucyjnej, militaryzuje si , otrzymuje rang  kapitana, kepi i szabl ; ale, o dziwo, z chwil gdy jest w mundurze i z urzdowym stopniem, nie sucha go nikt;

musi na nowo przedzierzgnąć się w cywila, chcąc aby go słuchano. Potem mianują go nagle merem jednego z okręgów; był też członkiem Komisji Oświecenia. Goncourt czyni go w swoim «Dzienniku» ministrem oświaty, źle wróżąc o losach Komuny z powodu tej nominacji. Czytajmy jego zapisek pod datą 31 marca:

«*Risum teneatis!*... Jules Vallès jest ministrem oświaty. Cygania wprost z knajpy zajmuje fotel, na którym zasiadał Villemain. A jednak trzeba powiedzieć, że w całej bandzie Assi'ego ten człowiek ma najwięcej talentu a najmniej złości. Ale Francja jest tak «klasyczna», że literackie teorie tego pisarza już bardziej zaszkodziły nowemu rządowi, niż teorie socjalne jego kolegów. Rząd, którego członek ośmielił się napisać, że Homera trzeba cisnąć do lamusa, a *Mizantropowi* Moliera brak jest wesołości, wydaje się mieszcuchom bardziej przerażający, bardziej wywrotowy, bardziej antyspołeczny, niż gdyby ten rząd uchwalił w ciągu jednego dnia zniesienie prawa dziedziczenia i zastąpienia małżeństwa wolną miłością».

W istocie, jeszcze w r. 1866 Vallès, ścigający nienawiścią klasyków (wciąż uraz młodości), spiorunował oślepiały Paryż wstępnym artykułem w «*L'Evenement*», zakończonym słowami:

«Na śmietnik ta kupa starzyny, do zlewu melodyjny Wirgiliusz i nieśmiertelny Klituś-bajduś, który spłodził Iliadę i Odyseję. Podkasuj się, Schneiderko (modna aktorka, która kreowała «piękną Helenę»), a ty, stary Homerze, do przytułku dla ociemniałych!».

Działalność Komisji Oświecenia nie poszła bynajmniej po tej obrazoburczej linii; ale Vallèsowi nie zapomniano jego artykułu. Już po upadku Komuny, w korespondencji swojej z r. 1880, Flaubert, robiąc swój bilans pasywów Komuny, pisze: «Ministrem oświaty był wielki Vallès, który się chełpił, że ma w pięcie Homera!».

Zaiste, Francja jest ziemią klasycyzmu; niech to usprawiedliwi te ekscesy Vallèsa, bodaj przez pamięć dnia, w którym szedł do domu płacząc rzewnymi łzami, z trzema wieńcami na głowie.

Kończy się ten tom — i trylogia — porażką Komuny. Gdy wersalczyki weszli już do Paryża i rozpoczęły się okrutne represje, Vallès, widząc że wszystko stracone, ukrywa się, potem goli brodę i próbuje się wymknąć z miasta na wozie. Jacyś żołnierze rzucili na ten wóz rannego z poleceniem dowiezienia go do ambulansu; ranny umarł, ale trup jego stanowi cenną legitymację. Vallès objeżdża z trupem miasto, aż wreszcie znajduje jakiś mniej strzeżony punkt i wymyka się. I tuż przed granicą, gdy jeszcze może być schwycony, przechodzą mu przez głowę jakże charakterystyczne myśli — wciąż te same:

«Moje urazy umarły — miałem swój dzień».

Wiele innych dzieci bito tak jak mnie; wielu innych matu-

rzystów cierpiało głód i zaszło aż do grobu, nie pomściwszy swej młodości.

Ty zebrałaś swoje nędze i bóle, i doprowadziłaś swoją garść rekrutów do tego buntu, który był wielką federacją cierpienia.

Na co się skarżysz?...

Jeszcze chwila — i Vallès jest po tamtej stronie granicy. Udaje się do Anglii, gdzie pozostaje do r. 1880, współpracując z radykalnymi pismami we Francji. W r. 1878 drukuje w felietonie dziennika «Le Siècle» pierwszy tom⁵ swojej trylogii (*L'Enfant*) — pod pseudonimem. Kiedy amnestia pozwala mu wrócić do Paryża, rozszerza swoją działalność publicystyczną, wznawia swój dziennik «Cri du peuple». W ostatnich latach sekretarką jego i wyznawczynią jest Séverine, popularna później publicystka i działaczka społeczna. Vallès umiera w r. 1885, pogrzeb jego jest wielką manifestacją ludowego Paryża.

Vallès był jednym z najgłośniejszych, najwpływowszych publicystów swojej epoki. Jedyłą atmosferą w której mógł żyć i działać była atmosfera walki, namiętności, gorączki, i styl jego urabiał się w tej walce; działalność jego jako publicysty, ta która najwięcej dawała mu rozgłosu, jest dziś najbardziej martwą w jego spuściźnie. Ona to ściągnęła nań ostry sąd Engelsa, który w liście do Bernsteina (17 sierpnia 1884) nazywa go frazesowiczem literackim. Zdaje się, że Vallès, kiedy wyszedł poza sferę swoich młodocianych wspomnień, urazów i obsesji, nie wiele miał do powiedzenia. Ale zostawił jedną książkę godną wielkiego pisarza: tę właśnie, w której zawarł niedole swojej młodości, tragedię — czy raczej tragiczność — socjalną dziecka.

⁵ Drugi tom (*Le Bachelier*) ukazał się w roku 1881, trzeci (*L'Insurgé*) już po śmierci pisarza w roku 1886.

LEON PASTERNAK

KOMUNA

Kiedyś ostatni kawał chleba z celi,
z resztką czarnej machory, sznurkiem windy zsunął,
kiedyś kęs jedyny z towarzyszem dzielił,
zwyciężałaś, Komuno!

Kiedyś umiał po latach wytrwanych za kratą
na masakrę i drwiny odpowiedzieć dumą,
kiedyś w dni głodówki pięścią groził katom,
zwyciężałaś, Komuno!

Szłaś do walki

tam —

w demonstracjach, gdy tętent szarzy
chrapiąc iskrą z bruków były ponad tłumy,
kiedy salwą zmieniała w popiół płomień twarzy,
w łopocie czerwieni, w sinym świcie gумы.

Gdzie w gwizdach obławy szpicle biegli rzędem
i pętla tyraliery zaciskała się śliska,
gdzie ulotki śmigwały jak skrzydła gołębie,
i transparent na druty tramwajowe tryskał;

kamień kolbę kruszył, szablę łom wyginał,
brat brata podpierał póki sam nie runął,
gdzie tylko w podziemiach kułaś słowo Lenina,
wiodłaś naprzód, Komuno!

W bramach łańcuch szczekał. Wyły w pędzie budy.
Trup na trotuarze ściągnął gniewnie brwi.
A nad miasto gołąb wzbił się, w słońcu rudy,
niosąc w piąstkach protest, strzępek buntu i krwi.

Razem w klęskach byłaś, razem byłaś w sławie,
warta lat niedaremnych, śmierci naszej warta;
gdzie tylko węzeł naszą wolność dławi,
prowadzi Komuna — Awangarda — Partia.

Upadasz i wstajesz, nie poddajesz się nigdy,
dreszcz drukarń nocą spod ziemi przenika,
zgięte grzbiety niewolnym dźwigasz w krajach krzywdy,
jak w owe pierwsze lata Października.

Zwyciężałaś
tam —

kiedy bosi partyzant na tanki ententy
szedł z bagnetem w rękę poprzez kraj ogromny,
kiedy marynarz carskie gnał akselbanty,
byłaś górą, Komuno głodnych i bezdomnych!

Z karabinem na plecach wiodłaś pierwszy traktor,
stary pług jak gawron nienawistnie krakał,
aż złamałaś wolą ocalałą z katorg
cęgi sabotażu i wściekłość kułaka.

Umarł Lenin. A przecież martwe płaty nieba
ława fabryk w nocy rozżarzała łuną!
Jadą pierwsze plony. W czas suchego chleba,
budowałaś, Komuno!

Pustynie srebrzysz wodą, spawasz mostów sprzęgła,
szumi wiatrak kombajnów z ukraińskich łanów,
na stal hartowany, spośród zwałów węgla
z potem pył rozmazując, wyszedł górnik Stachanow.

Rośnie szkło i marmur, nad nim wieją flagi,
koło śmigła horyzont ostateczny zbliża.
To skrzydła komunardów. Nie powróci tragizm
Komuny miasta Paryża.

Spójrzcie przed siebie! Życie na oścież!
Promień światła dźwięczy jak struna!
Huczą hymny zwycięskiej młodości —
Komuna!
Komuna!
Komuna!

1941 r.

TARAS SZEWCZENKO

1861 — 1941

Był synem chłopca, a stał się księciem w królestwie ducha.
Był chłopem pańszczyńnianym, a stał się mocarzem wszech-
ludzkiej kultury.

Był laikiem bez wykształcenia, a wskazał profesorom i książ-
kowym uczonym nowe, jasne i wolne drogi.

Jęczał dziesięć lat dźwigając karabin rosyjskiego żołnierza,
a działał dla wolności Rosji więcej, niż dziesięć zwycięskich
armii.

Los prześladował go w życiu na wszelkie sposoby, nie zdołał
jednak zmienić złota jego duszy w rdzę, jego miłości dla czło-
wieka w nienawiść i pogardę, jego wiary w zwątpienie i pesy-
mizm.

Los nie szczędził mu cierpienia, ale nie skąpił także radości,
które płynęły ze zdrowego źródła życia.

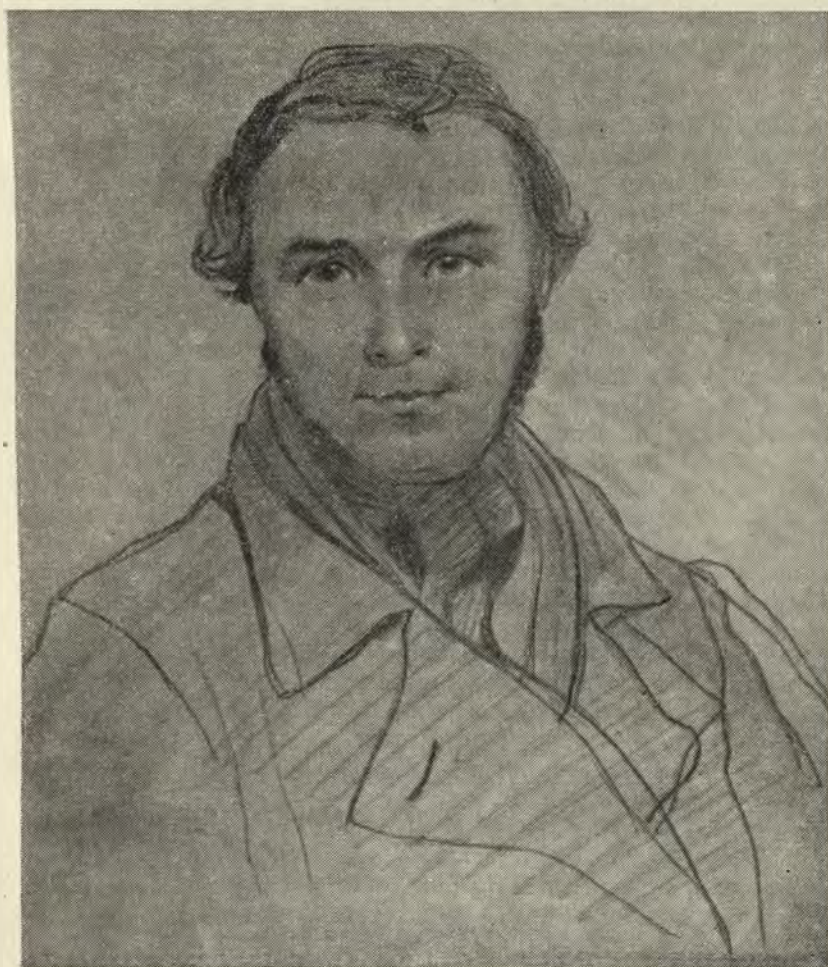
Dopiero jednak po śmierci obdarzył go tym, co jest najlep-
sze i najcenniejsze — nieprzemijającą sławą i radością, zakwita-
jącą wciąż na nowo pod wpływem jego dzieł w milionach
ludzkich serc.

Tym był i jest dla nas, Ukraińców — Taras Szewczenko.

Lwów, 12 maja 1914 roku.

Iwan Franko

(Słowa powyższe zostały umieszczone w numerze 3—4 z 1914 r. czaso-
pisma «Ukrainische Rundschau», poświęconym w całości uczczeniu setnej
rocznicy urodzin Tarasa Szewczenki).



1) Taras Szewczenko. Autoportret (szkic ołówkiem, 1843—1845 r.)

TESTAMENT

Kiedy umrę, na wysokiej
 Złóżcie mię mogile
 Pośród stepu szerokiego
 W Ukrainie miłej,
 Żeby łąny rozłożyste
 I Dniepr pośród zboczy
 Było widać, było słyhać,
 Jak się grzmiący toczy.

A gdy spłucze z Ukrainy
 Jej wrogów posokę
 W sine morze... wtedy łąny
 I zbocza wysokie—
 Wszystko rzucę i ulecę
 Do samego boga,
 By się modlić... A po prawdzie—
 Nie znam, nie znam boga.

Pochowajcie i powstańcie,
 Kajdany zrywajcie,
 Wrogów swoich krwią złoczyńską
 Wolność pokrapiajcie.
 A i mnie w rodzinie wielkiej
 W gronie wolnem, nowem
 Wspomnieć czasem pamiętajcie
 Niezłem cichem słowem.

Perejasław, 25 grudnia 1845.

Przełożył Adam Ważyk

Z «DZIENNIKA»¹

20 (czerwca)... Czy to dobrze, że tak dziś puściłem wodze wyobraźni? Nie zdarzało mi się to dawnymi laty, w te naprawdę krytyczne dni. Nie zdarzało mi się jednak także, nie chwalać się, szukać schronienia w jękach i wyrzekaniach. Nie uciekałem się nigdy w tym wypadku do pomocy medycyny. Z zamierającym i drżącym sercem farbowałem wąsy, przy-

¹ W roku 1847 carat zesłał Tarasa Szewczenkę do twierdzy orskiej, a potem do nowopietrowskiej, przy czym surowo zabroniono mu pisać i malować. Zwolniono go pod koniec 1858 roku. «Dziennik» swój zaczął Szewczenko pisać w czerwcu 1857 roku.

wdziewałem pancierz i stawałem przed krwisto-czerwonym od opilstwa obliczem ojca-komendanta, by zdać egzamin z regulaminu i musztry i na zakończenie wysłuchać głupiego i niezmiernie długiego pouczenia o tym, jak powinien zachowywać się dzielny żołnierz i za co powinien kochać boga, cesarza i swoich najbliższych przełożonych, poczynając od dziadźki i kaprała-gefrajtera.

To śmieszne. Śmieszne, bo oswoiłem się już z tym ohydny widokiem. Ale jak było przedtem, kiedy nie umiałem, a jednak musiałem — pogrzebać w sobie ludzkie uczucie, stać się bezdusznym automatem i wysłuchiwać w milczeniu, nie czerwieniąc się i nie blednąć, nauk moralnych grabieżcy i krwiożercy. Nie, wtedy to nie było śmieszne. Podłość! Ohyda! Czy doczekam tych błogosławionych dni, gdy z mojej pamięci ulotni się wspomnienie tej moralnej potworności? Nie sądzę, bo ta ohyda wciskała się w nią powoli i głęboko.

Dziwne jest jeszcze jedno. Cała ta niewystowiona rozpacz, wszystkie rodzaje poniżenia i zniewagi przeszły obok mnie, jakby nie dotykając mnie. Nie zostawiły po sobie najmniejszego śladu. Mówią, że doświadczenie jest naszym najlepszym nauczycielem. Ale gorzkie doświadczenie przeszło obok mnie niewidzialne. Zdaje mi się, że jestem taki sam, jakim byłem dziesięć lat temu. Nie zmienił się ani jeden rys mojej wewnętrznej istoty. Czy to dobrze? Dobrze. W każdym razie — tak mi się zdaje. I z głębi duszy dziękuję mojemu wszechmogącemu stwórcy, że nie pozwolił, by straszne doświadczenie dotknęło swoimi żelaznymi pazurami moich przekonań, mojej młodzieńczej, świetlanej wiary. Niektóre rzeczy stały się jaśniejsze, zaokrągliły się, przyjęły bardziej naturalny rozmiar i obraz. Ale to już wpływ biegnącego niewzruszenie starca Saturna, a nie skutek gorzkiego doświadczenia.

Otrzymałem od Kucharenki² list z załącznikiem 25 rubli, a więc z załącznikiem bardzo rzeczowym i podziękowałem mu listem, do którego włożyłem własną podobiznę i drugim listem z załącznikiem jeszcze mniej materialnym: z załączeniem niezwykłego opowiadania rzekomego katorżnika pod tytułem «Studnia Moskala»³. Napisałem to w niedługim czasie po otrzymaniu listu od ojczulka-koszowego. Wiersze okazały się prawie tej samej wartości co poprzednie. Trochę elastyczniejsze i bardziej urywane. Ale to nic, da bóg wyrwę się na wolność, to popłyną znowu harmonijniej, swobodniej, prościej i weselej. Czy doczekam się tej kulawej czarodziejki — wolności?!

25 (czerwca). Zaledwie zdążyłem napisać «A więc także ptak niemałego lotu», gdy ze wszystkich stron miasta rozległo się słowo «statek». Oczywiście rzuciłem swoją pisaninę i po-

² Jakub Kucharenko, beletrysta i dramaturg ukraiński, przyjaciel Szewczenki.

³ «Studnia Moskala», poemat Szewczenki napisany w maju 1857 roku.

biegłem do twierdzy. Spodziewałem się, że ten statek wiezie orenburską pocztę, a z nią wolność. Stało się jednak coś wręcz przeciwnego, niż to, czego oczekiwałem. Statek nie przyniósł poczty, a więc i magicznego, czarodziejskiego słowa. Ale zamiast tego słowa przywiózł co innego, rudą, zupełnie niepociągającą osobistość, przywiózł komendanta batalionu, który przede wszystkim obleciał koszary i dał po zębach feldfeblom i innym niższym rangom, a nawet profosowi⁴. A komendantom kompanii i innej oficerskiej braci, zależnie od osoby i sposobu życia — przyzwoite, ojcowskie napomnienie. Po tym delikatnym i pełnym gracji wystąpieniu zarządzo formalny przegląd tej właśnie nieszczęsnej kompanii, do której mam niezgłębienie należeć. Biedna kompania przygotowywała się przez całą noc do tego zaiste ostatecznego sądu i o piątej godzinie z rana 23 czerwca, umyta, uczesana, z podczernionymi wąsami, wyciągnęła się na polance niby wycięta z kartonu zabawka. Od godziny piątej do godziny siódmej kompania w oczekiwaniu sprawiedliwego sędziego wyrównywała się. O siódmej godzinie zjawił się w całym swoim groźnym majestacie sam sędzia i egzaminował ją, a raczej torturował nieszczęsną równo do godziny dziesiątej. Na zakończenie widowiska zapytał, kto ma jakieś pretensje, zwymyślał ogólnie znanymi wyrażeniami, obiecał sąd i różgi, a nawet zieloną aleję, to jest szpicruty⁵. Dla wszystkich burza przeszła, ale nade mną zbierała się dopiero. Wraz z innymi konfirmowanymi miałem i ja stawić się po obiedzie o piątej godzinie na powtórny i jeszcze gorszy egzamin. Do tego drugiego egzaminu przygotowywałem się dość obojętnie, jako człowiek już na wpół wolny. Ale gdzie podziała się ta obojętność, gdy stanąłem przed nieubłaganym egzaminatorem! Byłem niższy niż najmniejszy cień, nie pozostało we mnie nic przypominającego na pół wolnego człowieka... To samo męczące, chłodne drżenie przebiegało całą moją istotę, to samo co dawnymi laty uczucie — nie, nie uczucie, ale martwe otępienie — owładnęło mną, gdy spojrzałem na tę drewnianą, wymalowaną figurę. Słowem, zmieniłem się w nic. Nie wiem czy na wszystkich tak silnie działa antypatia jak na mnie? Egzamin powtórzył się słowo w słowo, jak dziesięć lat temu, nie przybyło ani nie ubyło ani ćwierć literki. Ale ja ani na jotę nie posunąłem się w dziedzinie wiedzy wojskowej: upór obustronny i niewzruszony. Za przykładem dawnych lat egzaminator i nadzorca moralności zapytał nas po kolei, kto i za co zasłużył na zaszczyt pełnienia miłych sercu obowiązków żołnierza.

⁴ Profos — prachwost, stare przezwisko żołnierza, którego obowiązkiem było czyszczenie wychodków.

⁵ Karę tę wprowadzono za przykładem pruskim. Pędzenie szpicrutami przed szeregami z wyroku sądu wojennego było równie wyrafinowaną karą śmierci, jak ćwiartowanie czy łamanie kołem.

— Ty za co? — zapytał pierwszego.

— Za sprzeniewierzenie państwowych pieniędzy, wasza wielmożność.

— Tak, wiem: nieostrożnie znaczyłeś kartę. Mam nadzieję, że na przyszłość nie będziesz grał w karty — powiedział kpiąco i zwrócił się do następnego:

— A ty za co?

— Z woli matki, wasza wielmożność.

— Dobrze. Mam nadzieję, że na przyszłość nie będziesz i... — i zwrócił się do następnego.

— Ty za co?

— Za awantury, wasza wielmożność.

— Dobrze, mam nadzieję, że na przyszłość nie... i...

— Ty za co? — spytał następnego.

— Z woli ojca, wasza wielmożność.

— Mam nadzieję... A ty za co? — spytał zwracając się do mnie.

— Za pisanie podburzających wierszy, wasza wielmożność.

— Mam nadzieję, że na przyszłość nie będziesz...

— A ty za co? Za co? — zapytał ostatniego.

Ostatni odpowiedział, że także z woli rodzicielki. Nie wysłuchawszy go, zwrócił się do nas z mocną i pouczającą mową, której konkluzją była zupełnie nowa prawda, że u boga modlitwa, a u cesarza służba nie przepadają nadaremnie...

26 (czerwca). Dwa dni już minęło od czasu, gdy wyjechał nasz ojczulek-komendant, a ja wciąż nie mogę się uwolnić od przygnębiającego wpływu, który wywarła na mnie jego krótka obecność. Ten ohydny przegląd tak mocno przygniótł moje pełne blasku różowe nadzieje, tak zdusił we mnie otuchę, że gdybym nie miał w ręku listu Łazarewskiego,⁶ zupełnie bym osłabł pod brzemieniem tego ciężkiego wrażenia. Ale dzięki bogu, że mam ten nieoceniony dokument, mam więc kanwę, na której mogę haftować najbardziej wymyślne i kapryśne arabeski.

... Moje materialne bytowanie zamierzam urządzić tak, rozumie się przy pomocy moich przyjaciół: o malarstwie nie mam teraz co myśleć. Przypomniałoby to wiarę, że na wierzbie wyrosną gruszki. I przedtem nie byłem nawet średnim malarzem. A teraz tym bardziej. Dziesięć lat niećwiczenia mogą z wielkiego nawet wirtuoza zrobić zwykłego, karczemnego grajka. A więc o malarstwie nie ma co myśleć. Chcę poświęcić się niepodzielnie gawiurze akwatyntą. W tym celu mam zamiar ograniczyć swoje potrzeby materialne do minimum i wytrwale uczyć się tej sztuki. A w międzyczasie robić rysunki sepia ze sławnych arcydzieł, rysunki do przyszłych szychów. Myślę, że w tym celu wystarczy dwa lata pilnej pracy. Potem pojadę

⁶ Michał Łazarewski, przyjaciel Szewczenki.

na tani chleb do mojej miłej Ukrainy i zabiorę się do wykonywania sztychów, a pierwszym moim sztychem będą «Koszary» z obrazu Teniersa. Z obrazu, o którym mówił mój niezapomniany nauczyciel, wielki Karol Briułłow, że warto przyjechać z Ameryki, żeby spojrzeć na to zadziwiające dzieło. A słowem wielkiego Briułłowa można wierzyć.

Z wszystkich sztuk pięknych podoba mi się najbardziej rytownictwo. I nie bez powodu. Być dobrym rytownikiem, to znaczy rozpowszechniać piękno wśród społeczeństwa i uczyć je, to znaczy być krzewicielem światła prawdy. To znaczy być pożytecznym dla ludzi i miłym bogu. Najpiękniejsze, najszlachetniejsze jest powołanie rytownika. Ileż najpiękniejszych dzieł, dostępnych tylko dla bogaczy, pokrywałoby się kurzem w mrocznych galeriach, gdyby nie twój cudowny rylec? Boskie powołanie rytownika.

Oprócz kopii z dzieł mistrzów myślę z czasem wypuścić akwatynty i własny twór «Przypowieść o marnotrawnym synu» przystosowaną do współczesnych obyczajów kupieckiego stanu. Podzieliłem tę pouczającą opowieść na dwanaście rysunków, są już prawie wszystkie gotowe na papierze, ale trzeba jeszcze nad nimi długo i pilnie popracować, żeby je doprowadzić do stanu, w którym można by oddać je miedzi. Ogólna myśl jest dość udatnie przystosowana do naszego nieokrzesanego kupiectwa. Ale okazało się, że wykonanie jej jest ponad moje siły. Potrzebny jest zręczny, celny, trafny, a co najważniejsze nie karykaturalny, ale raczej dramatyczny sarkazm, a nie szyderstwo. Ale nad tym trzeba pilnie popracować. I poradzić się z ludźmi, znajdującymi się na rzeczy. Szkoda, że ta cenna myśl nie przyszła do głowy nieboszczykowi Fiedotowowi,⁷ wypracowałby z niej piękną satyrę dla naszego ciemnego półtatarskiego kupiectwa. Zdaje mi się, że dla naszej epoki, i dla naszego średniego stanu, składającego się z półanalfabetów, konieczna jest satyra, ale satyra rozumna, szlachetna. Taka na przykład, jak «Narzezony» Fiedotowa, albo «Swoi ludzie — pogodzimy się» Ostrowskiego i «Rewizor» Gogola. Nasz młody stan średni, jak leniwy uczeń, zatrzymał się na sylabizowaniu i bez przynaglania nauczyciela nie chce i nie może przekroczyć przez to bezsensowne «tmu-mnu». Na wady i braki naszego wyższego społeczeństwa nie warto zwracać uwagi. Po pierwsze z powodu małej liczebności tej warstwy, a po drugie z powodu zastarzałości moralnych niedomagań, bo zastarzałe choroby jeśli dają się uleczyć, to tylko przy pomocy środków heroicznych. Tak łagodny środek jak satyra nie może pomóc. A przy tym czyż ma jakiegokolwiek znaczenie nasza nieliczna górna warstwa społeczeństwa, gdy idzie o naród? Zdaje się, że żadnego. A klasa średnia — to

⁷ Paweł Fiedotow, twórca rosyjskiego malarstwa rodzajowego.

ogromna i na nieszczęście składająca się z półanalphabetów masa, to połowa narodu, to serce naszej narodowości. Dla niej potrzebna jest nie suzdalska jarmarczna przypowieść o marnotrawnym synu, ale szlachetna, wykwintna i trafna satyra. Gdyby mi się udało tak szczerze i prosto pomyślany mój nieświadomy łajdak, mój marnotrawny syn, uważałbym siebie za najszcześniejszego na świecie człowieka.

Podanie z niedalekiej przeszłości, a uwierzyć trudno. Mówił mi tutaj dwa lata temu N. Danilewski,⁸ człowiek zasługujący na zaufanie, że na prośbę moskiewskiego kupiectwa zabroniono wystawiania komedii Ostrowskiego «Swoi ludzie — pogodźmy się». Jeśli to prawda, to satyra osiągnęła w zupełności swój cel. Ale nie mogę pojąć, jaki ma cel rząd, protegując ciemnotę i łotrostwo. Dziwne zarządzenie!

27 (czerwca). Od kupiectwa przechodzę do oficerów. Przejście niezbyt ostre, raczej harmonijne. Ta uprzywilejowana kasta także należy do stanu średniego. Z tą tylko różnicą, że kupiec jest uprzejmiejszy od oficera. Kupiec mówi do oficera — pan, wasza wielmożność, a oficer do niego — ej ty, brodo! Ale ta zewnętrzna różnica nie dzieli ich ani trochę, gdyż z wychowania są to rodzeni bracia. Różnica jest tylko ta, że oficer jest wolterianinem, a kupiec — starowierem. Ale w istocie rzeczy są tacy sami.

Dziś wieczorem zjawiły się w ogrodzie komary i żeby ratować się przed tymi nieznośnymi owadami, uciekłem na noc do twierdzy. Ale niestety! Nieubłagana Nemezys prześladowuje mnie na każdym kroku. Chcąc umknąć przed komarami, natknąłem się na trzmielę. Przechodząc z należnym szacunkiem obok oficerskiej oficyny, usłyszałem nieznaną mi dotąd piosenkę zaczynającą się tak:

Коврики на коврики
И шатрики на шатрики..

dalej nie mogłem niczego rozróżnić, gdyż śpiewak wziął zbyt niski bas, a także dlatego, że pijany Kampinioni, oficer inżynierii i straszny pijanica, wybiegł nie wiem w jakim celu na plac, a zobaczywszy mnie, postanowił wyświadczyć mi małą usługę i zaprotegować mnie, zaznajamiając mnie z dwoma świeżo przybyłymi oficerami, według jego określenia, chwackimi chłopcami. W tym celu chwycił mnie za rękaw i wciągnął do korytarza. Przybyli chwaccy chłopcy siedzieli i leżeli tylko w czerwonych koszulach na rozesłanym wołoku, a przed nimi wdzięczyła się półwiadrowa butla siwuchy. Żywa scena z «Żony dwóch mężów» księcia Szachowskiego⁹. Aby nie dopełnić swoją osobą grupy nadwołżańskich rżbójników, wy-

⁸ N. Danilewski, publicysta-filozof i przyrodnik. Podczas wycieczki do Nowopietrowska zainteresował się Szewczenką.

⁹ Płodny dramaturg pierwszej połowy XIX wieku.

rwalem się z objęć protektora i wybiegłem na plac. Protektor wybiegł za mną, krzyknął na dyżurnego podoficera kompanii i kazał mnie wziąć na hauptwachtę za obrazę oficera. Rozkaz oficera został dokładnie wykonany, po pobudce dyżurny wachty zameldował komendantowi o świeżo przybyłym aresztancie i komendant powiedział: «Niech się prześpi». Tak więc uciekając od krwiożerczych komarów wydany zostałem na pastwę pluskwom i pchłom. I jakże potem nie wierzyć w przeznaczenie?

Dzisiaj nowy dyżurny warty wyjaśnił ciemną sprawę komendantowi i zostałem łaskawie uwolniony od niemiłosiernych inkwizytorów. Zapisując w pamiętniku tę zwykłą w moim położeniu tragifarsę, przebaczam w głębi duszy przesładowcom i modłę się tylko do wszechmogącego boga, by uwolnił mnie jak najprędzej od tych półludzi.

Dzisiaj oczekiwany jest statek z pocztą z Guriewa. I nikt nie czeka go z takim drżeniem serca, z taką niecierpliwością, jak ja. Co będzie, jeśli nie przywiezie mi tak długo oczekiwanej wolności? Co będę wtedy robił? Trzeba będzie, by uniknąć hauptwachty z pluskwami i pchłami, zaznajomić się z nowoprzybyłymi oficerami i w oczekiwaniu przyszłych łask pić z nimi. Ponura, ohydna perspektywa! A jeżeli nieoczekiwanie przywiozą tę leniwą czarodziejkę — wolność? O, jakaż radosna, jakaż świetlana perspektywa! Idę do twierdzy i na wszelki wypadek zapakuję w czuwał (torbę) swoją mizериę, a może się spełni.

28 (czerwca). Spełniło się, ale coś zupełnie odmiennego od tego, czegom oczekiwałem. Stała się ohyda, o którą nie można było podejrzewać nawet jej sprawcy, łajdaka Kampinioni. Poszedłem wczoraj wieczorem do twierdzy, by w oczekiwaniu na



Chata Tarasa Szewczenki w Kyrilówce, 1814 r. (szkic ołówkiem)

statek zapakować swoje łachy, a gdy człowiek oczekuje czegoś radosnego, to zwykle buduje radosne plany. Tak więc i ja, w oczekiwaniu błogiej wolności, rozwinąłem dywan latający i jeszcze jedna, jedna tylko chwila, a znalazłbym się w siódmym raj Mahometa. Ale nie doszedłem jeszcze do twierdzy, gdy spotkałem posłanego po mnie gońca od komendanta Uskowa. «Czy nie przyszedł statek?» — pytam. — «Nie» — odpowiada. Na cóż więc jestem potrzebny komendantowi? — pytam sam siebie i przyspieszam kroku. Przychodzę. A komendant zamiast powitania podaje mi w milczeniu jakiś papier. Drgnąłem, biorąc ten tajemniczy papier za niewątpliwego zwiastuna wolności. Czytam i oczom nie wierzę. To raport do komendanta od porucznika Kampinioni o tym, jak w nietrzeźwym stanie znieważylem go, wymyślając mu najordynarniejszymi słowami, co zaświadczają nowoprzybyli oficerowie. W zakończeniu raportu prosi i wymaga, by postąpić ze mną z całą surowością jakiej żąda prawo, to jest natychmiast przeprowadzić śledztwo. Ostupiałem, przeczytawszy tę nieoczekiwaną obrzydliwość. «Niech mi pan poradzi, co mam robić z tą gadziną?» — spytałem komendanta, przyszedłszy do siebie. — «Jest tylko jeden sposób» — powiedział. — «Poproście go o przebaczenie, lub w myśl dyscypliny jesteście aresztowani. Macie świadków, że byliście trzeźwi, a on ma świadków, żeście mu wymyślali». «Przysięgnę, że to nieprawda» — powiedziałem.

— A on przysięgnie, że prawda. On jest oficerem, a wy wciąż jeszcze żołnierzem.

Och, jakim strasznym echem odezwało się we mnie to prawie zapomniane słowo.

Przełożyła Halina Górską

MARIETTA SZAGINIAN

POETYKA „KOBZIARZA“

«Ну, що б, здавалося, слова?
Слова та голос — більш нічого!
А серце б'ється, ожива,
Як їх почує !...»

Шевченко
Кос-Арал. 1848

I

Ilekróć poeci sami chcą dać określenie poezji, używają oni czasowników «palić», «uderzać», «przenikać», «wydzierać»; epitetów «nieznana», «tajemnicza», «życiodajna», «cudowna»; rzeczowników «moc», «władza», «potęga», «wzruszenie».

I to jest prawda. Oddziaływanie poezji na duszę ludzką jest wstrząsające. Arsenał słów, dotyczących wojny, walki, podboju czy kłeski żywiołowej jest nie wystarczający dla określenia tego oddziaływania; wzięte na pomoc słowa z dziedziny strachu, tajemnicy, zagadki również nie wystarczają. Ażeby odzwierciedlić moc poezji, słowo zostaje przemianowane na jego najdawniejszą postać «Słowa» («Глагол»), które staje się określeniem samego działania. Poeta «pali Słowem» serca ludzi; wiersz «uderza» w serce z «nieznaną mocą»; «tajemnicza władza» poezji wyciska łzy, do gruntu zmienia duszę. O czym to, o jakich niezwykłych rzeczach mówi ludziom taka poezja? Jakimi słowami i sposobami, skoro dla samego ich określenia brak dostatecznie silnych słów i sposobów.

Jest jeden wiersz Szewczenki, napisany w lochu więziennym, całkiem maleńki, piętnaście wierszy. Sam poeta nigdy nie mógł go czytać bez łez. Słuchacze i po raz drugi, i po raz trzeci nie mogli go słuchać bez łez. W tym wierszu mowa o najprostszej prawdzie życia — o chłopskiej kolacji po pracy polnej — napisany jest najprostszymi słowami, nawet z powtórzeniem tego samego rdzenia «wieczór» cztery razy z rzędu w czterech wierszach:

Садок вишневий коло хати,
Хрущі над вишнями гудуть,
Плугатарі з плугами йдуть,

Співають ідучи дівчата,
А матері вечерять ждуть.

Сім'я вечеря коло хати,
Вечірня зіронька встас.
Дочка вечерять подає,
А мати хоче научати,
Так соловейко не дас.

Поклала мати коло хати
Маленьких діточок своїх,
Сама заснула коло їх.
Затихло все... Тільки дівчата
Та соловейко не затих.

Zwykle opowiadanie — nawet nie pieśń — mówi o rzeczach wszystkim znanych; nic od siebie nie dodał poeta do brzęczących nad wiśniami chrabąszczy, idących za pługiem oraczy, śpiewających dziewcząt, matki, czekającej z kolacją na rodzinę, do gwiazdy wieczornej, wschodzącej na niebie, i słowika, który przeskadza matce powiedzieć słówko swej córce. Cóż więc tak strasznie działa, «chwytą za serce» w tym wierszu?

Mury lochu więziennego, gdzie pisał Szewczenko, rozstąpiły się, aby wpuścić kącik utraconego przezeń świata. Być może, poeta już go nigdy więcej nie zobaczy. Może wcale taki nie był. Ale teraz widzi go w całej radości i krasie, jak nigdy przedtem nie widział. Ostrość odczucia, ból z powodu utraty, zrozumienie — jakby go jednak odtworzyć — piękno samo bierze na siebie tę funkcję, «мати хоче научати, так соловейко не дає»; i słowik — uroczysty jego śpiew w ciemnych gałęziach — staje się panem sytuacji, sztuka wygłasza swe pełne słowo w ciszy — oto, co wraz z ogromnym przeżytym szczęściem tworzenia powiedział w swym wierszu Szewczenko, co włożył w niego, a czytelnik zawsze otrzymuje ten wkład, przyjmuje fałę.

Ale jeżeli określić oddziaływanie wierszy Szewczenki jest łatwo, to zbadać, jakimi środkami zostaje ono osiągnięte, bardzo trudno. Widzimy, jak w przeciągu stu lat od dnia wyjścia «Kobziarza» poetyka Szewczenki zajmuje nie tylko krytyków, lecz także tłumaczy, biografów i komentatorów poety. Wszyscy oni świadomie czy nieświadomie biorą udział w poszukiwaniach tajemnicy jego wielkiego emocjonalnego oddziaływania na słuchacza i w utrwaleniu tego pierwszego słowa, które niejako daje rozwiązanie tej zagadki. Tym słowem jest «ludowość».

O ludowości Szewczenki zaczynają mówić wszyscy, i najrozmaitsi ludzie w tym się niejako zgadzają: tłumacze, począwszy od Iwana Biełousowa; pamiętnikarze i przyjaciele, z Kostomarowem i Kuliszem na czele, biografowie, których zapoczątkowali M. Czajły i Koniski; krytycy od czasów Dobro-

lubowa i Czernyszewskiego. I aż do pierwszych dwóch dziesięcioleci dwudziestego stulecia określenie to nie tylko jest powtarzane przez wszystkich, ale coraz bardziej przybiera postać prostego równania: Szewczenko równa się poezji ludowej, Szewczenko jest absolutnie ludowy i wreszcie, nie ma w poezji Szewczenki wiersza, do którego nie można by znaleźć podobnego w zbiorach zapisanych ukraińskich pieśni ludowych. Ostatnie twierdzenie kategoryczne jest własnością K. Czukowskiego (w jednym z jego przedrewolucyjnych artykułów) i opiera się na zestawieniu tekstu pieśni ukraińskich (zebranych i wydanych za życia Szewczenki przez profesora Maksimowicza) z podobnymi miejscami w «Kobziarzu». Inaczej mówiąc, pojęcie «ludowości» z biegiem lat coraz bardziej i bardziej się zwężało, aż zamieniło się — przed samą rewolucją — w zagadnienie abstrakcyjnej «formy» i «tematu».

Jest teraz dla nas jasne, że zgodność najrozmaitszych ludzi co do takiego samego określenia poezji Szewczenki była tylko pozorna, ponieważ ci różni ludzie wkładali w wyraz «ludowość» zupełnie odmienną treść. Współczesny badacz powinien przede wszystkim ściśle rozgraniczyć te różnice znaczeniowe i wprowadzić do tego słowa jasność, bez której dalej posunąć się nie podobna.

Rozpocniemy od tego, że jeszcze długo przed ukazaniem się «Kobziarza» w rosyjskich kołach literackich bardzo wiele mówiono o ludowości, a Puszkina w 1825 roku postanowił nawet poświęcić tej kwestii cały artykuł, w którym zapoczątkował pierwsze, prawidłowe określenie ludowości. Artykuł nie został ukończony, ale pozostały urywek «O ludowości w literaturze» ma dla nas ogromne znaczenie metodologiczne. Puszkina pisze w nim:

«Od pewnego czasu stało się u nas zwyczajem mówić o ludowości, skarżyć się na brak ludowości; ale nikt nie pomyślał o określeniu, co rozumie przez wyraz «ludowość». Jeden z naszych krytyków, zdaje się, sądzi, że ludowość polega na wyborze tematów z dziejów ojczystych. Inni upatrują ludowość w słowach, zwrotach, wyrażeniach, to znaczy cieszą się, że mówiąc po rosyjsku, używają rosyjskich wyrażeń»...¹

To znaczy, że nie temat wybrany («z dziejów ojczystych»), nie zwroty i formy językowe decydują o kwestii ludowości. Cóż więc w takim razie? W swoim urywku Puszkina nie rozwinął odpowiedzi całkowicie, ale pozostawił kilka napomknień, według których myśl jego staje się jasna. Lud «ma obraz myśli i odczuć», «mnóstwo obyczajów, wierzeń i zwyczajów»,

¹ Dzieła A. S. Puszkina, pod redakcją P. A. Jefremowa. Wydanie A. S. Suworina, 1903, t. V, str. 380.

«klimat, sposób życia, wiarę»... W poszukiwaniach ścisłego określenia Puszkina usiłuje rozszerzyć pojęcie «ludowości», dodaje do «języka i tematu» obraz myśli i odczuć, obyczaje, wierzenia itd. Te jego poszukiwania są dla nas jak najgłębiej pouczające. Przecież jest rzeczą jasną, że błędne koło, które on rozrywał — wszystko jedno, czy w jego wąskiej czy rozszerzonej postaci — to ta sama «samoistność», ten sam «rosyjski» czy inny «duch», dążność do zachowania własnej tradycji, co w sztuce doprowadzało i doprowadza do głoszenia skrajnego nacjonalizmu. Właśnie w tym błędnym kole tkwiło pojmowanie «ludowości» Szewczenki przez Kostomarowa i Kulisza. Dla nich jego poezja — to jakby bezpostaciowy wyraz tego wszystkiego, przez co naród ukraiński był «samoistny», to jakby oddech dziecięcy tej samoistności, którą oni chcieli zachować taką, jaką ona była — i na którą patrzyli z pewną troskliwością gospodarzy, jak na swoją historyczną, bierną własność.

Inaczej pojmował ludowość Szewczenki Dobrolubow, który wspaniale rozwinął tezę Puszkina. Według Dobrolubowa, bynajmniej nie doświadczenie dziejowe ludu i jego przeszłość określają stopień ludowości artysty, lecz żywy byt ludu w teraźniejszości. Jeżeli artysta *teraz* żyje z ludem i wyraża jego *współczesne* potrzeby i dążenia, przy tym wyraża od siebie, ale za cały lud, w takim razie i tylko wtedy jest on ludowym poetą.

«Szewczenko jest poetą zupełnie ludowym, takim, jakiego nie ma u nas. Nawet Kolcow nie wytrzymuje z nim porównania, bo składem swoich myśli i nawet swoimi dążeniami niekiedy oddala się od ludu. Przeciwnie, cały zakres myśli i współczuć Szewczenki znajduje się w zupełnej harmonii z sensem i układem życia ludowego. On wyszedł z ludu, żył z ludem, i nie tylko myślał, lecz i warunkami życia był z nim krwią i ciałem związany».

Czernyszewski w swym określeniu ludowości Szewczenki poszedł jeszcze dalej niż Dobrolubow. Żyć dążeniami swojego narodu i wyrażać je w sztuce — to znaczy w jakimś stopniu torować mu drogę w przyszłość, budować podstawy kultury tej przyszłości, prowadzić za sobą naród. Znać jego przeszłość, żyć z nim w teraźniejszości i posuwać go naprzód w przyszłość — oto jak gdyby trójjedyna formuła związku artysty z ludem, który go zrodził. Czernyszewski nigdzie nie mówi tego wprost, ale pozwala się tego domyślać, wskazując — z przedziwnym wyczuciem człowieka, odgadującego dzieje — na ogromne zdobycze Szewczenki w dziedzinie kultury ukraińskiej, na ten oręż dla rozwoju narodu, który on wykuł w swoich genialnych utworach.

Cóż to za oręż? Jeden z najgłówniejszych dla społeczeństwa — mowa ojczysta. Język, stworzony przez Szewczenkę,

młody, żywotny, giętki, samodzielny, stał się narzędziem kultury ukraińskiej, jej przyszłością. Ukraińcy z czasów Czernyszewskiego w tej czy innej mierze uczestniczyli w ukształtowaniu tego oręża — mowy ojczystej. Ale po pierwsze, żaden z nich nie stworzył w nim nic decydującego; po drugie, sam proces jego kształtowania odbywał się nie gładko, lecz w ostrej walce, i w tej walce Szewczenko pierwszy zajął jedynie słuszne stanowisko. Nacjonaliści ukraińscy, mimo całej ich sentymentalnej miłości do samoistności, niezbyt szanowali język chłopstwa, czystą mowę połtawską; pozwalali sobie na jej kaleczenie, uciekając się do niej jedynie dla «użytku domowego» i «kolorytu lokalnego», dopuszczali w piśmie dowolność i błędy, i dlatego nie mogli i nie chcieli krytycznie się odnieść do tego, co robiła grupa galicyjskich nacjonalistów burżuazyjnych na Zachodzie. Grupa ta miała swoje organy prasowe, wydawane w osobliwej mieszaninie miejscowego, zepsutego języka ukraińskiego z rosyjskim językiem literackim i językiem cerkiewno-słowiańskim. Podczas gdy język Szewczenki był głosem mas ludowych, głosem chłopstwa, to ta mieszanina galicyjska nie zawierała organicznych pierwiastków, wyrażała szereg przypadkowych, różnokierunkowych wpływów zewnętrznych, przeważnie stanu miejskiego, mieszczkańskiego lub uczonych. A krytyka tego języka, ostra i bezlitosna, wyszła nie z nacjonalistycznych kół ukraińskich, lecz z ust Czernyszewskiego. Właśnie on wskazał na to, że Szewczenko z zasady «nie pisałby» w «Słowie» galicyjskim; że zakordonowi nacjonaliści «zmyślają jakieś łamane narzeczce ukraińskie», «oddalają się od ogólnej literatury ukraińskiej»; że «nasi ukraińcy» (miał na myśli Szewczenkę) «już wytworzyli sobie język literacki, bez porównania lepszy».²

Teraz, kiedy jaśniej rozumiemy, co wkładały rozmaite koła społeczeństwa rosyjskiego w pojęcie «ludowości» Szewczenki, stają się dla nas zrozumialsze również drogi badania jego poetyki. Przed rewolucją prawdziwej ludowości Szewczenki w tym sensie, jak ją pojmowali Dobrolubow i Czernyszewski, nie wiązano ze specjalnymi zagadnieniami jego poetyki, co więcej, samo pojęcie ludowości, jak myśmy już to widzieli, stawało się u badaczy coraz bardziej konwencjonalnym i zamieniało się w problem formy, jako takiej. Możemy wymienić wielką liczbę dokładnych prac, poświęconych zbadaniu «pierwiastka folkloru w twórczości Szewczenki», «rozwoju wiersza kołomyjkowego», «właściwościom rytmiki piosenkowej» itd.³

Jednakże oderwanie pojęcia ludowości od tego historycznego

² Artykuł «Nietakt narodowy».

³ Por. pr. A. Шамрай: До еволюції коломийкового віршу в творчості Т. Шевченка 1930; Філарет Колесса. Студії над поетичною творчістю Т. Шевченка. Львів—Київ, 1939. «Фолкльорний елемент в поезії Т. Шевченка» и др.

zadania stworzenia języka literackiego, które spełnił Szewczenko, doprowadza autorów tych prac do czysto mechanicznej analizy, według której wypada tak, jak gdyby Szewczenko brał i prznosił elementy folkloru z zupełnie gotowego, ustalonego bogactwa językowego ludu — do swego, również ukształtowanego i gotowego środowiska językowego; ale jakiego? Miejskiego? Mieszczańskiego? Inteligenckiego? Zapomniano, że język Szewczenki z ludem jest *wspólny*, że poeta nie «zapożyczał od ludu» i nie prznosił do siebie, lecz śpiewał w tym samym języku, w którym lud jego śpiewał, a on sam mówił i myślał od dziecka. Jest zupełnie naturalne, że «folklorysty» znaleźli się w końcu w ślepych zaułku takiego «nadzwyczajnego podobieństwa i zbieżności» przy wertowaniu dwóch tomów prof. Maksimowicza, że niektórzy z nich ledwie nie ogłosili sztucznego tworzenia «Kobziarza» według motywów i typu tych zapisanych pieśni ludowych, które wydał Maksimowicz w 1834 roku, tj. znacznie wcześniej od samego «Kobziarza».

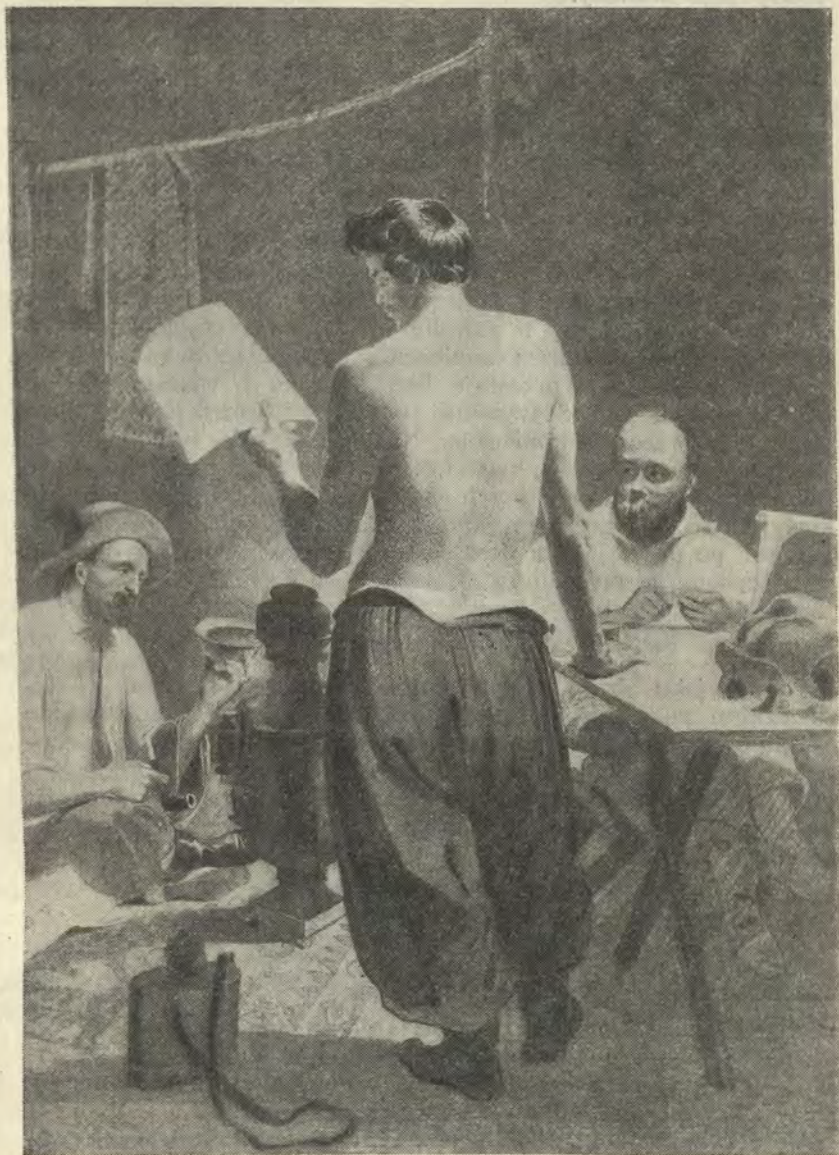
Jako przeciwwaga do tej tendencji — sprowadzania całej poezji Szewczenki do czysto ludowego charakteru i stawiania między nią i ustną pieśnią ludową znaku równości — wyrosła inna tendencja, głosząca odwrotną zasadę. Wedle opinii tej szkoły, Szewczenko jest wielkim poetą właśnie przez to, że przewyciężył folklor i że w ogóle u niego nie ma tak wiele tego folkloru. Podobnie jak przedtem K. J. Czukowski obliczał zwroty ludowe, obrazy i tematy, zbieżne u poety z ustnymi pieśniami, B. Jakubowski z ołówkiem w rękę obliczał liczbę wierszy cztermiarowego jambu u Szewczenki, i okazuje się, że jest ich 6381, a w wyliczeniu procentowym (i to zostało zrobione) — 31% całej twórczości. Według metrycznego schematu rachunkowego Andrzeja Biełego, który mierzył dowolne wahaniu rytmu w granicach stopy jambicznej, przeprowadzono wszelkie analizy jambu szewczenkowskiego; według tego schematu jamb okazał się pierwszorzędnym: «Żaden z naszych poetów nie ma tak wzniosłego, pięknego jambu, nikt nie opowiadał tak po mistrzowsku całego bogactwa rytmicznego jambicznej stopy dwumiarowej, jak autor «Kobziarza»». A w wyniku tych wszystkich badań w bardzo rzeczowej uogólniającej, pełnej cytat i doskonałej pod względem analizy pracy akademika Filareta Kolessy «Студії над поетичною творчістю Т. Шевченка» (Studia nad twórczością poetycką T. Szewczenki), wydanej całkiem niedawno we Lwowie (z okazji jubileuszu), stwierdza się, że w ogóle «przeważna część utworów poetyckich Szewczenki nie ujawnia bodaj żadnych związków z pieśniami i dumami ludowymi, bo obraca się w sferze niedostępnej dla poezji ludowej i wznosi się ponad jej poziom całą swoją treścią, podkładem ideowym i przystosowanym do tego słownictwem», to znaczy, że większa część utworów Szewczenki w ogóle żadnego związku z poezją ludową

nie posiada, przewyższa ją, jest niedostępna dla tej poezji swoją treścią ideową i mową! Bądź to forma ludowa okazuje się ideałem, bądź wiersze Szewczenki są nieosiągalnie wysokie swoim poziomem dla tej formy ludowej! Dwie jednostronne teorie — folklorowa i «indywidualnego mistrzostwa» — spotykały się ze sobą przez wzajemne zaprzeczenie, a zatem i przez przeczenie sobie samym.

Tymczasem, gdyby kamień węgielny poetyki Szewczenki, położony przez Dobrolubowa i Czernyszewskiego, posłużył jako podstawa dla wszystkich późniejszych konstrukcji, uczyniłby on drobiazgowo prace badaczy nieskończenie bardziej płodnymi. Dla wszystkich stałaby się jasna najprostsza prawda, że poetyka Szewczenki nie da się wyprowadzić ani z ludowości, jako takiej, ani z samego mistrzostwa, jako takiego, lecz stanowi wytwór nieustannego, twórczego rozszerzania mowy ludowej, otrzymanej z mlekiem matki, jako pierwotny «dar słowa» — rozszerzenia jej drogą treści, drogą oddania w niej najsubtelniejszych odcieni myśli i nastroju, namiętnych uogólnień politycznych i filozoficznych. Każdym wierszem Szewczenko pielęgnuje dla ludu jego oręż kultury, jego język, a «rodziną» mowę wieśniaka, delikatną i miękką, przystosowaną do niewymyślnego, sielskiego życia potocznego, czyni mową odpolerowaną i ostrą, rozwiązuje w granicach tej mowy kolizje dramatyczne i socjalne, maluje wielkie obrazy historyczne, filozofuje, szydzi, marzy, płacze, gniecie ją jak glinę rękoma, wykazuje jej subtelność, żywotność, zdolność do walki, do wszelkiej transmisji na wszelkiej «fali». Nawet w pierwszych swoich niby tylko «folklorowych» pieśniach prowadzi on tę walkę, choćby przez to, że wykorzystuje twardy rytmiczny schemat (wiersz kołomyjkowy, kołędowy) dla całkiem niepospolitych, temu wierszowi niewłaściwych nastrojów (pod tym względem nadzwyczajny jest wiersz «Perebendia», wzór głęboko indywidualnego rozwiązania czysto ludowej rytmiki). Ale jednocześnie nawet w swoich ostatnich, niby wyłącznie indywidualnych jambach ani na krok nie odstępuje od folkloru, od chłopskiego żywiołu mowy, od codziennych słów ludowych (co czyni np. mistrzostwo «Marii» zupełnie szczególnym i wstrząsającym). W żaden sposób nie wolno zapominać o twórczości językowej, kiedy omawiamy «formę» Szewczenki, forma wyrasta u niego z walki o ekspresję, z walki o rozszerzenie języka, z potrzeby powiedzenia tego, co trzeba powiedzieć, co można i powinno się powiedzieć w mowie ojczystej, chociażby jej materiał nawet sprzeciwiał się temu z początku.

II

Twórczość językowa, fundament mowy ludowej, jako mowy kulturalnej, czyni zrozumiałymi wiele skomplikowanych proble-



Taras Szewczenko rysuje z natury, 1848 r. (akwarela)

mów poetyki Szewczenki; np. oświeśla po nowemu kwestię miary jego wierszy.

Kiedy sowieckim tłumaczom wypadło zetknąć się z wierszami Szewczenki, dla wielu powstała wątpliwość: czy pisał on właściwą wierszowi rosyjskiemu (od czasów Łomonosowa) miarą toniczną, czy też była mu bliższa miara sylabiczna. Dla miary toniczej (akcentowanej) za dużo u niego odchyłeń. Zwykle rytm (naturalny tok mowy) posuwa się bardzo swobodnie w granicach stosowanej przez poetę miary (ściśle określonego zmieniania się zgłosek akcentowanych i nieakcentowanych), i nawet tym swobodniej, im większy i bardziej utalentowany jest poeta. Ale — tylko do określonej granicy, poza którą swobodny rytm z natury rzeczy musi się podporządkować metryce wiersza; w jambie np. określone zgłoski w stopach wierszowych muszą koniecznie być akcentowane, w przeciwnym razie jamb przestaje być jambem i wiersz przestaje być wierszem. Dla Szewczenki nawet te obowiązkowe postulaty nie zawsze są konieczne. Narusza je nie tylko w wierszach ukraińskich, lecz nawet w pisanych po rosyjsku, i nie tylko we wszystkich innych miarach wierszowych, lecz niekiedy nawet w surowym jambie. Zupełnym niepodobieństwem jest, np. po przeczytaniu dwu jego następnych wierszy, określić, jaką są one pisane miarą wiersza:

Блажен тот на свете, кто малую долю,
Кроху от трапезы волен уделить

Po rosyjsku drugi wiersz koniecznie trzeba czytać z trocheicznym początkiem i środkiem: «крóху», «от трапéзы»; a ostatnie słowa «волен уделить» nie wiążą się z trzema pierwszymi. I tylko dodając ostatnie dwa wiersze, ze zdumieniem zauważymy, że wbrew wszelkim prawidłom, jawnie i niemożliwie je naruszając, całą tę strofę napisał Szewczenko amfibrachem:

Блажен тот на свете, кто малую долю,
Кроху от трапéзы волен уделить
Голодному брату и злобного волю
Хоть властью суровой возмог укротить!

Sama strofa jest jedną z najsłabszych w całej spuściźnie poetyckiej Szewczenki, i w tym samym poemacie rosyjskim «Тризна», skąd ta strofa pochodzi, są niewspółmiernie lepsze. Ale strofa ta jaskrawo pokazuje czytelnikowi, jak postępuje poeta z ogólnie przyjętymi akcentami lub miarami.

Ale czy można opierając się na tym zaliczyć Szewczenkę do sylabistów? W żaden sposób nie można i to nie tylko dlatego, że stopa metryczna wymaga ścisłego przestrzegania równej liczby zgłosek w wierszu, a przecież Szewczenko prawie nigdzie i nigdy ich nie przestrzega; ale i dlatego, że wiersz metryczny, jak to wykazał jeszcze Łomonosow, nie jest właściwy, ani ro-

syjskiej, ani ukraińskiej mowie, mimo całej różnorodności przyjętych w niej akcentów oraz niezwykłej ich giętkości; taki wiersz czyni naszą poezję nieokrzesaną, sztywną, drewnianą, podczas gdy trudno sobie wyobrazić wiersz miększy, delikatniejszy i bardziej giętki od wiersza Szewczenki.

Cóż to więc oznacza i jaką miarą pisał Szewczenko?

Maksym Rylski w swojej przepięknej mowie na jubileuszu Szewczenki powiedział, że «spuścizna poetycka Szewczenki dzieli się na dwie podstawowe grupy. Pierwsza grupa — to tak zwane wiersze «kołomyjkowe» według schematu 8 zgłosek, 6 zgłosek, z ogólną tendencją trocheiczną, lecz z bardzo swobodnym rozmieszczeniem akcentów; i druga grupa — to 11—12 zgłoskowy wiersz (kołedowy. — M. Sz.) z ogólną tendencją amfibrachiczną po obu stronach obowiązkowej średniówki».

Jako przykład pierwszej grupy przytacza on wiersze:

В таку добу під горою
Біля того гаю...

Jako przykład drugiej:

Все йде, все минає — і краю немає...
Куди ж воно ділось? Відкіля взялось?

Ale oprócz tych dwu grup spotykamy u Szewczenki nieskończoną różnorodność, jeśli wziąć choćby cykl wierszy, napisanych w orskiej twierdzy, z «tendencją» daktyliczną, anapestową i amfibrachiczną:

Понад полем іде,
Не покоси кладе...
«Косар»
За байраком байрак,
А там степ та могила...

Вечірне сонечко гай золотило,
Дніпро і поле золотом крило...
«Сон»
Роби що хочеш з темним зо мною...
«NN»

Albo takie rytmicznie złożone wiersze, jakim mogliby pozazdrościć nawet «dekadenci» lat dziewięćdziesiątych i dziewięćsetnych, znacznie komplikujące wszystkie przyjęte miary:

Згадав та й заплакав
Багатий сивий сирота.
Мов лату на латі,
На серце печалі нашили літа.
«Сліпий»

Неначе злодій, поза валами
В неділю крадуся я в поле.
Таліми вийду понад Уралом
На степ широкий, мов на волю.
«А. О. Козачковському»

Albo późniejsze poematy, napisane pięknym klasycznym jambem. Szewczenko stosował wymienione przez tow. Rylskiego «grupy» — długą i krótką — nie w postaci oddzielnych miar w poszczególnych utworach, lecz — i to jest najszczególniejsze i najcharakterystyczniejsze w jego rytmie! — krzyżując i zmieniając jedną miarę na drugą w *tych samych* poematach i wierszach. Z bardziej rozległego i długiego rytmu przechodził on w rytm krótszy i taneczny również i w innych miarach wierszowych.

Co więcej, można z całą pewnością powiedzieć, że od klasycznej szkoły Puszkina i późniejszych poetów rosyjskich i ukraińskich różni się zasadniczo Szewczenko właśnie swoją niechęcią do jednakowej strofiki i stałym stosowaniem kolejnego zmieniania długiej i krótkiej miary w tym samym wierszu.

Skąd się bierze ten sposób i czy nie ma jakichś analogii w poezji światowej? Istnieją takie analogie, otaczają nas bodając na każdym kroku. Dialektyka pieśni ludowej — to «inwokacja» i «chór»; jeden intonuje, wszyscy podchwytną; albo jeden śpiewa smutno, a potem wraz z wszystkimi puszcza się w tan — tę dialektykę w poezji książkowej wypierał wzmagający się coraz bardziej i wymagający uwagi głos solisty, który wyodrębnia się ze zbiorowości, «solo» poety, nosiciela jednej, swojej indywidualności. Ale takie samoistne solo jest i dotychczas głęboko obce poezji ludowej. Nasi aszugowie kaukascy stale stosują żywe rozbiecie długiej i rozległej (kantylenowej) miary wierszowej przy pomocy ogniście-szybkiego, rozsypującego się po strunach, tanecznego, niemal skoczego rytmu. I nie tylko w pieśniach, taką podwójną rytmikę spotyka się również w samych tańcach. U Spendiarowa w nadzwyczajnym, zapisanym tańcu wschodnim «Enzeli» słyszymy z początku (w tańcu) niewątpliwy odgłos kantyleny, długą, śpiewną, powolną melodię, i tylko w końcu urywa ją właściwy taniec, bystry jak wichur.

Ta dialektyka rytmu ludowego, właściwa nie tylko aszugom, ale i kobziarzom, i rosyjskim pieśniarzom ludowym, pochodzi z najstarożytniejszych czasów. A Szewczenko, przekształcając w swojej poezji elementy ludowe, nie tylko odradza ten starożytny sposób w całej jego nietkniętej postaci, ale dodaje mu coraz większego znaczenia, niż to, jakie on posiada w pieśni ludowej w naszych czasach. Dlaczego? Dlatego, że sposób ten pomaga mu rozszerzyć środki ekspresji samego języka.

Prawie w każdym wierszu, z wyjątkiem bardzo nielicznych, utrzymanych w czystej strofice i jednym rytmie (zresztą, wydają się one albo odłamkami większego utworu, albo oddzielnie wyjętymi z niej «partiami lirycznymi»), spotykamy się u Szewczenki z «partią solową» i «chórami» (albo greckim

«dytyrambem» lub wschodnim «ufarem», jakakolwiekby miał nazwę w różnych czasach u poszczególnych narodów). Nawet pierwszy z zachowanych jego wierszy «trafia w serce» słuchacza swoją zmiennością rytmu:

Реве та стогне Дніпр широкий,
Сердитий вітер завива,
Додолю верби гне високі,
Горами хвилю підійма...

Може, вийшла русалонька
Матері шукати,
А може, жде козаченька,
Щоб залоскотати...

Ale Szewczenko często zmienia zwykły wzajemny stosunek rytmów, zaczyna od rytmu gwałtownego, przerywa go przy pomocy rozlewnego, to znaczy, najzupełniej narusza tradycję ludową. W młodzieńcych latach pisze on poemat «Perebendia» i daje przedziwny obraz pieśniarza ludowego. Ślepy Perebendia błąka się wszędzie i wszystkim przygrywa na kobzie, odpędzając tęsknotę ludzką, «tugę». Ciężko żyją ludzie, ciężko żyje i on sam — nie ma szczęścia, nie ma chaty, nocuje, gdzie się trafi, pod płotem, a trzeba pokrzepiać na duchu, weselić, trzeba wiedzieć, co i gdzie śpiewać, co komu śpiewać:

З дівчатами на вигоні —
Гриця та веснянку,
А у шинку з парубками —
Сербина, Шинкарку;
З жонатими на бенкеті
(Де свекруха зляя) —
Про тополию, лиху долю,
А потім — У гаю;
На базарі — про Лазаря,
Або, щоб те знали,
Тяжко, важко заспіває,
Як Січ руйнували...

Przystosowując się do wszelkiego gustu, ślepy kobziarz wesoło śpiewa wiośniankę dziewiczą, czy zuchwałą «Szynkarkę», chytrze wyszydza złą świekrę, przypomina kupcom na bazarze o biblijnym Łazarzu — i «тяжко, важко заспіває», to znaczy wolno i poważnie, ciężko i mocno śpiewa o tym, jak niszczone ojczystą Sicz. Przerywając trochej taneczny, umieszcza Szewczenko swoją inwokację nie w początku poematu, jak zwykle, ale w środku. Jego kobziarz

... Послухає моря, що воно говорить,
Спита чорну гору: — Чого ти німа? —
І знову на небо, бо на землі горе,
Бо на їй, широкий, куточка нема
Тому, хто все знає, тому, хто все чує:
Що море говорить, де сонце ночує —
Його на сім світі ніхто не прийма.

Nikt na tym świecie nie «przyjmuje» poety-wieszczka, który badał tajemnice przyrody i przeniknął duszę ludzką, nie nosi go ziemia, nie ma dlań kącika na ziemi... Tak ślepy kobziarz, który wszystkich rozwesela i wszystkim udziela pouczeń, pocieszenia, radości czy zręcznego słóweczka, jest samotny i bezdomny, skarży się na swoją bezdomność, na gorzki los, że musi «dogadzać bogatym»:

Скачи, враже, як пан каже:
На те він багатий, —

i wbrew tradycji ludowej, by rozpocząć od partii solowej i kończyć chórem, zaczyna od «журбы» (zgryzota) i kończy «na wesoło» — czyni wszystko na odwrót:

Отакий то Перебендя,
Старий та химерний:
Заспіває весільної,
А на журбу зверне.

Swoim «Perebenią» Szewczenko jakby uchyla rąbka tajemnicy własnego mistrzostwa rytmicznego, pokazuje, o ile świadomie i bynajmniej nie podług szablonu ludowego posługuje się ludową zmiennością rytmów. Jeszcze kilka dni przed śmiercią używa tego samego starodawnego sposobu — jego ostatni wiersz znowu wyraźnie dzieli się na tęskną, powolną «inwokację» (propozycja udania się w daleką drogę, na tamten świat) i żywą, trocheiczną, szybką odpowiedź, która jemu samemu przeczy (nie, jeszcze wcześniej, poczekamy, popatrzmy na ten świat):

Чи не покинуть нам, небого,
Моя сусідонько убога,
Вірші нікчемні віршувать
Та заходиться риштувать
Вози в далекую дорогу? —
На той світ, друже мій...

Ой не йдімо, не ходімо,
Рано, друже, рано;
Походимо, посидимо —
На сей світ поглянем!

Nie tylko rytmikę, ale również ustalone paralelizmy ludowe wykorzystuje Szewczenko dla znaczeniowego rozszerzenia języka, dla oddania najsubtelniejszych «tonów najwyższych» najprostszego niejako wypadku życiowego. Jest to jego przedziwny wiersz «Понад ставом увечері» (w «Sowie»), w którym nie wiadomo, co podziwiać: czy niezwykłą prostotę treści, czy największe mistrzostwo słowa, czy też jego koronkową delikatność, a co najważniejsze, całość, która powstała z połączenia prostoty i subtelności, to znaczy obraz niezmiernie pogłębiony. Ten wiersz znajduje się w jednym rzędzie z cytowanym już przeze mnie «Садок вишневий коло хати»,



Ogród koło nowopietrowskiej twierdzy (akwarela)

i na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że Szewczenko jest wielki właśnie przez to, że potrafił stworzyć artystyczną całość z materiału najprostszych słów i obrazów, bez wszelkich pojęć oderwanych, bez przeładowania metaforami czy skomplikowanymi symbolami, potrafił stworzyć całość samym tokiem wierszy i opowiedzianą w nich akcją. Być może, właśnie uogólniająca głębokość porywa uczucia słuchacza w tych wierszach:

Понад ставом увечері
Хитається очерет.
Дожидає сина мати
До досвіта вечерять.
Понад ставом увечері
Шепочеться осока.
Дожидає в темнім гаї
Дівчинонька козака.
Понад ставом вітер віє,
Лози нагинає;
Плаче мати одна в хаті,
А дівчина в гаї.
Поплакала чорнобрива,
Та й стала співати;
Поплакала стара мати,
Та й стала ридати.
І молилась, і ридала,
Кляла все на світі...
Ох, тяжкі ви, безталанні
У матері діти!

(«Сова»)

Tylko jedna czynność w przyrodzie — wiatr. Na tle uginających się od wiatru gałęzi i trzciny — dwa nieszczęścia: matki — w chacie, narzeczonej — w gaju. Obie czekają, jedna z kolacją, druga z pieszczotą, na tego, komu nie sądzone jest wrócić, syna i narzeczonego — żołnierza, i obie wiedzą, że on nie przyjdzie. Płacze matka, płacze narzeczona. Ale dalej paralela znika. Narzeczona popłakała i — zaśpiewała. A u matki płacz przeszedł w łkanie, w przekleństwie, w ciężką formułę bólu, poza którą sprawa osobista przerasta w ogólną. I przy tym tak mało słów, i takie są mocne, że ich zapomnieć nie można.

Prawdziwa sztuka i pełnokrwiste życie języka zaczynają się właśnie wtedy i tam, gdzie dzieło artysty osiąga szczybel uogólniającej siły. Bez zdolności uogólnienia nie ma prawdziwego poety i pisarza. Nieśmiertelność Szewczenki jako poety tkwi w tym, że on wykuł dla narodu język zdolny do głębokich, historycznie-prawdziwych, najsubtelniejszych uogólnień przy pomocy najprostszych środków i nieskomplikowanych pozornie wyrażań. W gruncie rzeczy, Szewczenko nie był lirycznym, lecz narratorem w poezji, prawie nigdy nie tworzył pieśni, jako sam wylew uczuć bez obrazu wzrokowego, a obrazu wzrokowego prawie nigdy nie czynił zamkniętym i nieruchomym. I to mistrzostwo ruchomego, otwierającego się, widzialnego obrazu osiągał on środkami, jakich nie podobna znaleźć w poezji ludowej. Wychodząc z rytmu piosenki, wiersz jego bądź to jakby podąża w czasie za ruchem przedmiotu:

Горіло світло, погасало,
Погасло...

(«Татар»)

bądź niejako podąża w przestrzeni za ruchem obrazu, np. za dziewczyną, gotową utopić się w Dnieprze, z którą on porównywa samotną chałupinę, wznoszącą się na spadziści góry:

Над Трахтемировим високо
На кручі, ніби сирота
Прийшла топитися... в глибокім,
В Дніпрі широкому... отак
Стоїть одним-одна хатина...

(«Сон»)

bądź maluje i rozwija od razu dwa obrazy, np. święto w ojczyźnie i święto na samotnym, pustynnym zesłaniu:

... Завтра рано
Заревуть дзвіниці
В Україні; завтра рано
До церкви молитись
Підуть люди... Завтра ж рано
Завіє голодний
Звір в пустині, і повіє
Ураган холодний.

We wszystkich tych wypadkach, jak wszędzie prawie, dążąc za przesuwaniem się swoich obrazów, Szewczenko puszcza

w ruch tak zwane «enjambement», przeniesienie poza ramy wiersza części zdania, co zupełnie nie jest przyjęte w ustnej pieśni i udaje się tylko na wyżynach poezji, genialnym poetom. Tych «wypadków poza ramy wiersza», «enjambements», jest u Szewczenki, może, więcej niż u każdego innego poety.

Potrąfi on również nie gorzej od Puszkina poetycznie wprowadzać do tekstu prozaizmy. Tak więc, miał on wprowadzić do wiersza, i to jeszcze w samym jego początku, dwa ciężkie, nie ukraińskie słowa: «uniwersytet» i «lazaret». Cóż tedy zrobił Szewczenko? «Uniwersytet» po prostu wyrzucił:

Не вбраю в віршу цього слова...

Ale według sensu, według nieskończonego rymu, według wskazania na jego los — słowo to pozostaje:

Тоді здоровий-прездоровий
Зробили з його лазарет...

Ten niewymieniony uniwersytet, z którego poeta zrobił ogromny lazaret, pomaga słowu «lazaret» przemknąć się lekko i prawie niepostrzeżenie. Zarazem Szewczenko przygotowuje do niego ucho czytelnika przy pomocy dwóch epitetów, czasownika, dwóch zaimków i przyimka, stwarza dla niego całą wstępną aliteracyjną: «Здоровий — прездоровий зробили» i «цього — з його».

Zasługuje również na umieszczenie we wszystkich poetykach świata i drugi przykład mistrzostwa Szewczenki. Jeszcze w młodzieńczych latach, w poemacie «Perebendia», śmiało wyrzuca z wiersza najniezbędniejszy rzeczownik (bez którego wiersz musiałby się okazać bezsensownym!) i wyrzuca w ten sposób, że nikt, absolutnie nikt, przy czytaniu nie zauważy składniowej niemożliwości tego zdania:

Орлом сизокрилим літає, ширяє,
Аж небо блакитне широкими б'є...

Pieśniarz «lata niby orzeł sinoskrzydły, buja wysoko, aż w błękit nieba szerokimi uderza». Czym uderza? Jakimi «szerokimi»? Czytelnik nie odczuwa, że przepuszczono tu «skrzydła», ponieważ «skrzydła» są przedstawione w tym dwuwierszu pięciokrotnie przy tym *ani razu* nie są wymienione, są one przedstawione i w epitecie orła (sinoskrzydły), i w ich własnym epitecie (szerokie), i w trzech czasownikach (lata, buja, uderza). Potrzebne jest doprawdy genialne mistrzostwo, ażeby taka wyrzutnia udała się w poezji, jak się udało np. Puszkiniowi jego przestawienie słów:

И бездны мрачной на краю, —

podobnie głęboko umotywowane wewnętrznie.

Wszystko to jest rezultatem wielkiej, świadomej sztuki,

«własny znak fabryczny» Szewczenki. Taki sam «własny znak fabryczny» jest również na jego jambach, głęboko oryginalnych i samoistnych.

Cztermiarowy jamb, z jego suchą filozoficznością i podporządkowaniem uczucia — myśli, pozornie jest mało właściwy pieszczotliwemu i delikatnemu, emocjonalnie-ostremu językowi ukraińskiemu. Zdawać by się mogło, że jeszcze mniej miałyby się on udać Szewczence, poecie wielkich wzruszeń duchowych, przywykłemu do ludowych rytmów. A tymczasem właśnie w «filozoficznym» jambie osiągnął Szewczenko niedoścignioną namiętność wyrazu. Z początku przeszedł okres nieuniknionej zależności od Puszkina (poemat rosyjski «Ślepa»), jednak bardzo szybko się od niej uwolnił. Jego samodzielność w jambie pojawiła się u niego wraz z pierwszym prawdziwie świadomym tematem rewolucyjnym. W 1845 r. Szewczenko dowiedział się o śmierci swego wielkiego przyjaciela Jacquesa de Balmaine'a na Kaukazie przy «uśmierzaniu górali»; pamięci jego poświęcił wiersz «Kaukaz». Do tego wiersza prawie nie pisał jambem — jego pamflet polityczny «Sen» utrzymany jest w zwykłym rytmie ludowym, w «Hajdamakach» zaledwie gdzieniegdzie krótko próbował cztermiarowego wiersza jambicznego. Ale w «Kaukazie» jamb zadźwięczał u niego z nieprawdopodobną siłą i doskonałością — poeta niejako odkrył dla siebie tę miarę wiersza. Z jakąś bodaj pasją ironii podnosi on «spokojne jamby» przeciwko nienawistnemu wrogowi — i one trafiają bez chybenia.

Śpiewają one głośno Requiem przemocy carskiej polityki kolonialnej na Kaukazie, obłudzie cerkwi, podłości i zakłamaniu starego «cywilizowanego» świata, zdzierają maskę z tego wroga. Idź, ucz się, jaki on jest, ten świat — zwraca się jego jamb do górala:

До нас в науку! Ми навчим,
По чому хліб і сіль по чім!
Ми християни: храми, школи,
Усе добро, сам бог у нас!
Нам тільки *сакля* очі коле:
Чого вона стоїть у вас,
Не нами дана; чом ми вам
Чурек же ваш та вам не кинем,
Як тій собаці! Чом ви нам
Платить за сонце не повинні!

(«Кавказ»)

Tu jest własny, szewczenkowski, namiętny dramatyzm, odmienny od puszkiniowskiego jambu klasycznego. Szewczenko jak gdyby przekroczył stulecie, jakby przeczuwa «Zemstę» Błoka. I jednocześnie to głęboko indywidualne mistrzostwo okazuje się przeniknięte tym samym folklorem — trzeźwym cierpkim słownikiem chłopskim, obrazową mądrością ludową, umiejętnością prowadzenia przez nią do wniosku logicznego, do uogólnienia — «мы навчим, по чому хліб і сіль по чім» —

formalnie miałyby on niejako przewyciężyć ten folklor obcą mu miarą jambiczną. A w rzeczywistości dodaje mu nowego życia, rozszerza sferę jego oddziaływania duchowego.

Храми, каплиці, і ікони,
І ставники, і мірри дим,
І перед образом твоім
Неутомленні поклони
За кражу, за війну, за кров, —
Щоб братню кров пролити просять,
І потім в дар тобі приносять
З пожару вкрадений покров !!...

Ta strofa jest wywołana takim wzruszeniem ducha, że Szewczenko sam zakończył ją dwoma wykrzyknikami. Przyszły śpiewak «Marii», «Neofitów», rewolucyjnych naśladowań psalmów wykazuje tu bez oglądania się na piękno wiersza swoją wybitnie doskonałą umiejętność ostrego i trzeźwego przejścia z wysokiej nuty lirycznej do «niskiej» nuty satyryczno-rewolucyjnej: — «i dym mirry, i przed obrazem twoim niezmordowane pokłony» — to górna poezja, przemyślana muzyczność, wzniosła przez harmonię zgłosek «ЛЕН» — «ЛОН»; a tuż za nią po chłopsku, po ludowemu ironiczny wniosek o zdziercach i podpalaczach, przelewających krew bratnią, a potem dających łapówkę bogu: «з пожару вкрадений покров».

* * *

Z okazji 100-letniego jubileuszu od dnia urodzin Szewczenki dziesiątki poetów sowieckich przetłumaczyło go na swój język. Na jubileuszowym plenum Związku pisarzy poeci ci, przedstawiciele najrozmaitszych narodowości, wstępowali na trybunę i opowiadali, jakich dołożyli starań, ażeby przetłumaczyć Szewczenkę.

Wiele chciałoby się przytoczyć z licznych przemówień na plenum. Staje się z nich jasne, że tłumaczyć Szewczenkę było i bardzo *trudno*, i jednocześnie bardzo *łatwo*.

Dlaczego trudno? Dlatego, że proste z pozoru mistrzostwo Szewczenki okazało się pełnym niedoścignionej subtelności, dowcipu i oryginalności sposobów poetyckich, oraz głębokości genialnych uogólnień, a to wymagało od tłumaczy ogromnej pracy.

Dlaczego łatwo? Dlatego że Taras Szewczenko, ojciec sztuki ukraińskiej, twórca kulturalnego języka narodu, człowiek o wielkich zadaniach historycznych i ciężkim losie osobistym, okazał się treścią swej twórczości pokrewnym i bliskim pisarzem młodych sowieckich literatur narodowych; przypomniał im los i trudy ich własnych ojców literackich, odkrył im wartości ogólnoludzkie w wartościach narodowych, wkroczył w ich socjalistyczne «dziś» jako brat rodzony, «ojciec», swój, kochany.

I przez to ludowość Szewczenki zdobyła uznanie i zrozumienie — swoją ostatnią, wykończającą portret, cechę.

IGOR SAC

KSIĄŻKA O SZEWCZENIE

Umieszczony powyżej artykuł Marietty Szaginian pt. «Poetyka «Kobziarza» — to jeden z rozdziałów pracy krytycznej, wydanej niedawno w Moskwie przez Państwowe Wydawnictwo Literackie. Sądzymy, że jego walory nie wymagają obszernych dowodzeń. Bodaj że głównym z nich jest zdolność niezwykle świeżego odczuwania poezji i ujmowania w nowy sposób dawno już znanych tekstów. Tę dość rzadko spotykaną zdolność posiada właśnie Marietta Szaginian. Pozwala jej to włączyć żywą treść i teoretycznie przekonywującą siłę w twierdzenia, które wprawdzie istniały już i wcześniej, ale wskutek swej nadmiernej abstrakcyjności nie mogły nikogo przekonać.

Przedewszystkim będzie to kwestia miejsca, jakie zajmuje Szewczenko w «wielkiej» poezji. Sowieccy badacze literatury i biografowie dawno już odrzucili stanowisko zarówno reakcyjnych, jak i liberalnych burżua, usiłujących ograniczyć znaczenie Szewczenki, wyznaczyć mu miejsce wśród samouków, nierozwiniętych talentów «z ludu», interesujących głównie dzięki swej «gminnej» specyficzności. (Jak wiadomo, to samo usiłowało uczynić wielu krytyków, współczesnych Gogolowi, jak np. Sienkowski, Polewoj i in., którzy stanowczo negowali znaczenie «Martwych dusz» i autorowi ich pozostawiali tylko dziedzinę sielanki i «dobrodusznego» ukraińskiego humoru). Ale argumentów literackich, które nieodparcie potwierdzałyby istotną poetycką wielkość Szewczenki, było nader mało.

Marietta Szaginian, świetnie obeznana z teoretycznymi zagadnieniami sztuki poetyckiej, przytacza cały szereg dowodów na rzecz wybitnej kultury poetyckiej i fachowego znanstwa Szewczenki, jako poety. Podaje ona tematy jego utworów z takim taktem i zrozumieniem, z takim smakiem artystycznym włącza w tekst swej naukowej prozy jego poetyckie cytaty, że czytelnik zaczyna żywo odczuwać moralno-estetyczny sens «chwytów» poetyckich i widzieć, jak czysto ludzka treść poezji nabiera w ustach genialnego poety skończonej, przepięknej formy.

Dzięki temu, że autorka omawianej przez nas pracy krytycznej jest prawdziwą znawczynią literatury, w książce jej

nie znajdziemy ani pedantycznej uczoności, ani też dyletanckiego zachwytu nad drugorzędnymi detalami kunsztu poetyckiego. Mowa jest tu zawsze o istotnych zagadnieniach sztuki. Do takich zagadnień zaliczyć należy znaczenie poetyckiego «enjambement» — przenoszenia końca zdania z jednego wiersza do drugiego, «rozciągnięcie myśli poza wiersz». (Trudno nam powstrzymać się od wyrażenia żalu, iż Marietta Szaginian nie wyjaśniła, jak ważną jest ta metoda dla poezji w ogóle, co nie jest bynajmniej powszechnie wiadome; wprawdzie kompozycja książki może by na szczegółowym rozważaniu tego ogólnego zagadnienia nieco ucierpiała, ale bodaj czy nie warto było w tym celu poświęcić coś niecoś z harmonijności struktury). To samo da się powiedzieć o określeniu charakterystycznych cech szewczenkowskich jambów. Tu również należy wyrazić żal, że porównanie z jambami rosyjskiej «Kunstperiode» i z jambami rosyjskich symbolistów zawarte jest w paru wierszach, z nieuniknionymi w tak zwięzłym ujęciu nieścisłościami. Rozdział o sztuce poetyckiej daje nam całkowity obraz Tarasa Szewczenki — jako człowieka, szermierza idei i poety. I jasną staje się specyficzność poezji Szewczenki, będącej jedną z najpiękniejszych zdobyczy wszechświatowej kultury artystycznej. Poezja ta zachowuje tak ścisły związek ze sztuką bezpośrednio ludową, jakiego nie znajdziemy u nikogo więcej spośród wielkich poetów.

Mariecie Szaginian należy przyznać niemałą zasługę: w książce jej po raz pierwszy, zdaniem naszym, wyjaśniony został wzajemny stosunek bezpośredniej ludowości oraz świadomej kultury poetyckiej w utworach Szewczenki. Zasługa ta posiada ogólne znaczenie naukowe, gdyż u krytyków i historyków literatury niejednokrotnie jeszcze spotykamy się z niesłychanym mętlikiem w zagadnieniach ludowości sztuki, z usiłowaniem wulgarnego potraktowania np. Niekrasowa (tego świadomego rewolucjonisty i jednego z najbardziej kulturalnych pisarzy) jako nieświadomego wyraziciela idei i przeżyć ludu.

W rozdziale o prozie Szewczenki (III rozdz. książki) Marietta Szaginian kroczy również właściwą drogą. Oddawna przyjęte było uważać prozę Szewczenki za nieinteresującą, a więc nie zajmować się nią. Szaginian nie neguje, oczywiście, że geniusz Szewczenki znalazł w poezji bardziej pełny i potężny wyraz, niż w prozie. Ale wykazuje ona — spokojnie, bez przesady i w sposób nader przekonujący — iż utwory Szewczenki prozą, napisane po rosyjsku, posiadają wielkie znaczenie dla rozwoju literatury rosyjskiej w epoce Gogola, dla demokratyzacji i wzbogacenia rosyjskiego języka.

Marietta Szaginian wyjaśnia nam, dlaczego współcześni traktowali prozę Szewczenki tak chłodno i niezyczliwie. Ukraińskich burżuazyjnych nacjonalistów i liberałów w rodzaju Kulisa zawsze mierzyła rewolucyjność twórczości Szewczenki;

usiłowali oni w miarę możności «unieszkodliwić» go, wykorzystując jednocześnie dla swych nacjonalistycznych celów. Prozę zaś, napisaną w języku rosyjskim, ciśni nacjonałiści. uważali nieomal za zdradę kultury ukraińskiej; marzyli o tym, by wszystkie te utwory wykupić i spalić. S. Aksakow zaś radził Szewczenko porzucić prozę z innej zgoła przyczyny. Szewczenko pisał ją, oderwany wskutek długoletniego zesłania od życia literackiego. Powieści jego, napisane w szóstym dziesięcioleciu wieku dziewiętnastego, odpowiadają epoce piątego dziesięciolecia; nic dziwnego, że Aksakowowi, pisarzowi niezwykle wymagającemu, musiały się one wydawać staromodnymi.

Marietta Szaginian stawia te powieści w jednym szeregu z utworami rosyjskiej prozy z piątego dziesięciolecia. Jest to, według nas, nowy, owocny w skutkach pogląd na powieści Szewczenki. Zaznaczyliśmy już, że M. Szaginian wykazała ich znaczenie dla rosyjskiego języka literackiego. Co więcej — autorka nie posiada przesądów literackich, które przeszkodziłyby jej dostrzec wartość artystyczną tych utworów i znaleźć w nich elementy wspólne dla całej twórczości Szewczenki. Ta ostatnia strona pracy Marietty Szaginian została bodaj najjaśniejszą i w sposób najbardziej systematyczny wyłożona w rozdziale «Dramaturgia, muzyka, malarstwo» (II rozdział książki).

W zwięzłej recenzji zmuszeni jesteśmy pominąć milczeniem konkretny materiał opisowy, którego bogactwo nadaje książce Marietty Szaginian szczególnie żywy urok. Nie możemy tu podać tych ciekawych szczegółów o stosunku Szewczenki do teatru, muzyki, malarstwa, do muzyków, aktorów, malarzy, w które tak bogato jest opatrzony ten rozdział. Zatrzymamy się nad najważniejszymi myślami Szewczenki o sztuce.

W malarstwie — pisze M. Szaginian, potwierdzając tę myśl dokumentami — Szewczenko energicznie bronił pierwszorzędnej roli rysunku: «uważał on, że nie opanowawszy całkowicie kunsztu rysowania, nie można brać się do pędzla i palety» (str. 51). «Pierwszym warunkiem malarstwa jest rysunek i plastyczność, drugim — koloryt» (z listu Szewczenki do Bronisława Zaleskiego). Gust muzyczny Szewczenki był bardzo szeroki: Beethoven, Mozart, Haydn, Glinka, Dargomyżski, Meyerbeer... W książce Marietty Szaginian znajdujemy jednak bardzo ciekawe uwagi o szczególnej słabości Szewczenki do Mozarta, Haydna, Beethowena, Glinki i do pieśni ludowej «prostej, wzruszającej». Twierdzenie Szewczenki, że «uwerturę z «Don Juana» trudno zepsuć nawet złym wykonaniem» (z dziennika Szewczenki) autorka objaśnia w sposób następujący: «u Mozarta, jak u bardzo wielkich geniuszów, którzy stworzyli całą dziedzinę sztuki, odgrywa rolę i zwycięża nie barwa, nie koloryt, nie dźwięk, nie powierzchowność, nie wyraz, nie nabyte i konwencjonalne dodatki, lecz sam kościec muzyki» (str. 40), tj. wewnętrzna logika, głębia i doskonałość myśli twórczej.

O jedynym otrzymanym przez nas w spadku utworze dramatycznym Szewczenki «Nazar Stodola» Marietta Szaginian pisze, że w sztuce tej, podobnie jak w sztukach azerbajdżańskiego klasyka Achundowa, mamy «utraconą w naszych czasach prawdziwą teatralność», «opartą na charakterach i dramatycznym konflikcie» — to, co odróżnia je od sztuk «wystawowych», wymagających mnóstwa działających osób, odślon, maszyn, butaforyj, i przez dziesiątki lat zawałających jako «balast reżyserki» repertuar sceniczny (str. 32—33).

Nie trudno zauważyć, że w tych sądach o muzyce i teatrze dźwięczy to samo przekonanie co do pierwszorzędnego znaczenia «rysunku» — harmonijnego i realistycznego — co i w sądach o malarstwie. Ten realizm rzeczy najistotniejszych jest właśnie jedną z najważniejszych zasad estetycznych wielkiej sztuki realistycznej.

Nie możemy tu specjalnie roztrząsać tej kwestii; zaznaczymy tylko, że stosunek do niej Marietty Szaginian — według nas, zupełnie słuszny — nadaje książce jej pewien odcień polemiczny i dowodzi, że autorka jest zwolenniczką badania i rozwoju tradycji klasycznych oraz przekonaną przeciwniczką formalistycznej i naturalistycznej dekadencji. Nie ma co mówić o tym, że gdyby poglądy jej na sztukę były inne, nie mogłaby tak dobrze i tak subtelnie zrozumieć Szewczenki — jednego z najlepszych rewolucjonistów-demokratów i realistów XIX stulecia, którzy wyrosli z klasycznego okresu sztuki i odświeżając jego tradycje, zachowali z nim żywy związek.

Nie bez uprzedzenia przystąpiliśmy do V rozdziału pt. «Miłość»: tyle przecież nagromadziło się wokół tego tematu wszelakiego pseudo-naukowego śmiecia — czysto formalnego, nikomu niepotrzebnego wynajdywania realnych prototypów, mieszczkańsko-plotkarskiego grzebania się w życiu osobistym wielkich ludzi i sentymentalnie-niesmacznych opisów. Toteż z prawdziwą radością stwierdziliśmy, że Szaginian i tutaj również okazała wielki rozum i takt. Posługując się obszernym materiałem archiwalnym, po raz pierwszy właśnie przez nią zbadanym, Marietta Szaginian wykazuje ścisły związek miłosnych przeżyć Szewczenki z całym jego życiem społecznym i twórczym. Przed czytelnikiem wyrasta znowu harmonijny obraz wielkiego człowieka, odmalowany z nowej strony. Rozdział ten jest przy tym wspaniałym szkicem epoki, pełnym obrazków rodzajowych i konkretnych typów. Historyczna i artystyczna wartość tego szkicu nie ulega wątpliwości. Nie mniejsze znaczenie posiadają jego walory etyczne — ta surowa powaga bez najmniejszego kwakierstwa, ta żywość bez cienia «figlarności» — wszystko to, pewni jesteśmy, z wdzięcznością przyjmie każdy czytelnik.

Szkic o ekspedycji na Morze Aralskie, w której Szewczenko brał udział (VI rozdział), oparty jest prawie całkowi-

cie na zbadanym ponownie, nigdzie dotąd nie opublikowanym materiale archiwalnym i jest interesujący pod wieloma względami: jako materiał o ekspedycji, przedstawiający niewątpliwą wartość dla historii rosyjskiej nauki, jako nowy materiał biograficzny i wreszcie jako uzupełnienie ogólnej charakterystyki Szewczenki. Sumiennie studiując rysunki Szewczenki, jego szkice zwierząt, roślin i pejzaży, Marietta Szaginian przekonująco dowodzi, że były one wyrazem nie tylko artystycznych, ale i naukowych, przyrodniczych zainteresowań Szewczenki. Pozwala to jej upodobnić Szewczenkę do typu artysty-uczonego, tak charakterystycznego dla epoki renesansu — typu, który w czasach późniejszych znalazł swój najpełniejszy wyraz w postaci Goethego. Marietta Szaginian znajduje nawet argumenty, że pod względem dialektycznego pojmowania przyrody Szewczenko przewyższał Goethego.

Przewodnia myśl autorki zasługuje, według nas, na jak najpilniejszą uwagę. Jednakowoż dostrzegamy w niej również pewną przesadę. Być może, że Szewczenko miał nie mniejsze zdolności naukowe niż Goethe. Jednakże Goethe był uczonym w całym tego słowa znaczeniu, podczas gdy warunki życiowe Szewczenki nie pozwoliły mu zdobyć systematycznej wiedzy, nie dały mu możności prowadzić tej konsekwentnej, nieprzerwanej, długoletniej pracy, bez której najgenialniejsze nawet myśli pozostają tylko hipotezami i przeczuciami. Co prawda, jak zaznacza Marietta Szaginian, wiele ze spuścizny Szewczenki jeszcze i obecnie pozostaje w ukryciu.

Niedostateczność i niemożliwość zbadania materiału mocno odbiła się na dwóch ostatnich rozdziałach książki: «Związek z tygodnikiem «Iskra» i «Stosunki z Czernyszewskim».

Dobrze zostało opracowane zagadnienie, dlaczego Szewczenko mimo więzi ideowej i osobistej ze współpracownikami demokratycznego pisma satyrycznego «Iskra» sam nie współpracował w nim; satyra Szewczenki, chłoszcząca i tragiczna, nie odpowiadała drwiąco-szyderczemu tonowi «Iskry». Bardzo efektownie opowiada Szaginian o tym, jak «Iskra» jeden jedyny raz w życiu przestała się śmiać, a Szewczenko jeden jedyny raz wystąpił w duchu «Iskry». Oba te wyjątkowe zdarzenia skrzyżowały się w osobie czarnosecińca Askoczeńskiego, wydawcy «Gawędy domowej» («Domaszniąja biesieda»). Szewczenko wykpił jego świętoszkostwo i dzikie wsteczniectwo. «Iskra» zaś, odpowiadając «Gawędzie» na pośmiertny paszkwil przeciwko Szewczence, z oburzeniem napiętnowała to bezczeszczenie pamięci wielkiego człowieka. Epizod ten posiada wielką wartość artystyczną. Wszelako związku z «Iskrą» nie udało się autorce ustalić.

Rozdział o stosunkach Szewczenki z Czernyszewskim zawiera szereg ciekawych szczegółów, uzupełniających znane fakty dotyczące znajomości tych dwóch rewolucjonistów. Waż-

na jest również wzmianka o powoływaniu się na Szewczenkę w artykule Czernyszewskiego, gdzie polemizuje on z ukraińskimi nacjonalistami z galicyjskiego «Słowa». Jednakże niczym, prócz domysłów, nie został stwierdzony przypuszczalny związek Szewczenki przez Czernyszewskiego z Hercenem i innymi wybitniejszymi demokratami owych czasów — to zaś jest właśnie centralnym zagadnieniem wspomnianego rozdziału.

Celowo pozostawiliśmy na sam koniec uwagi o III rozdziale pod tytułem «Estetyka». Rozdział ten jest bezwzględnie najślabszy. Marietta Szaginian cytuje w nim słowa Szewczenki o tym, jak bezpłodne są prace teoretyków sztuki w rodzaju polskiego estetyka Lebla, i jak pożyteczna jest historia sztuki.

Ale zamiast wyciągnąć stąd jedynie słuszny wniosek — że teoria sztuki powinna stosować metody historyczne — Marietta Szaginian dała się unieść bardziej niż wątpliwym przeciwstawieniom teorii i historii. Przy tym historię oddaje ona całkowicie materialistom, a niehistoryczne teoretyzowanie uważa za grzech idealizmu. Niehistoryczność takiego poglądu jest jasna. Hegel, jak wiadomo, był idealistą, ale estetyka jego, jak to również wiadomo, jest oparta na metodach historycznych. Niehistoryczność materialistycznej filozofii epoki Oświecenia, między innymi i estetyki, jest także powszechnie stwierdzona. Konkretnie dzieje myśli estetycznej wykazują wiele przejść i odcieni. Niewątpliwie jest jednak, że tylko marksizm przewyciężył tę jednostronność, która cechowała zarówno materializm, jak i idealizm czasów przedmarksowskich.

W tymże rozdziale Marietta Szaginian cytuje następujące miejsce z dziennika Szewczenki, napisane w czasie pierwszej podróży statkiem parowym. «O, wielki Fultonie! Wielki Watcie!... to, co zapoczątkowali we Francji encyklopedyści, tego dokona na całym świecie wasze kolosalne, genialne dziecie». Marietta Szaginian komentuje to tak: «oznacza to rozumienie, jak dalece postęp techniczny związany jest z rewolucją, z obaleniem starych stosunków społecznych» (str. 108). Należało bezwzględnie zaznaczyć, że związek ten w ujęciu Szewczenki jest niezwykle prostolinijny, jak u wszystkich przedstawicieli kierunku Oświecenia. W przeciwnym razie otrzymamy historycznie nieściśle twierdzenie, jakoby poglądy na postęp techniczny, wyznawane przez ten kierunek filozoficzny, zbiegały się z marksizmem.

Zapewne, w książce Marietty Szaginian spotkamy również wątpliwe szczegóły, jak i podlegające dyskusji myśli. Trudno jednak oczekiwać, aby autorka, która wykonała tak olbrzymią pracę, była jednakowo we wszystkich dziedzinach kompetentna i nie pozostawiła żadnych luk. W całokształcie swym książka ta jest jednak pracą wybitną, toteż gorąco polecamy ją (zwłaszcza rozdziały «Dramaturgia, muzyka, malarstwo» i «Miłość») dla przekładu na język polski.

KAROLINA SOBAŃSKA I JEJ OTOCZENIE

NA DRUGIM ETAPIE WYGNANIA

Biografowie Mickiewicza wymieniają wśród «danaid odeskich» do znudzenia wiecznie te same trzy nazwiska: Sobańską, Zaleską i Guriewą, która jakoby dręczyła go zazdrością i anonimami. Zaleską trzeba raczej wyłączyć za nawias, wiadomo bowiem, że poeta uciekł szybko od jej natarczywych, bardzo histerycznych wdzięków, a Guriewej nie brał nikt na serio. Jeżeli jednak chodzi o ten rodzaj kobiet, które przyczyniły się do «obniżenia lotu» poety — czemuż usuwać w cień obie naczelne i doświadczone kokietki: Branicką-Woroncową i Naryszkinę-Potocką? Woroncowa nudziła się po odjeździe Puszkina, mieszkała we wspaniałym pałacu frontem do morza i obu portów, miała też oprócz jedyne w Odessie teleskopu wspaniałą galerię obrazów z Rembrandtem, Włochami i Anglikami, których żądny wrażeń malarskich poeta nie mógł przecie nie obejrzeć. Naryszkina znów, choć pani skromniejszego pałacu, miała w swym salonie osobliwość: fortepiano Erarda! Jeszcze w 1843 r. Kraszewski zwiedzając Odesę zapisze to z podziwem. Miałżeby Mickiewicz, wciąż potrzebujący akompaniamentu do improwizacji, przejść mimo takiej okazji?

Jedna z tych dwu pań chyba jest bohaterką zacytowanego na wstępie sonetu: «Do wizytujących». Sobańska mieszkająca kątem u Witta tak wielkich możliwości mieszkaniowych jak tamte nie miała. Woroncowa i Naryszkina jednak również zasługiwały — w całej pełni — by je «odwiedzić powtórnie dopiero... po roku», one miały «jaskrawe oczy, bezwstydną czoła». A kto wie czy echem znanej nam nocnej galopady «myśliwskiej» nie jest taki werset odeski:

... Wtem leci z za rzeki
Konna łowczyni, strojna Dyjany odzieniem
Wstrzymuje konie, staje...

Pani Sobańska mieszkała w Odessie kątem, za to magazyn zbożowy pana Sobańskiego «wyglądał jak pałac wyjątkowy», natomiast nieporadny Bonawentura Zaleski posiadał tylko

skromny «kantor komissów dla handlu zbożowego», mieszkali zaś z żoną daleko przy końcu ulicy św. Trójcy. Zaleska często sprzedawała sprzęty, by mieć na herbatę dla filomatów. Joannie Zaleskiej należy oddać sprawiedliwość jako wytrwałej, pierwszej wraz z M. Szymanowską, propagatorce kultu poezyj Mickiewicza, tym więcej, jeśli przypomnimy, jak skandaliczną ignorancją odznaczała się szlachta polska na Ukrainie. Gdy ktoś w Odessie miał myśl, aby z okazji zjazdu zbożowego urządzili dziedziectwo ucztę składkową na cześć sławnego improwizatora, uczestnicy tak się zagadali w czasie bankietu o cenach zboża, że ani do uczczenia Mickiewicza, ani do improwizacji w ogóle nie doszło!

Karolina Sobańska i wówczas, i później też nie nazbyt orientowała się w twórczości Mickiewicza. Wystarczało jej zupełnie, że jest modny w salonach i że zachwycająco «prima vista» gada wierszami przy wtórze fletu lub fortepianu. Była od niego o pięć lat starsza, a sztuką ozdobnej wymowy musiała 28-letniego młodzieńca, skaptować od razu. Gdybyśmy nawet nie wiedzieli, że litery D. D. oznaczają w erotykach Mickiewicza Karolinę (Donna Dziowanna), to z portretu w «Mojej pieszczotce» rozpoznamy od razu jej rysy. Kobieta, którą się pragnie najpierw tylko słuchać, słuchać, słuchać, a potem całować, całować, całować. W 60 lat od odeskich czasów podziwiać będą jeszcze ludzie fenomenalny talent retoryczny Sobańskiej. Pod tym względem nie mogła się z nią równać żadna z kokietek odeskich.

W kole znajomych Sobańskiej znalazł Mickiewicz od razu sposobność do zetknięcia się z ludźmi podziemnego świata Kijowszczyzny. Sobańska zwabiła ich do Witta, a przede wszystkim do Riznicza, jeszcze za życia Amalii dla obserwowania. Antoni Jabłonowski, którego «wspie» będzie Witt zawdzięczał swój główny, wszem wobec rozstrąbiony tryumf, był bliskim znajomym Rzewuskich (miałem kiedyś w rękę jego list do Ewy Hańskiej). Osobnik «nie tyle nikczemny ile marny i kruchy», szczęśliwy rywal Puszkina, zalecał się z powodzeniem do «bankiera żony»; stosunek stanie się tak intymny, że chorą już śmiertelnie piękniśię on właśnie odwiezie do Włoch. Po jej śmierci wrócił i tu niezawodnie poznał Mickiewicz tak Jabłonowskiego, jak również stryjecznego brata męża Sobańskiej, który uczciwie pracował w konspiracji.

Do wybitnych przyjaciół-Polaków napotkanych w Odessie należał również Piotr Moszyński, jeden z inicjatorów nieudanej uczty ziemiańskiej na cześć poety. Rozważny, milczący, konsekwentny pełnił rolę łącznika między dekabrystami a grupą spiskowców polskich. Po aresztowaniu przewieziono go, podobnie jak Jabłonowskiego, wprost do stolicy, do Pałacu Zimowego, przed oblicze Mikołaja I. Młodzieniec, pozostawszy sam w sali pełnej dzieł sztuki, zaczął ze świecą w rękę oglądać

jakiś obraz hiszpańskiej szkoły z takim zajęciem, że dopiero dotknięcie ręki zorientowało go, że stoi przed nim car Mikołaj I. Poczem rozmawiano więcej o sztuce niż o sprawie (zob. Dębicki, Piotr Moszyński, Kraków 1879).

Nazwisko Moszyńskiego związało się ściśle z twórczością Mickiewicza, u niego bowiem przechował się album z poezjami pisanymi w Odessie i Moskwie. Znalazły się tam pierwsze rzuty i warianty utworów, przeinaczone później w druku, z obawy przed cenzurą.

Jeden z takich wariantów wprowadza nas w nastrój obawy, w jakiej żyło społeczeństwo odeskie, lękające się szpiegów na każdym kroku.

Pisze poeta w sonecie «Ekskuza»:

«Ledwiem zaczął przegrywać, aż cała drużyna
Rozpierzchła się, unosząc zadziwione słuchy».

W pierwszym rzucie wyglądał ten obraz zupełnie inaczej:

Ledwiem zaczął przegrywać, *pobladła* drużyna
Rozpierzchła się, unosząc *bojaźliwe* słuchy.

(Zamiast «bojaźliwe» napisano pierwotnie: *strachu pełne*).

PRZED SĄDEM ADAMA MICKIEWICZA

Uganiecie się za wpisem do sztambucha sławnych ludzi oraz w ogóle zbieranie ich autografów — to była jedna z modnych przyjemności rozpróżnionych pań w epoce romantyzmu. Sobańska, właścicielka cenionej już wówczas kolekcji autografów, w której był Pitt i Wellington, Lavater, pani de Stael i Delfina Gay, uznała, że Mickiewicz zasługuje, aby karteluszek jego pismem zapisany pomnożył jej zbiory. Pasja ta była zdaje się rodzinna, bo Balzak napocił się dość, biegając po Paryżu z autografami dla Ewy Hańskiej. Jak napastliwie musiała nalegać Sobańska, aby sławny poeta ponadto dla niej i tylko dla niej coś napisał — świadczy motyw natarczywości kobiecej, często powtarzający się w lirykach odeskich Mickiewicza. Zjawia się on już w «Danaidach» («Ta, której złoto daję, prosi o piosenki»), a dominuje w wierszu «Pożegnanie», Sobańskiej poświęconym:

Dziś odkrywam łakomstwo nowe w sercu twoim:
Pochwalnych wierszy chciałaś — marny pochwał dymie,
Dla nich więc igrasz z bliźnich szczęściem i spokojem?
Nie kupić Muzy...

Że to był tylko płytki snobizm, pozbawiony głębszego wniesienia w twórczość poety, widać z «Elegii», również Sobańskiej (D. D.) poświęconej, gdzie są takie wiersze:

... Kiedy będę mniemać,
że słuchasz moich rymów, ty mogłabyś drzemać.

Więc z upragnionym wpisem do sztambucha nie łatwo poszło. Nie wiadomo, czy w ogóle i kiedy zaszczycił Mickiewicz

imionnik Sobańskiej swym nazwiskiem. Przypuszczano aż do ostatnich czasów, że z jej albumu pochodzi znany powszechnie wiersz: «W imionniku K. R.», zaczynający się od słów: «Różnym losem rzuceni na świata powódzie, spotykamy się z sobą jak dwie różne łodzie...» Dopiero wystawa mickiewiczowska w Nowogródku w 1932 roku wykazała fałszywość tego poglądu; inicjały K. R. nie oznaczają wcale Karoliny Rzewuskiej, ale Konstantego Rdułtowskiego, w którego sztambuchu znajduje się ów wiersz. Tym samym zmienił się zupełnie charakter utworu: nie jest to erotyk, ale wiersz do przyjaciela.

Pierwszy zamysł Sobańskiej w odniesieniu do Mickiewicza skończył się klęską. Nie o poetę szło jej — bo jakież wyobrażenie mogła mieć o wspaniałym talencie autora «Dziadów» części IV! — ale o sensacyjnego, poszukiwanego na salonach improwizatora. I ten odmówił. Gdy J. I. Kraszewski, przejeżdżając w 18 lat potem przez Odessę, odwiedzi Sobańską, głównie po to, aby obejrzeć jej kolekcję, znajdzie w sztambuchu «wiersz Puszkina umyślnie pisany», a Mickiewicza tylko w zbiorze autografów (zob. «Wspomnienia Odessy», Wilno, 1846, III, str. 229).

Przelotny a burzliwy romans Mickiewicza z Sobańską stał się dlań potężnym impulsem twórczym. Poezja polska zyskała nowy, brakujący jej dotąd ton: wspaniałą lirykę erotyczną. Cokolwiek złego powiedzieć można i trzeba o szalibierczej Karolinie, stwierdzić jednak należy, iż odegrała, bezwiednie i nie chcąc, tę samą rolę w jego twórczości, co Fornarina w «Elegiach rzymskich» Goethego, lub Amalia w lirykach Schillera.

Wiersze związane z osobą Sobańskiej łączy szereg cech, rzadkich poza tym w twórczości Mickiewicza: wszędzie bardzo intensywne zainteresowanie zmysłowe, nigdzie ani cienia uczucia, tego mickiewiczowskiego uczucia, którego przedmiotem była i jest Maryla, a będzie Ewunia.

Sonet «Jastrząb na wysokości Kikineis» jest jakby likwidacją całej znajomości i oświetla osobę Sobańskiej w nieoczekiwany sposób. Pamiętamy obraz jastrzębia w tym sonecie: przytulił się do masztu w czasie burzy morskiej, znużony bardzo i mokry, ale «bezpieczny, jakby siedział na leśnej gałęzi». Czytelnik zostaje pod wrażeniem, że na takiego ptaka na szczycie masztu patrzą z pokładu okrętu Mickiewicz z Sobańską, w czasie gdy statek płynie do Eupatorii. Bo pod pokrywką niewinnej morskiej przejażdżki pragnął gen. Witt wraz z całą sforą szpiegów objechać Taurydę wobec zamierzonej podróży Aleksandra I na południe imperium.

Znaleźli się na chwilę sami. Nie ma w pobliżu ani wszędybylskiego szpicla Boszniaka — «zdrajcy przebieglejszego od samego nawet szpiega w romansie Coopera», jak się po latach wyrazi Mickiewicz — ani gaduły Rzewuskiego. Sobańska, daleka widocznie od swej zwykłej, czelnie uśmiechniętej postawy,

czuje się bardzo niepewna i trwożna, skoro Mickiewicz musi jej dodawać otuchy. I powtarza w rymach to, czego może nie dopowiedział wyraźnie na pokładzie:

Nie bój się, żadna na cię nie czatuje ręka,
Jesteś gościem, Giovanni, kto gościa uwięzi,
Jeżeli jest na morzu, niech się burzy lęka...

Wyrażenie tej myśli nie przyszło pocie łatwo, wypadło bowiem obliczyć dobrze wagę i barwę każdego wyrazu. Dochowany autograf «Jastrzębia» świadczy o tym. Gdy obraz ptaka na maszcie spłynął gładko z pióra, w kwadrynie drugiej sonetu zaczął się kłopot. Zwróciwszy przestrożę wprost do Karoliny, próbował ją potem skierować — ze względów cenzuralnych napewno — pod adresem jastrzębia: «Lecz go żadna nie pochwyti ręka. Bezpieczny, jakby siedział na leśnej gałęzi. On jest gościem, Giovanni, kto gościa uwięzi» itd. W ostatecznej redakcji tak też pozostało. Już w trakcie pisania zdecydował Mickiewicz, że należy ukryć aluzję bezpośrednią.

Wymowna ta przestroga świadczy, że poeta czuje instynktownie groźbę sytuacji. Możemy podziwiać kunszt artysty, który umiał zawrzeć prawdę w misternej przenośni, omgliwszy ją niedomówieniami, zrozumiałymi jedynie samej Sobańskiej. I możemy podziwiać ostrożność wygnańca, który uznał za konieczne, aby ten wiersz właśnie — jedyny sonet z niewinnego, bo czysto opisowego cyklu «Sonetów krymskich» — wyłączyć! (Jak wiadomo, wiersz dochował się w niedokończonej postaci w albumie Piotra Moszyńskiego).

Ostatnia część «Jastrzębia» zawiera bardzo znamienne ujęcie osobistego stosunku Mickiewicza do Sobańskiej. Nie próbuj mnie podbijać, jesteście bowiem — wykręca się z uprzejmą grzecznością — bratnie dusze: «Wspomnij na moje, wspomnij na twe własne dzieje»... «I mnie wicher odpędził, słońca złała skrzydła». Nie stosuj więc do mnie oszukańczo-uwodzielejskiej metody, jaką przywykłaś sidłać innych, gdyż ja jeden wiem o tobie więcej, niż oni wszyscy: przejrzałem cię, ty jesteś również, ty jesteś przede wszystkim w niebezpieczeństwie! Stąd finał sonetu:

Po co te słowa miłe, te zdradne nadzieje?
Sama w niebezpieczeństwie — drugim stawiasz sidła.

Ostatniego, czternastego wiersza brak w autografie «Jastrzębia». Teofil Gautier powiada, że każdy sonet powinien przypominać skorpiona kłującego jadowitym żądłem. Żądło powinno kryć się w ostatnim wierszu sonetu. Mickiewicz pozostawił «Jastrzębia» bez jadowitego zakończenia. Z umysłu, czy przypadkiem?

Trudno dziś zorientować się czy znał już w Odessie i Moskwie całą prawdę o Sobańskiej, tak jak pozna i oświekli w

wykładach paryskich, nie wymieniając zresztą wyraźnie jej osoby. Tu ograniczył się, z łatwo zrozumiałych względów, do napiętnowania moralnej nicości kobiety, która tak bezmyślnie szafowała darami młodości, urody, sprytu. Okazał nawet coś w rodzaju współczucia, podobnie jak jej rodzona siostra, Ewa, w cytowanym poprzednio liście. Że odczuwał grozę sytuacji i swoją lekkomyślność, widać to również z późniejszego listu Joanny Zaleskiej, która zawiadamia, że Sobańska nie chce zwrócić listów Mickiewicza: «nie będziesz chyba wszczynać o to procesu, pojmując, że nade wszystko *pragnę nie narażać cię na nieszczęście*».

Niedługo po wycieczce na Krym opuścił Mickiewicz Odessę. Sobańska zaś przestała się nim interesować i jako kobieta, i jako agentka. I tu stajemy wobec zagadkowej pobłażliwości. O materiał kompromitujący nie było trudno. Mogła wszakże wiedzieć, że przyjechał do Odessy z listem polecającym od Rylejewa i Bestużewa, musiała podejrzewać, że w Kijowie stykał się z Pestlem i Sergiuszem Wołkońskim i omawiali plany rewolucji. W sześć tygodni po powrocie Mickiewicza z Krymu wybuchło powstanie dekabrystów, aresztują najbliższych mu «przyjaciół-Moskali», wywożą dziesiątki Polaków podejrzanych o udział w Towarzystwie Południowców — Mickiewicz uchodzi i wyjeżdża cały!

Nie należy jednak przeceniać zbyttnio «zbawczej» roli Sobańskiej. Wiadomo, że już za pierwszej bytności nad Nową Mickiewicz (dzięki zaletom osobistym, czy też wpływom masonerii) zdobył sympatię w kołach wojskowych. Sobańska więc chroniąc go wiedziała, że postępuje zgodnie z intencjami tych sfer. A ostrożny i dbały o karierę gen. Witt wiedział dobrze co czyni, wystawiając w liście do Aleksandra I jak najlepsze świadectwo Adamowi Mickiewiczowi.

Zachował wolność i jako wygnaniec polityczny i — co ważniejsza — jako poeta. W końcu października 1826 cenzor moskiewski Kaczenowski podpisał pozwolenie na druk jednego z najświetniejszych dzieł Mickiewicza. «Sonety krymskie» ukazały się z prostą, ale z niezwykle cenną pod względem politycznym dedykacją: «Towarzyszom podróży krymskiej — autor». Do towarzyszy podróży należał i szef wywiadu hr. Witt, i obie jego prawe rączki: Sobańska z Boszniakiem.

Te cztery słowa dedykacji stanowiły dla Mickiewicza bezcenny glejt ochronny nie tylko na chwilę bieżącą!...

GOŚCIE SALONU W PETERSBURGU

Starszy brat Karoliny, Henryk Rzewuski, świetny później pisarz a niedawny uczestnik podróży na Krym, przeniósł się na stałe do stolicy caratu «dla sprawy swojej», jak się mawiało wówczas. Opowiadał anegdoty staropolskie, próżniaczył,

bacząc jednak pilnie, u której moźnej klamki warto by się uwiesić i zrobić najlepszy interes.

Razem z bratem ciotecznym, Konstantym Rdułtowskim, prowadzili w Petersburgu dom szeroko otwarty. Rdułtowski, wykształcony starannie w Anglii i bardzo ambitny, przyjaźnił się z Mickiewiczem, który w styczniu 1825 wpisał w jego sztabuch piękny wiersz uchodzący do niedawna za poświęcony K. Sobańskiej, dalej z malarzem Orłowskim, pianistką Szymanowską i wielu wybitnymi osobistościami świata rosyjskiego.

W latach 1826—1830 Karolina odwiedza często stolicę imperium, w interesach zarówno «służbowych» jak osobistych. Załatwia odeskie sprawy bieżące w biurach 3-go oddziału tajnej kancelarii, a w nadziei, że wreszcie uda się wyżebrać rozwód, naciska na Wittową, która pomimo choroby, stale i konsekwentnie pokazuje drzwi natrętnej kasztelance. Wspañiałe apartamenty K. Rdułtowskiego stają się na ten czas salo- nem przyjęć Karoliny, która swobodniej i... taniej niż w Odessie może tu błyszczeć.

Goście przybywają zaiste wspaniali. Mickiewicz, grymaszący w oficynie Karola Kraya! nad krojem czcionek do «Wallenroda», spotyka się tu kilkakrotnie z Puszkinem (Puszkina «niskiego wzrostu... włókił nogi za sobą niezgrabnie... chód miał koszlawy», a jednak «otoczony był entuzjazmem, zachwyceniem, ekstazą całej publiczności w stolicy». St. Morawski, W Petersburgu, Poznań, 1930, str. 10—12).

W zażyłych stosunkach z Rzewuskimi pozostaje sławetny szef 3-go wydziału, bezpośredni zwierzchnik gen. Wittta, von Fock. Tu Mickiewicz ofiarował mu swoje «Sonety» w pięknej oprawie z dedykacją (jak świadczy M. Malinowski), tu u Sobańskiej prawdopodobnie Puszkina złożył w ciężkiej dla przyjaciela chwili dowód przyjaźni, wręczył bowiem owemu Fockowi bardzo przychylną notatkę, oświetlając proces filomatów w sposób zadziwiająco zgodny z zeznaniami, jakie jeszcze przed pięciu laty złożył Mickiewicz przed Nowosilcowem w Wilnie. Ta notatka przyczyniła się do umożliwienia Mickiewiczowi wyjazdu za granicę w 1829 roku.

Najwięcej wygody z von Focka miała jednakże Sobańska. Nie fatygując się zaraz po przyjeździe z meldunkami odeskimi do biur 3-go wydziału i nie dekonspirując swej osoby, mogła w wygodnym salonie omawiać z szefem swego pana i władcy najbardziej intymne sprawy, mogła jednym skrzywieniem lub uśmiechem skazywać niewinnych ludzi na «tiumnę» czy zsyłkę, mogła wreszcie inspirować i za nos wodzić tego Focka, po myśli instrukcji gen. Wittta.

Gdzie był Mickiewicz i Puszkina, tam nie mogło braknąć kniazia Wiazemskiego. Gdy jednak o Sobańską chodzi, to ten najczynniejszy z «przyjaciół-Moskali» odczuje docisk jej

uroku na swej skórze dopiero w dwa lata później, gdy ją pozna, napisze do żony (7.IV.1830): «Sobańska jest mądra, lecz zbyt wyniosła. Zapytaj Puszkina, czy ona zawsze jest taka, czy tylko przy pierwszym poznaniu?».

Zdaje się, że przez Rdułtowskiego poznała Karolina człowieka, który z czasem wywarł na nią wpływ dodatni i nadał jej występniemu życiu zgoła inny bieg.

Był to Stefan Czyrkowicz, Serb, który służył jako oficer zawodowy w armii austriackiej i podobnie jak generał Langeron przeszedł do służby carskiej. Ani z wejrzenia, ani z postawy duchowej nie przypominał austriackich oficerów kawalerii. «Monstrum prawdziwe z fizjonomii», odznaczał się powagą charakteru i surowością zasad życiowych, ponadto (jak powie po latach o nim Karolina) był «człowiekiem uczciwym w pełnym znaczeniu tego wyrazu». Przyjaciel Mickiewicza Malinowski zapisuje w swym «Dzienniku» (Wilno, 1921, str. 44) pod datą 16 grudnia 1827: «U Przeclawskiego zastałem Serba Czyrkowicza, oficera kawalerii i adiutanta hr. Wittta. Rozmawiali wiele o młodym Rdułtowskim, który z młodzieńczą namiętnością szaleje za jakąś Rosjanką i chce się z nią żenić. Czyrkowicz widząc, że byłoby to z wielką szkodą dla tego świetnego młodzieńca, czyni wszystko, aby go odwieść od tego zamiaru».

Wkrótce później ten dziwny Serb rozpocznie systematyczną pracę nad nawróceniem Karoliny; został bowiem adiutantem Wittta w Odessie. Jak godził swe surowe zasady ze skomplikowanymi obowiązkami służby w wojennej kancelarii odeskiej, nie wiemy — wiadomo tyle tylko, że «bezustannie obserwował z bliska szalone i światowe życie Karoliny» i doszedł szybko do słusznego wniosku, że «nie zasługuje ona na szacunek».

LIST I WIERSZE PUSZKINA

List Puszkina z 1830 roku — znany tylko z brulionu zachowanego w jego papierach — to szczytowe osiągnięcie w karierze Sobańskiej. Gdyby go była dostała do rąk, spłonęłaby rumieńcem największego tryumfu, jaki się zdarzył w jej awanturniczym życiu. Koncept listu zachował się w dwóch redakcjach, z których żadna — zdaniem odkrywców z «Rukoju Puszkina» — nie doszła do rąk adresatki.

Dwa zeznania wybijają się na czoło tego hymnu na cześć Sobańskiej, pisane piękną francuską prozą:

1) «Tobie zawdzięczam nie tylko burzliwe i bolesne upojenie miłosne, lecz również... sporo obawy jaką odczuwam, jaką muszę odczuwać w obliczu istoty tak wyniosłej i złośliwej, że nie sposób mi jej przewyższyć».

2) «Minęło 9 lat od chwili, gdy cię poznałem... Im dłużej myślę nad tym i patrzę, tym lepiej pojmuję, że urodziłem

się po to, żeby ciebie kochać i dążyć za tobą. Wszystko inne jest pomyłką i szaleństwem!».

Nie będziemy obliczać w tej chwili, ile w wyznaniach Puszkina jest rzeczywistego uczucia, ile zaś romantycznej przesady. Zobaczymy raczej, jakie rysy usposobienia Karoliny uwydatniają się w liście.

... «Pani ma przyjemność w tym, aby mnie wytrącać z równowagi...»

... «W obecności Twojej odczuwam jakiś przykry niepokój... Wolę pisać, niż mówić do Pani...»

Dlaczego?

Otóż: «jest w Pani jakaś ironia, złośliwość jakaś, która równocześnie zasmuca, rozgorycza i onieśmiela».

Co gorsza i najgorsza: «W obecności Twojej słowa płynące mi z serca przeinaczają się, stają się pustą, żartobliwą paplaliną... Zaprawdę jesteś demonem, to znaczy istotą, która wątpi i przeczy, jak mówi Pismo».

I jeszcze ostatnie wyznanie, pasujące do pospolitego sposobu Sobańskiej, która zwykła opowiadać swym adoratorom o rozkoszach miłości z innymi:

«... Tak okrutne rzeczy opowiadałaś mi o swojej przeszłości, że nie mogłem, nie byłem w stanie uwierzyć w to, co się działo w ciągu siedmiu minionych lat. Po co to mówiłaś? Aby mnie więcej związać, czy aby się mścić?».

Spróbujemy teraz przełożyć te efektowne, pełne romantycznego patosu uniesienia, na język faktów rzeczywistych, o ile są one, rzecz prosta, dostępne.

Jak dawno ustalono, Puszkina z Sobańską poznali się po raz pierwszy zapewne w Kijowie, w lutym 1821 roku w domu Rajewskich, których syn zakochał się w niej bez pamięci. Swoim zwyczajem kokietowała ona obydwu równocześnie: «Obaj zakochali się we mnie! — opowiadała z dumą Ribasowi, dodając: z Puszkinem zaś czytaliśmy romanse, których nam dostarczał Wilt». O tej lekturze wspomina i Puszkina w liście, a także nawiązuje do sceny «chrztu». Zdarzyło się bowiem, że gdy wstąpili razem do kościoła, Sobańska żartem zanurzyła rękę w kropielnicę i naznaczyła na czole poety znak krzyża.

Do bliższych stosunków ani wówczas, ani później w Odessie nie doszło. Spotkało się bowiem dwoje czystej wody romantyków, którym fikcja literacka zastępowała prawdę życia. Karolina natrafiła w Puszkinie na bliźniaczą cechę usposobienia: aktorstwo miłości, romantyczne pozowanie się na jakąś znaną postać z modnej, zachodnio-europejskiej poezji.

Puszkina okazał się jednak świetniejszym stylizatorem i bujniejszym od niej reżyserem miłości romantycznej. Narzuca rolę nie tylko sobie i jej, ale i całemu otoczeniu. A przychodzi mu to tym łatwiej, że właściwie Sobańska jest mu w tej chwili

(rok 1821—3) obojętna. Może zorientowali się oboje, że posługują się tymi samymi sposobami w sztuce uzewnętrzniania sfingowanych uczuć.

Na wrażliwego Puszkina mogły oddziaływać przestrogi Wacława Hańskiego. Wiemy już, że «czcigodny marszałek Ukrainy», jak go później nazwie Balzak, od chwili wejścia do rodziny Rzewuskich miał sobie za obowiązek ostrzegać ludzi przed urokiem Karoliny. Uczynił to i teraz, bo Puszkina pisze wyraźnie w liście do A. M. Rajewskiego, z października 1823: ...«namiętność moja (do Sobańskiej) uległa znacznemu zmniejszeniu: zakochałem się w tym czasie w innej i postanowiłem, podobnie jak Lara-Hański, który siedzi na mojej otomanie, nie mieszać się więcej do tej sprawy».

Zdecydowany nie prowadzić dalej tego flirtu, tym bezstronnie może obserwować, jaki obrót wezmą zabiegi Rajewskiego; tym chętniej bierze się do stylizacji całej przygody. Roztropnemu Wacławowi Hańskiemu także być bohaterem głośnego poematu Byrona «Lara», bo ten władca wspaniałego zamku miał również hordę niewolników w swym państwie i «z wzgardą patrzył na burze słabszego żywiołu».

Ewa Hańska jest dla Puszkina Atalą z Chateaubrianda, jej siostra Karolina przemianowana zostaje na Eleonorę, bohaterkę głośnej wówczas powieści B. Constanta: «Adolf»; rywalowi Rajewskiemu wreszcie przeznaczona jest rola drugorzędna, obiecuje bowiem zataić przed Sobańską te ustępy z jego listu, które nadają Rajewskiemu «charakter melmoticzewski». Ciawłowski w «Rukoju Puszkina» nie umiał objaśnić tego zwrotu. Otóż «Melmoth» był to poemat jaskrawo byronicznego typu, napisany przez Ryszarda Mathurin, drugorzędny romantyka angielskiego. Podobał się powszechnie, szczególnie z frazy: «Kochałem ją dzieckiem, kochałem ją młodzieńcem, lecz ona mnie nie kochała!»

Pracując w latach 1823—4 w biurze Woroncowa w Odessie, dopuścił się młodzieńcy Puszkina fatalnego błędu taktycznego wobec Sobańskiej. Zamiast ją sławić w rymach, wybrał za przedmiot westchnień żonę swego szefa, zniechęconą przez nią rywalkę, Branicką-Woroncową. Do niej skierował wiersz:

Ostatni raz twą postać miłą
Ważę się myślą tulić dziś
I wskrzeszać sny serdeczną siłą...

I za to został ukarany. Bez większych trudności nagromadziła Sobańska w swym szpiegowskim «dossier» dowody stosunków Puszkina z grudniowcami w Petersburgu i Tulczynie. Nie zamierzała go przy tym gubić doszczętnie. Woroncow też przyczynił się chętnie. Niech go przeniosą gdziekolwiek, byle daleko od salonów Odessy. Wkrótce potem doszedł poetę rozkaz udania się do majątku stryja w Michajłowskoje, gdzie został internowany. M. Ciawłowski w «Rukoju Puszkina», usił-

jąc z nikłych poszlak stworzyć możliwość rzeczywistego, a nie marzonego jedynie romansu Puszkina z Sobańską, narzeka na brak legendy i danych w pamiętnikach współczesnych. Trudno jednak o legendę tam, gdzie nic się nie zdarzyło.

Dopiero jesienią 1829 roku spotkali się powtórnie w kole dobrych naszych znajomych, bo Rzewuskiego, Rdułtowskiego i Mickiewicza. Dnia 5 stycznia 1830 spełniło się to marzenie porywistej snobki, którego ongi w Odessie nie spełnił Mickiewicz: w sztambuchu jej znalazł się wiersz twórcy «Oniegina», dla niej przeznaczony: «Czto w imieni tiebie mojem», który w polskim przekładzie J. Tuwima rozpoczyna się od słów:

Cóż tobie imię moje powie?
Umrze jak smutny poszum fali,
Co pluśnie w brzeg i zmilknie w dali,
Jak nocą głuchy dźwięk w dąbrowie.

Kolekcjonerka autografów była zaspokojona.

Od tej chwili już chyba tylko agentka Benkendorfa mogła potrzebować kontaktu i rozmów z Aleksandrem Puszkinem. Świadczy o tym list, a raczej bilecik z inicjałami C. S. grzeczny, ale wyniośle etykietalny:

Brzmi w przekładzie z francuskiego:

«Zapomniałam wczoraj, że przyjemność zobaczenia się z panem odłożyłam sobie na niedzielę. Bo należało zacząć dzień od wysłuchania mszy św., a potem dopiero pomyśleć o wizytach i interesach. Martwi mnie to, bo opóźnia o jeden dzień przyjemność słuchania pana i rozmowy z nim. Przypuszczam, że pan nie zapomni o poniedziałkowym wieczorze i że wobec podziwu, jaki żywię dla pana, wybaczy mi pan to naprzykrzanie się.

niedziela rano

C. S.».

Słowa o mszy i kościele nie były wykrętem, ale prawdą. Karolina znalazła się bowiem od jakiegoś czasu w kręgu nowych zainteresowań, które miały wywrzeć wpływ na jej życie.

A list Puszkina, raczej brulion listu niewykończonego i niewysłanego, leżał dalej w tece. Zaczadzony urokami Karoliny poeta nie mógł się zdecydować na wybór jednej z dwóch redakcji tego ekstatycznego poematu prozą. Finał pierwszej redakcji kończył się następującym pokornym wyznaniem:

«Dziś 9-ta rocznica dnia, kiedy cię poznałem... Prędeż czy później wypadnie wszystko porzucić i paść ci do nóg... i krążyć jak błędny pielgrzym wokół twego domu w nadziei, że cię spotkam, że cię znów zobaczę...»

Dругa redakcja zakończenia listu była dłuższa, ale interesująca jako efekt czysto artystyczny:

«... a ty zawsze jesteś jednako piękna, jak wtedy w dniu przechadzki, kiedy twe wilgotne palce dotknęły mego czoła...»

Ale to minie, twoja piękność pochyli się i zwiśnie jak lawina. Gdy jej nie stanie, świat na tym straci (le monde aura perdu). Dusza twoja trzymać się będzie jeszcze czas jakiś pośród ruiny tyłu wdzięków i przeminie też; i może już nigdy moja biedna niewolnicza dusza nie spotka jej w nieskończoności wiecznej —

— Ale dusza, cóż znaczy dusza bez twego spojrzenia i bez melodii — chociaż melodia może —

Ostatnia fraza przyszła zapewne Puszkiniowi na myśl pod wrażeniem wspaniałej gry Marii Szymanowskiej zimą 1828 roku w Petersburgu. Zapisał wówczas w sztambuchu znakomitej pianistki: «Ze wszystkich rozkoszy życia jednej miłości muzyka ustępuje, lecz miłość jest również melodią!» (No i lubow' melodia)

W niewiedzy, którą z dwóch form listu wybrać, zdecydował się wreszcie Puszkina na trzecią, najkrótszą. Adresatka uległa wprawdzie zmianie, ale treść była wymowna: *Uczast' moja reszena. Ja żeniuś...*

Natalia Gonczarowa należała do najpiękniejszych kobiet Petersburga.

ANIOL ZBAWIENIA I POCIECHY

Za udział w kampanii 31 r. przeciw Polakom otrzymał gen. Witt wysoki order św. Jerzego drugiej klasy, adiutant zaś jego pułk. Czyrkowicz, który zamiast tkwić wygodnie w kancelarii dywizji poszedł w pole — złotą szablę i dwa krzyże zasługi.

Karolina z Rzewuskich zajęła w tej przełomowej chwili prostą, jedynie wskazaną (naturalnie dla niej!) postawę. Po namyśle i naradzie z Wittem uznała, że obowiązkiem jej jest znajdować się równocześnie po obu stronach barykady: będzie najlepszą, ofiarną i nieustraszoną Polką w zetknięciu z powstańcami, a równocześnie gorliwą służebnicą caratu wobec władz rosyjskich.

Przeprowadzenie tego planu, mimo że wyteżyła cały swój spryt i przebiegłość, natrafiało jednak na przeszkody. Już w samych początkach powstania czołobitny list Sobańskiej, wysłany sztafetą z Odessy do szefa wywiadu Benkendorfa, przyłapany został przez powstańców na Podolu, budząc w społeczeństwie polskim — jak sama później narzekala — «nienawiść przeciw niej i chęć zemsty».

W sierpniu 1831 roku Warszawa się poddała, a gen. Witt mianowany został jej gubernatorem wojennym. Niezwłocznie prawie po objęciu przezeń urzędowania rozbiegła się po całym królestwie wieść krzepiąca i radosna: oto przy boku carskiego generała stoi na straży cud-kobieta, śpieszy na ratunek wszystkim, których on skrzywdzić zamierza. Posłuchajmy jak tkliwie opowiada o tym w swych pamiętnikach Bogusława Mańkowska, córka generała Dąbrowskiego, twórcy legionów włoskich: «... wszyscy czuli się opuszczeni i zgubieni, bez ratunku...

nad nieszczęśliwymi ofiarami krążył anioł zbawienia i pociechy w osobie Karoliny Sobańskiej... Korzystając z wpływu, który miała na generała, naznaczała każdą godzinę dnia innym chrześcijańskim uczynkiem, chodząc po cytadelach i więzieniach, aby uwalniać i wykładać więźniów... Za jej skrytym wpływem przyprowadzano oskarżonych aż do prywatnego gabinetu gen. Witta, gdzie mieli osobiście błagać o złagodzenie srogich wyroków. Świadoma godziny i chwili ukazywała się p. Sobańska pod zasłoną ukrytych drzwi, a na jedno słowo i spojrzenie tej czarodziejki zmieniały się wyroki na łaskawsze» (Pamiętniki, I, str. 294—5, Poznań, 1882).

Po tej umiejętnej reżyserii widowiska poznajemy «czarodziejkę» od razu! Korzystnych interwencji nie brakło istotnie. Prawdomówny emigrant listopadowy, Michał Budzyński, który później za instancją Sobańskiej powrócił do Krzemieńca, stwierdza, że «wybawiła wielu nieszczęśliwych oficerów wojsk polskich od Sybiru i kopalni, Artura Lenkiewicza sama wywiozła z Warszawy».

Karolina uważała, że tych kilka sprytnych i nietrudnych posunięć maże jej winę w zupełności. Należy pamiętać, że w opinii ogółu ówczesnego zarzucano jej tylko «grzeszne i ohydne stosunki z Wittem». I przebaczone jej, bowiem istnienia innych, cięższych przewinień, nikt z tych, co tutaj świadczą, nie przypuszczał nawet.

Również i w Petersburgu zainteresowano się ową dziwną w naturze Sobańskiej przemianą. I o jej «chrześcijańskich uczynkach» więcej zebrano wiadomości, niż wszyscy pamiętnikarze razem wzięci. Krążyły też nad Nową wieści rozmaite. Opowiadano, że Wittowa umarła w swych dobrach, a generał ożenił się z Sobańską i uległ jej nowym nastrojom w zupełności.

A tymczasem Witt sprawował w zdobytym kraju srogie rządy odwetowe z tym większym zapałem, że uśmiechała mu się posada wielkorządcy przy boku Paskiewicza. Niszczył resztki wojska polskiego, przewodniczył komisji sekretnej «do czynienia inkwizycji i klasyfikowania zbrodni rewolucyjnych», aresztował, przesłuchiwał, wysyłał. Z jego rozkazu zarządzono latem 1833 r. pobór dzieci od lat 4 do 12 do wojska. W dniu 14 maja kilkaset chłopczyków powyżej lat 10-ciu, poubieranych w jednakowe płaszczyki z czerwonymi kołnierzami odesłano w więcej jak stu kibitkach do Bobrujska. Matki demonstrowały przed oknami Witta w pałacu Brylowskim. «Okropna rozpacz i trwoga panuje w Warszawie» — notował świadek naoczny (Askenazy Sz., Odgłosy polistopadowe, «Przegląd Polski», t. 187, str. 216).

Karolina już tego nie widziała. Pragnąc usunąć niewygodną już nieco «czarodziejkę» z bruku stolicy, dał jej Witt sposobność do realizacji drugiej części planu. Gorliwa Polka niechże

się teraz okaże gorliwą agentką wywiadu! Zdecydowano, że konieczny jest natychmiastowy wyjazd Karoliny w ślad za rzeszą emigrantów listopadowych, najpierw do Drezna. Wywiad warszawski poczynił bowiem szereg ważnych spostrzeżeń. Z zeznań aresztowanych emisariuszów wynika, że «jakobini» i «wściekle psy» (takimi określeniami zaszczyca sama Sobańska kierowników powstania) przygotowują nową akcję, organizują pozostałe w kraju resztki wojska, które zasilone będzie formowanym na emigracji korpusem ekspedycyjnym. Aby zdobyć konieczne szczegóły, wyjeżdża Karolina do Drezna, gdzie ma polecenie «chodzić po wszystkich krętych i ciemnych ścieżkach, utworzonych przez instynkt zła».

Jedzie za granicę bezpieczna, jak nigdy dotąd, pod opieką legendy. Wszyscy wszak wiedzą, że to «anioł zbawienia i pociechy». Mimo ciężkich i ponurych przejść lat ostatnich czuje się młodziutką i świeżą. O swojej przyszłości myśli również różowo. Z Petersburga nadeszły ostatnio dobre wiadomości o nieuchronnym końcu małżonki Witta. Do Drezna zdążyła na ślub swej córki jedynaczki z księciem Sapiehą (październik 1832). Nie dziw więc, że z zadań szpiegowskich wywiązała się doskonale.

«Dzięki wrodzonemu sprytowi dowiedziałam się wszystkiego, czego mi było potrzeba... Na dowód jak mnie przyjmowano powiem, że nie było w Dreźnie Polaka, który by mi nie złożył wizyty hołdowniczej». Zapewne Adam Mickiewicz, bawiący wtenczas w Dreźnie, nie należał do tej rzeszy.

Wywiad wśród emigrantów w Dreźnie to jedyny odcinek w długoletniej robocie szpiegowskiej Karoliny, o którym coś bliżej wiadomo, dzięki jej własnym zeznaniom. W ciągu kilku zaledwie tygodni zdążyła dzięki doskonałej formie, wzmożonej przebiegłości i bezwzględnemu zaufaniu rodaków, zbierać daty, nazwiska i sugestie, które rząd carski znakomicie rozbujuje i wyzyska przez lat co najmniej dziesięć w ponurej erze ucisku Paskiewiczowskiego. Przyniosła pierwsze raporty o przygotowywanej wyprawie Zaliwskiego i innych projektach.

Jeśli stanął wówczas na ziemi polskiej las szubienic w niewidzianej przedtem ilości,

jeśli zesłano etapem na Sybir setki i tysiące najdzielniejszych, jeśli nie było prawie akcji wyzwoleniczej, podejmowanej przez emigrację, której by carat nie stłumił w zarodku — zawdzięczać to należy przede wszystkim staraniom «anioła zbawienia i pociechy!».

KATASTROFA I SPOWIEDŹ

Tymczasem car Mikołaj I, odpowiadając na propozycję Paskiewicza, aby energicznego Witta mianować jego zastępcą w cywilnym zarządzie Królestwa Polskiego, odpowiedział własnoręcznie co następuje:

«Żadną miarą nie mogę mianować Witta wice-szefem rządu, gdyż ożeniwszy się z Sobańską postawił siebie w tak niekorzystnym położeniu, iż w ogóle nie mogę go dłużej trzymać w Warszawie. Jest to największa i najsprytniejsza intrygantka i Polka, która pod pokrywką sympatii i sprytu każdego złowi w swe sieci, a Witta będzie wodzić za nos dla korzyści własnej rodziny... Sobańska jest tyle wierna hrabiemu jako kochanka, ile Rosji jako jej poddana. Należałoby koniecznie otworzyć oczy Wittowi, jej zaś nakazać powrót do majątku na Podole».

Pomijając mylną wiadomość o małżeństwie, sugestie i informacje cara były najzupełniej trafne. Docisk, jakiego doznała Sobańska, nie miał sobie równych w jej karierze. Została sama na suchej gałęzi. Nadomiar zabrakło w Petersburgu życzliwego przyjaciela, który mógł jej pomóc. Von Fock zmarł w 1831 roku jeszcze, a car powiedział do Puszkina: «Zagadnienie, kto zajmie miejsce Focka, ważniejsze jest od zagadnienia, co zrobimy z Polską». Wobec tego zwróciła się wprost do mało znanego jej osobiście szefa wywiadu, hr. Benkendorfa.

Memoriał raczej niż list, opracowany starannie przez «bardzo pokorną i posłuszną służkę jego Ekscelencji, Sobańską, z domu Rzewuską», doszedł do rąk Benkendorfa w dniu 4 grudnia 1832. Nie była to — niestety — spowiedź generalna z całej działalności szpiegowskiej, raczej omówienie ostatniej wyprawy do Drezna i jej fatalnych skutków, powstałych głównie dzięki temu, że poseł rosyjski w Dreźnie Schroeder, nie powiadomiony w ogóle przez Witta o delikatnej misji Sobańskiej, wysłał alarmujący raport do cara o jej dwuznacznym postępowaniu i kontaktach. Ogólnie tylko daje Sobańska do zrozumienia, że zaczęła pracować dla wywiadu od chwili nawiązania stosunku z Wittem przed 13 laty (tj. od roku 1819). «Pan wie, panie generale, że wszystkie moje uczucia, cała egzystencja, łączą się z nim lub od niego zależą»... «Pan wie, panie generale, że ja nie mam już na świecie ani nazwiska, ani egzystencji, życie moje jest shańbione i skończone w sensie światowym». Tak, ale przy całym niewolniczym stosunku do ukochanego, który ją pohańbił i wykończył, może jednak Sobańska podkreślić swój indywidualny udział w robocie wywiadowczej («Witt opowie Panu o wszystkich odkryciach, jakie wspólnie poczyniliśmy»).

Nie będziemy tu powtarzać ani cynicznych, już poprzednio cytowanych, wynurzeń Sobańskiej o jej pogardzie dla narodu i dla kraju, do którego «ma nieszczęście należeć» —

ani poglądów swoistych na powstanie listopadowe, którego przegrana «zmusiła jakobinów do milczenia»,

ani wreszcie wchodzić w szczegóły drobiazgowo i dufnie opowiedzianej historii wyprawy do Drezna.

Niechaj starczą dwa kluczowe i bardzo smętne wnioski memoriału:

1) «... Oskarżono mnie więcej niż niesprawiedliwie i nie po raz pierwszy spotyka mnie takie nieszczęście».

2) «... nie proszę o nic i nie mam żadnych życzeń... Nie odczuwam nawet poniżenia i nie skarżę się wcale na to, że wyjeżdżam ciężko chora na duszy i na ciele. I tylko dlatego nie upadam zupełnie, bo podtrzymuje mnie myśl, że gniew Jego Ces. Mości zawisnął przez chwilę nad istotą, której drugą religią tu na ziemi było oddanie i miłość dla swojego władcy».

Co prawda, wyraźny rozkaz monarchy nie został wcale wykonany, jako że był troszeczkę nieprzyjemny. Miała udać się niezwłocznie do swego majątku, tj. do Rąbanego Mostu na Ukrainie, do nieintratnej, opuszczonej wioski, gdzie raczej przychudnąć, niż podkarmić się mogła. Nie było tam nijakiej «maison de plaisance», dorosłej do światowych grymasów Karoliny. Pojechała więc do siostry najmłodszej, Aliny, która była w Mińsku za Moniuszką, bratem kompozytora. I tam czekała odpowiedzi na swój list, marząc tylko o jednym: aby najjaśniejszy pan raczył jej pozwolić powrócić do Warszawy.

Nie pozwolił widocznie, bo list pominięto milczeniem. Tekst jego przeleżał aż do ostatnich czasów w skrytce tajnego archiwum i dopiero w 1935 roku ogłoszono go w wydawnictwie «Rukoju Puszkina».

«LASKA DO PODPORY I DOG NA OBRONĘ»

Nie doczekawszy się odpowiedzi ani satysfakcji, opuszczona przez Wittę, który mimo wszystko wdzięczny był Mikołajowi za tak niespodziane zdjęcie zeń tyloletniego oblężenia, zjeżdża Sobańska na miejsce wygnania w Rąbanym Moście.

Miałem w rękę dwa listy jej z tego czasu, dowodzące całkowitego nieobycia z kłopotami dnia, pełne niewiary w siebie oraz naiwnych planów na przyszłość. To pragnie przenieść się do matki, bo na wsi może umrzeć z głodu, to obiecuje, że już do końca dni swoich nie porzuci tej samotni i ciszy wiejskiej, wyjąwszy naturalnie zimę, którą corocznie przepędzi w Kijowie.

Pisze te listy jakaś nieporadna, zmęczona i bezwolna istota; zapewnia, że o wszystkim zapomniiała i już na nic nie czeka. Wierzymy chętnie, że rada była zapomnieć o lesie szubienic i tysiącu zsyłek, których stała się sprawczynią. Natomiast nieprawdą jest, jakoby na nic nie czekała, bo utrzymuje ją przy życiu myśl, że Witt przeciwieś kiedyś do niej wróci.

A wtedy zjawił się Stefan Czyrkowicz, adiutant gen. Wittę, i zalecił kilka równie prostych, jak trudnych do wykonania sposobów ratunku. Musi najpierw «zmienić zupełnie wszystkie swe dawne nałogi i przyzwyczajenia», dalej «odwyknąć od żądzy szukania pustego szczęścia i tkliwości, które tylko potęgują wrodzoną chwiejność jej usposobienia». Powinna «bronić się usilnie przed światem i przed sobą samą», szacunek zaś,

na który dotąd nie zasługiwała, może zdobyć tylko przez długą i gorliwą pokutę.

Trzy są tylko osoby na ziemi, których wspólny wysiłek zdoła ocalić i wyzwolić «biedną, nieudolną, samotną» Karolinę z Rzewuskich. A mianowicie: baronowa Julia Bergheim z mężem i księżna Anna Sergiejewna Golicyna, z domu Wsiewołodzka. Czyrkowicz radził najszczerzej, «oł czystogo serdca», gdzieś bowiem za swych lat petersburskich, zetknąwszy się z sektą bar. Krüdener, ulec musiał silnemu zacządzeniu mistycznemu.

Julia Bergheim była córką, Golicyna zaś najwierniejszą wyznawczynią — baronowej Krüdener. Głośna ta prorokini «łącząc wyrafinowaną galanterię z ostentacyjną nabożnością» owładnięta była na szereg lat umysłem cara Aleksandra I. Wgnana wreszcie z raju nad Newą, udała się wraz z doborowym gromem mistyków i dziwaków płci obojga na Krym i osiadłszy w lichej mieścinie Karassu-bazar próbowała nawracać Tatarów, wygłaszając kazania, z których ani słowa nie rozumieli. Wkrótce potem umarła (1824). Wówczas Bergheimowie wraz z Golicyną, zawsze po męsku ubrana, osiedli w Kurois na południowym brzegu i prowadzili dalej propagandę. Pomagała im pewna stara, w skórę cała zaszyta Francuska, mieniąca się panią Lamotte, słynna z afery o naszyjnik królowej Marii Antoniny, autorytetem zaś rodzaju męskiego był emerytowany profesor niemiecki Zimmermann, który uganiał po «tiurmach» i wioskach, szukając podrzutek i nieletnich tatarskich dzieci, aby je tresować na przyszłe wolne pokolenie ludzkości.

Na intencję dobrotliwego Czyrkowicza, mistyczki z Kurois zgodziły się objąć protektorat nad nawróceniem Karoliny, która przystała chętnie na tę nową podróż na Krym i wkrótce osiadła na pokucie w «Różowym domku», gdyż tak nazywała się przeznaczona dla niej kwatery.

Rezultaty kuracji kazały długo na siebie czekać, ale były wręcz zdumiewające. Po czterech latach «la Dolorosa» — bo tak przemianowano w Kurois dawną Karolinę — zaczęła zupełnie biegle władać zagmatwanym mistycznym żargonem sekty, a jej jasny styl francuski uległ pożądanemu zaciemnieniu. Takimi elaboratami uszczęśliwia z nudów wiele osób, przede wszystkim Ewę Hańską. Miałem w ręku pożegnalny list Dolorosy do Witta, pisany z końcem 1836 roku. Dawna kochanka zawiadamiiała generała, że dostąpiła łaski przejrzenia i oświecenia, że mu przebacza, że się go wyrzeka i że nie ma żadnych pretensji.

Pokuta była skończona. Wtedy Stefan Czyrkowicz, który widocznie traktował całą tę maskaradę na serio, wziął abszyt z wojska i zaproponował jej małżeństwo. W początkach stycznia odbył się ślub, o którym Karolina zawiadamiiała znajomych jednym krótkim, we wszystkich listach powtórzonym frazesem:

«Znalazłam łaskę do podpory i dogę na obronę». Obszerniej i mistycznie rozpisała się w orędziu dziękczynnym wystosowanym na ręce bar. Bergheim (Archiwum Rajewskich, t. II, str. 316).

«Mój pobyt obok was obu był ostatnim rozdziałem całkowitego szczęścia. Bądźcie błogosławione za to i za wszystkie dobrodziejstwa, jakimi rozjaśniłyście mi życie». Wdzięczna głęboko swemu mężowi za wybór tak znakomitego miejsca pokuty, wierzy, że «przy boku tego zamożnego i prawego człowieka znajdzie dalsze szczęście» («Powaga jego charakteru i surowość zasad rozjaśniły całą moją egzystencję... Pragnąc pozyskać jego szacunek, mam wiele nowych obowiązków, przeciw którym buntuje się moja zła natura, pomimo że je uznaje. Ta właśnie powaga mego męża, z uwagi na moje przyszłe szczęście, niepokoi moją rodzinę. Wszelako jest on człowiekiem tak prawym, tak dalece przejętym poczuciem swych obowiązków, iż pewna jestem, że moje szczęście zależeć będzie przede wszystkim ode mnie samej...»). Państwo Czyrkowiczowie osiedli po ślubie w Rąbanym Moście.

BALZAK ZANIEPOKOJONY

Balzak czuwający w Paryżu nad każdym krokiem Ewy Hańskiej w Wierchowni nic z tego wszystkiego nie pojmował i bardzo był zaniepokojony. Oto co pisał jeszcze w październiku 1836 r.: «Mówiła mi pani dawniej, że twoja siostra Karolina to najniebezpieczniejsza z kobiet, a teraz znowu piszesz mi w ostatnim liście, że to istny anioł. Pisze mi pani, że ten anioł zamierza popełnić rzecz, którą nazywam głupstwem niesłychanym, gdyż nie zapomniałem tego, co mi mówiłaś o pułkowniku. Ona będzie bardzo nieszczęśliwa».

Zaniepokoiła Balzaka wiadomość, że swąd mistyczny dotarł już z Kurois do Wierchowni, a trzeźwa Ewa Hańska zaczęła rozczytywać się w Swedenborgu. «Widzę z przykrością — ostrzegał Balzak — że pani studiuje mistyków. Proszę wierzyć, że to fatalna lektura dla tego rodzaju usposobień. To trucizna i narkotyczne odurzenie... Więzy przyjaźni są zbyt słabe, aby głos był wysłuchany. Przedkładam więc tylko prośbę pokorną w tej sprawie... Ja już to przeżyłem i mam doświadczenie» (Lettres à l'Étrangère, I, 350).

Nie mamy żadnych wiadomości, jak dalece szczęśliwa była Karolina Czyrkowiczowa. Już jej nie interesowało zapewne, że gdy gen. Witt zachorował ciężko, żona jego ozdrowiała od razu i przybyła z Petersburga, aby go pielęgnować. Ani się też nie przejęła zbytnio, gdy Witt zmarł po sześciu miesiącach w 1840 roku i to — jak podaje jego przyjaciel Brannicki — «wskutek zawodu miłosnego, doznanego od młodej kobiety, która wyśmiała jego zaloty». W rok później ex-pułkow-

nik Czyrkowicz dostał się do biura gen.-gubernatora Besarabii, Woroncowa, w 1845 roku został nawet wice-gubernatorem, wkrótce jednak poszedł na emeryturę i zaraz potem zmarł (1846).

Karolina postanowiła opuścić na zawsze nienawistny sobie kraj i wyniosła się do Rzymu. Tu decyduje się najpierw na dłuższą pokutę, ale nauczona doświadczeniem «Różowego domku» urządza się nieco praktyczniej. «W oberży, utrzymanej przez jezuitów, opłakiwała grzeszną i burzliwą młodość. Tam ją poznałem — słowa Michała Budzyńskiego (Wspomnienia, Poznań, 1880, II, 260) — i oddawałem jej wizyty w owym domu bogobojnym, gdzie po 10 godzinie nie wolno było przychodzić, aż chyba za pozwoleniem przełożonego, ojca Loyoli, i za jego pozwoleniem tylko wychodziły bogobojne dewotki po tej godzinie na wieczory do miasta. Opłata w takim domu była nadzwyczaj droga, ale za to zabawna pani Czyrkowicz rozumiała dostąpić wszelkiego odpuszczenia dawnych grzechów»...

Było co oglądać w Rzymie, czasu «wiosny ludów» 1848 roku. Mogła widzieć dawnego towarzysza podróży krymskiej, jak z rozwiniętym sztandarem na czele dwunastki legionistów szedł wezwać papieża Piusa IX, aby wziął udział w rewolucji europejskiej. Mogła się spotkać z autorem «Nieboskiej komedii», Zygmuntem Krasińskim, zawarła przyjaźń z naczelnym poetą «szkoły ukraińskiej», J. B. Zaleskim. I tak powoli zapomniawszy o pokucie zaczęła się rozglądać za nowym dogiem i nową laską do podpory. W sierpniu 1850 na wieść o śmierci Balzaka wyjechała do Paryża, pocieszyć ożałobioną siostrę.

W POSZUKIWANIU TRZECIEGO MĘŻA

W Paryżu ożył dawny odeski snobizm i chęć błyszczenia, miarkowane jednak dotkliwymi doświadczeniami przeszłości. Miała już pod sześćdziesiątkę, a mimo to urok jej kobiecości zamiast maleć, wzrastał. Wirtuozerię w mowie doprowadziła do mistrzostwa, właściwego ludziom wieku oświecenia. Nowego męża zdecydowana była szukać w kołach literackich. Roilo się w tej niedowarzonej głowie, że partia z Mickiewiczem, gdyby owdowiał, nie byłaby najgorszą. Przez przyjaciela i krajana J. B. Zaleskiego nawiązała z nim kontakt. Spotykali się u Zaleskich na obiadach i rozmawiali przyjaźnie. Znakomity krytyk paryski Sainte-Beuve już był z nią zaręczony — wedle zeznań ciotki Radziwiłłowej — rozmyślił się w drodze do ślubu.

Dał się natomiast wziąć na małżeństwo Juliusz Lacroix, początkujący, mało jeszcze znany literat, brat głośniejszego Lacroix, pisującego pod pseudonimem «Jacob le bibliophile». Odlubieniec był o 20 lat z dobrym czubem młodszy od Karoliny. Postanowiła wyprowadzić go na ludzi i otoczyć sławą

Dla kariery swych mężów pracować umiała; Czyrkowicz z pułkownika «postąpił» na wice-gubernatora i byłby doszedł wysoko, gdyby nie umarł po drodze.

Wprowadzić Juliusza Lacroix do literatury francuskiej i światowej stało się jednym z celów naczelných salonu, otwartego przy rue St. Honoré.

W Warszawie opowiadano tymczasem, że pani Czyrkowicz została żoną Eugeniusza Scribe, głośnego fabrykanta komedyj.

PARYŻ KAROLINY LACROIX

Stolica zachodnio-europejskiego świata oszołamiła w latach 1850—1860 wspaniałym tempem ruchu, mając dziesiątki tysięcy dorożek oraz modne omnibusy, ciągnięte przez wyborne, nigdy nie męczące się perszerony. Drugą osobliwością było oświetlenie gazowe, trzecią «Napoleon Mały», z rzymską trójką przy imieniu, w paltocie à la Menżykow, z bródką szpiczastą, który obiecywał, że wkrótce zawładnie Europą i naprawi błąd swego stryja. Wesoły imperator stale kokietował salony, które mu — w większości — sprzyjały, zachwycone urodą ces. Eugenii, rozkochane w monarsze, dbającym gorliwie o balety i teatry, o koncerty, wyścigi i rewie konne, gdzie ukazywał się wraz z rozpieszczonym delfinem «Loulu», który był tak nieustraszony, że samemu Lisztowi wytrwale przeszkadzał w czasie koncertu.

Tysiące salonów prowadzonych przez francuskie plutokratki, rosyjskie grabinie lub warszawskie Żydówki, przemianowane na diuszesy, walczyły ze sobą o lepsze. Tu śpiewał i grywał Gounod na 2 fortepianach, tam popisywał się grą na skrzypcach nowy Paganini, zwany Henrykiem Wieniawskim, gdzie indziej Adela Ristori zaraz po spektaklu recytowała kwestie z «Fedry» lub «Medei», lub Włoch Ragzoni usypiał zebranych «płynem magnetycznym». Budowniczy kanału sueskiego Lesseps obiecywał, że za dwa lata skróci o 3000 mil drogę z Europy do Azji, jeszcze sławniejszy morderca lwów Gérard opowiadał jak położył 30-go z kolei króla pustyni, potem czytano wyjątki z trzeciego tomu «Nędzników» Wiktora Hugo, lub dyskutowano nad «Salambô» Flauberta, chóry zaś zaśpiewywały się modnym «Tannhäuserem» i «Piękną Heleną».

Pani Lacroix nie stać było na tak kosztowne atrakcje. Miała do dyspozycji jedynie ten wdzięk, którym w Odessie już w 1825 roku zdołała omamić Adama Mickiewicza. Pozostała «pieszczotką, co w wesołej chwili umie szczebiotać i kwilić i gruchać». I tą zaletą trzymała teraz nierozumny Paryż na uwadze. «Celowała przy tym w opowiadaniu pieprzonych historyjek w formie tak nienagannej, że nawet przełożona sercanek nie mogłaby jej nic zarzucić» (Władysław Mickiewicz). Odświeżając stare, znane wszystkim sekrety dworu Katarzyny II

(gdyż Hercen wydał właśnie jej pamiętniki), zapewniała, że Aleksander I żyje jako pustelnik w głębokiej Rosji, ośmieszała Napoleona I, panią Krüdener i Natalię Gonczarową, czerniła dekabrystów, bijąc nisko czołem przed wielkością Mikołaja I. A Paryż «słuchał, słuchał, słuchał».

Stosownie do wymagań koniunktury (np. w okresie powstania styczniowego) wysuwała swój rzekomy polski patriotyzm na front. Andrzej Koźmian, pragnąc pomóc w 1864 r. komuś uwięzionemu w Warszawie, pisze: «Bez zwłoki udałem się do p. Lacroix, która zna dobrze Berga, bo się w niej ten stary satrapa zakochał...»

Mikołaj Wasiliewicz Berg, znany z dziejów styczniowych, nie był wyjątkiem. Dewiza salonu Karoliny brzmiała bowiem: kto tu wchodzi, musi ulec czarowi słowa gospodyni. «Rozmawiając z nią — stwierdza syn Adama Mickiewicza — odnosiłem łudzące wrażenie, że zakochała się właśnie w tobie; dobrze jeszcze jeśli wychodząc odzyskało się zimną krew i spostrzegło, że jej istotne uczucia pozostaną niezgłębioną nigdy zagadką» (Wł. Mickiewicz, Pamiętniki, I, 267). O Mickiewiczu natomiast mówiła niechętnie, nie chcąc widocznie przypominać, że w ogóle była kiedyś w Odessie. W jakiś czas po śmierci poety rozmowa w salonie zapisana przez J. Fałkowskiego zeszała na temat wielkości twórcy «Dziadów». Jules Lacroix i jego brat, bibliophile Jacob, spytali Henryka Rzewuskiego, co myśli szczerze i rzetelnie o Mickiewiczu.

«Można mieć o nim różne zdania — odpowiedział — ale niezapreczenie banalnym nigdy nie był, nawet wtedy gdy szalał». Wtedy siostra jego Sobańska rzekła mi po cichu: «Tak, to był wielki poeta, ale jakże źle wychowany, jak nieokrzesany!» (Wspomnienia z r. 1848 i 1849, Poznań, 1879, str. 179).

Gdy po kilku latach literat Aër-Rzążewski, zbierając materiały do biografii Mickiewicza, prosił o informacje, Sobańska wyłączyła z ręcznie swą osobę z odeskich erotyków poety, jakoby dotyczących zupełnie innej kobiety, której nazwiska jednak zdradzić nie może. W ogóle będąc mężatką nie mogła ulec pokusom Mickiewicza, zajęła więc stanowisko dobrej «matki» (!) strofującej poetę za «lekkosć w miłostkach». Władysławowi Mickiewiczowi, zainteresowanemu przebiegiem tych rozmów z biografem, przyznała się: «Rozmawiałam z Rzążewskim, ale zawsze tak, aby prawie nic nie powiedzieć!»

W jak pomysłowy sposób starała się przy każdej sposobności windować swego Juliusza na upragniony szczyt rozgłosu, niechaj zaświadczy następujące zdarzenie: w 1861 roku przybył z Polski do Paryża młodzieńki Włodzimierz Światopełk Czetwertyński, skazany później na katorgę za udział w powstaniu styczniowym. Pierwsze kroki po przybyciu do Paryża skierował do Karoliny, aby zaczerpnąć powietrza «stolicy świata».

— A który z utworów mego męża podobał ci się najwięcej, młodzieńcze? — spytała dama na wstępie.

Młodzieniec stropiony — nie wiedział bowiem w ogóle, że pan Lacroix jest pisarzem — zaczął coś bąkać niejasno, więc mu przerwała:

— Brawo! Z zakłopotania twego widzę, że jesteś mego zdania i najbardziej ci się podoba «Młodość Ludwika XI» (*La jeunesse de Louis XI*), tylko wstydzisz się. Naturalnie!... — Po-
czem otworzywszy drzwi do salonu pełnego gości, obwieściła tryumfalnie:

— Oto chłopak z dalekich stron, który jeszcze nic nie wie o świecie, a już orientuje się w twórczości mego męża!

Nieśmiertelni spod kopuły Akademii bywali chętnie na obiadach przy ul. St. Honoré. O fotelu dla Juliusza nie było, rzecz prosta, mowy. Na pocieszenie wystarano się dlań o niełatwe wówczas odznaczenie: wstążeczkę legii honorowej. A gdy odznaczony grafoman wypitrasił wreszcie tragedię o Edypie, o czym na komendę Karoliny musiały się rozpisywać gazety francuskie i polskie, przyznano mu «*prix Monthyon*».

O salonie państwa Lacroix pisano w różnych językach. A. E. Koźmian referował o nim w swych «*Listach*» (Lwów, 1894, t. III—IV), Paweł Delaroche w swym dzienniku (Paris, 1893), a ciotka, Katarzyna Radziwiłłowa, w książce: *My recollections* (London, 1894).

AKCJONARIUSZKA DOMU GRY

W Paryżu przestała wreszcie nękać dawną agentkę wywiadu obsesja, że na starość umrze z głodu pod płótem. Stało się to za sprawą serdecznej przyjaciółki Zofii Kisielewej-Potockiej. Córka Szczęsnego, rodzona siostra znanej nam z Odessy Olgi Naryszki, słynęła w całej, bez przesady, Europie jako znakomita karciarzka, świetniejsza nawet od tej grafini, która była Puszkiniowi wzorem do «*Damy Pikowej*». Kisielewa, w przeciwieństwie do romantycznych zapaleńców, umiała ciągnąć doskonale zyski z tej pasji. Gdy papież Pius IX wymógł na gorliwej katoliczce obietnicę, że nigdy nie zasiądzie do kart, Kisielewa, aczkolwiek cierpiąca na żylaki, grywała po całych dniach stojąco!

Gdy Niemcy zbudowali kolej z Frankfurtu do Homburga, udostępniając połączenie Wiesbadenu i Kissingen ze światem, Zofia Kisielewa, węsząc świetną przyszłość podupadłego domu gry w Homburgu, zakupiła znaczny pakiet akcji tej jaskini gry założonej przez słynnego fachowca Blanka. Za jej poradą Karolina ulokowała w akcjach hamburskich swoje i męża fundusze. Wkrótce potem okrył się Homburg sławą najświetniejszej szulerni kontynentu, do czasu otwarcia kasyna w Monte Carlo.

Każdego sezonu letniego przenośli się odtąd salon Karoliny Lacroix do Homburga i ściągał w obfitości chorych na podagrę magnatów, którzy rano leczyli opuchłe kolana wodą sedlicką, na wieczór zaś wlekli się w elastycznych kaloszach do kasyna, obiecując sobie «zdebankować» je wreszcie doszczętnie! Wdzięczny Blank nazwał jedną z ulic Homburga imieniem Zofii Kisielewej-Potockiej.

Przeminęło 2-gie cesarstwo, a wraz z nim dwie siekierki w życiu Karoliny; prześlinała się jak koszmary sen Komuna Paryska i w obliczu okropności uroczą pani uciekła na wieś i pomagała mężowi w pisaniu wierszowanego elaboratu o tych zdarzeniach: «L'année infâme».

Gdy po Sedanie zaczęła ząbkować republika, p. Lacroix weszła w 9 krzyżyk, jaśniejac bez braku. Bolesław Michajłowicz Markiewicz, podziwiający w Kijowie za panowania Aleksandra I jej urodę, odnalazłby i dziś ten sam «wzrost wspaniały, pyszne plecy i ogniste oko». Bowiem w sztuce konserwowania młodości prześcignęła nawet słynną madame Zajaczek, żonę warszawskiego «ćwierć-króla bez nogi».

Pasjami lubiła sztuki wesołe w teatrach. Jeden z jej wnuków opowiadał mi, że gdy pewnego razu w łoży wesołość ogarnęła zebranych, Karolina wybuchnęła również śmiechem. W tej chwili — niby w metamorfozie Owidiusza — uroczą i świeżą młodką zmieniła się w pomarszczoną, zawiędłą staruchę. Pękły bowiem kunsztowne wiązadła i nitki podtrzymujące torbę zmarszczek i nawisów na głowie pani Lacroix.

Z czasem szczęśliwego zawsze małżonka dotknęło kalectwo zupełnej ślepoty — Karolina znalazła nowy tytuł do reklamy: przez długie lata obiegało bulwary i prasę powiedzonko o «ofiarniej Antygonie ociemniałego Edypa».

Nareszcie 16 lipca 1885 roku w St. Germain en Laye przyszło i jej na koniec. Na łożu śmierci wyjawiała rozpaczonemu mężowi straszliwą tajemnicę: «Oszukałam cię, mój drogi. Mam dziś 93 lata i siedem miesięcy, a nie 83, jak ci zawsze mówiłam».

Natomiast niewdzięczni dziennikarze paryscy, którzy tyle obiadów skonsumowali przy ul. St. Honoré, postarzyli ją szkaradnie po śmierci, pisząc, że brakowało jej kilku miesięcy do stu lat.

«ÉSPRIT TOTAL DE RZEWUSKI»

Udzielając Ewie Hańskiej jakichś ważnych pouczeń praktycznych, usprawiedliwia się Balzak w r. 1844: «Nie wiem zresztą po co zalecać bystrość w postępowaniu kobiecie, która skradła wszystek rozum Rzewuskim, a przy tym posiada małe krecie łapki, opatrzone na końcu oczyma», a w ogóle postawą swoją i poczynaniami wyobraża «esprit total de Rzewuski».

Równocześnie prawie twórca «Komedi ludzkiej» tak scharakteryzował nieznaną mu jeszcze osobiście Karolinę: «Siostra twoja gra wciąż komedię i nie wiem co bardziej podziwiać: iście godną podziwu prostoduszność w twoich słowach o niej, czy jej przewrotność. Już dość dla niej zrobiłaś. Nie dajże się więcej namówić do niczego, bo co byś zrobiła lub nie zrobiła, jej frazesy i zamiary pozostaną zawsze te same».

Przy całym swym niesamowitym sprycie Karolina nie skradła rozumu Rzewuskim. Na każdym kroku ujawniała organiczny brak roztropności i rozsądku. «Była bardzo obrotna, po kobiecemu wyrachowana — spostrzega F. Wigiel, dokładnie ją obserwujący — ale czy była rozsądna? Całe jej życie przeczyło temu». Nawet życzliwi i wdzięczni jej ludzie (jak M. Budzyński) nie byli w stanie traktować Karoliny poważnie.

Próżność, chęć błyszczenia, nakazy mody i snobizm dawały bieg wszystkim jej poczynaniom. Cechowała ją wrodzona bystrość, wyostrzona z czasem orientacja w sprawach artystycznych, natomiast brakło wszelkich podstaw moralnych. I samodzielności w postępowaniu: z rozkazu ojca wyszła za mąż, z rozkazu Witta poświęciła się szpiegostwu, z rozkazu Czyrkowicza mistycyzmowi, z rozkazu Zofii Kisielewej poprawiła swe stosunki materialne.

Pod względem intelektualnym przedstawiała typ złożony, z pogranicza dwóch epok. Umysłowość Sobańskiej była produktem wieku oświecenia, stamtąd wziął początek jej sawantyzm i czujność na modne zjawiska literackie. Od wczesnej młodości terminowała jednak w szkole wojującego romantyzmu. Naczytała się buntowniczych poematów Byrona, nasłuchiwała co mówią ludzie żywi, napatrzyła się na ich ekstrawagancje. Poczula się i ona również jednostką wyjątkową. Najwyższym ideałem stał się dla niej właśnie konflikt jednostki wyjątkowej ze światem, jednostki mającej prawo do walki ze wszystkim co pęta i krępuje nieograniczoną swobodę. Na takiej podstawie wsparła się cała awanturniczność żywota Karoliny.

Talent wywiadowczy ujawniła wyjątkowy, w skali światowej. Zapewne nie istniała w ogóle w epoce «Świętego Przymierza» druga kobieta-szpieg o tak świetnych, wrodzonych i nabytych dyspozycjach. Usługi oddane wywiadowi nawet na małym odcinku odeskim wyrządziły olbrzymią szkodę rosyjskiej i polskiej walce wyzwolenczej. Zacierала za sobą ślady uczynnością i protekcją osobistą w wypadkach, na których jej zależało. Wiele tysięcy ludzi nie wiedziało w ogóle, że jej wyłącznie zawdzięcza swą zgubę, katorgę lub stryczek.

JERZY BOSSAK

SZEŚĆ FILMÓW NA STOLE
SEKCYJNYM

Historię kina radzieckiego poznawało się na ekranach Lwowa w tempie prawdziwie kinematograficznym. Równocześnie z czołowymi filmami produkcji dzisiejszej, pojawiły się inne, starsze o lat kilkanaście, a przecież wciąż jeszcze frapujące młodzieńczą świeżością i niespłówałym, romantycznym kolorytem. W ten sposób można było zrekonstruować sobie drogę, jaką kinematografia radziecka odbyła w ciągu lat kilkunastu. Była to droga od intelektualistycznego, potężnego w swym rewolucyjnym rozmachu dramatyzmu, poprzez bohaterską romantykę filmów opiewających dzieje wojny domowej i pierwsze kroki nowego ustroju — do obrazów nowego bytu, starających się uwypuklić dramatyczne napięcie rozwoju nowego, radzieckiego człowieka. Na tej drodze nie brak było potknięć, ale nie brak było również tryumfów, które wzniosły film radziecki na poziom dotąd nieosiągalny. Dzieła takie, jak «Potiomkin» Eisensteina, «Matka» Pudowkina, «Czapajew» Wasiliewych, «Młodość Maksyma» Trauberga i Kozincewa, «Marynarze z Kronstadtu» Dzygana i wiele innych, weszły na trwałe do historii i żelaznego repertuaru sztuki filmowej, nie tylko w Związku Radzieckim, ale i poza jego granicami. W tym okresie film radziecki przyswoił sobie niezrównaną umiejętność operowania materiałem aktorskim, a przede wszystkim wspaniałą sztukę dramatyzowania rzeczywistości, tym trudniejszą, że trzeba było wnieść się na wysokość historycznego patrzenia i oddać na ekranie trudny do uchwycenia walor dramatyczny konfliktu światopoglądów. Te zalety stanowią trwałą dorobek radzieckiej sztuki filmowej.

Dziś stoi przed kinematografią radziecką zadanie ukazania nowego życia w jego różnorodnych przejawach. Jak zawsze na nowym etapie trudnej, pionierskiej drogi ujawniają się nowe, niespotykane dotąd trudności. Tu przede wszystkim zwrócić należy uwagę na niebezpieczeństwo uproszczonego traktowania rzeczywistości, niebezpieczeństwo powierzchownego szkicowania

problemów. Przy oglądaniu niektórych filmów radzieckich odnosi się wrażenie, że autorzy ich uważają poruszane przez siebie zagadnienia za rozstrzygnięte z góry (i to — w sposób oczywisty dla wszystkich). W ujmowaniu tych filmów ujawnia się brak artystycznego dystansu w stosunku do tematu, brak poetyckiego zadziwienia, które tkwić musi u podstaw każdego dzieła sztuki.

Uwagi te nasuwają się przy analizie kilku spośród niżej omówionych filmów, które różniąc się od siebie tematyką i rodzajem scenicznym, wykazują pewne wspólne niedociągnięcia. Szczególnie wielu spostrzeżeń dostarcza w tej mierze film «Jasna droga»¹, zrealizowany przez utalentowanego reżysera radzieckiego, Aleksandrowa.

U Chaplina mały, niepozorny człowieczek ucieka w niewiadome od kapitalistycznego świata czasów dzisiejszych. U Aleksandrowa baśniowy kopciuszek, śmieszny chaplinowski bohater w spódnicy, staje się budowniczym socjalizmu. U Chaplina świat jest wrogi i groźny, fabryka wyniszcza robotnika, po ulicach snują się bezrobotni, na rogach wartują policjanci. U Aleksandrowa otacza robotnika życzliwość, fabryka jest ojczyzną, a życie urzeczywistnionym marzeniem. W «Czasach dzisiejszych» eksploatator dyktuje potworne tempo pracy, taśma fabryczna staje się narzędziem masowej zbrodni, ręce chaplinowskiego bohatera nabierają nieprawdopodobnej wprawy, ale móżg, zmęczony móżg małego człowieczka, nie nadąza za rękami, omdlewa z wysiłku i wreszcie w jakimś strasliwym skurczu zatracą poczucie rzeczywistości. W «Jasnej drodze» nie maszyna opanowuje robotnika, ale człowiek — maszynę, to on nakazuje jej pracować coraz szybciej, przenika skomplikowany proces produkcji, nieomylnym pchnięciem wprawia w ruch coraz to nowe i nowe warszlaty.

Taka powinna być wymowa «Jasnej drogi». Ale Aleksandrowowi zabrakło chaplinowskiej kultury literackiej, chaplinowskiej subtelności stylu i umiejętności ukazywania życia w jego wielopostaciowym bogactwie. «Czasy dzisiejsze» dają plastyczną wizję maszyny kapitalistycznej i symboliczną, ale mimo to żywą i sugestywną postać chaplinowskiego poszukiwacza prawdy.

Przez kompozycję «Jasnej drogi» nieprzyjemnie prześwieca rewiowy szablon. Upodobania rewiowe Aleksandrowa datują się zresztą nie od dziś. Zrealizowany przed kilku laty film «Wesoła kompania» (dawny tytuł polski: «Świat się śmieje») wywodził się z bezproblemowej i na pół mechanistycznej groteski, którą przed ćwierć wiekiem przynieśli z cyrku Mac Sennett i Chaplin, oraz z czysto dekoracyjnych pomysłów współczesnej

¹ «Jasna droga». Reżyseria — G. Aleksandrow, scenariusz — A. Ardow, muzyka — I. Dunajewski, w roli głównej L. Orłowa. Produkcja wytwórni «Mosfilm», rok 1940.

amerykańskiej rewii filmowej («Broadway», «Poszukiwaczki złota»). Ślady tych samych upodobań odnajdujemy we wszystkich następnych filmach Aleksandrowa («Cyrk», «Wołga, Wołga», «Jasna droga»). Jednakże już w «Cyrku» zaobserwować można charakterystyczne przesunięcie zainteresowań realizatora: groteska i rewia schodzą na plan dalszy, film posiada realistyczną fabułę, którą uwydatnia zręczny i aktualny akcent społeczny (sprawa rasowa). W «Wołdze» daje Aleksandrow galerię świetnie podpatrzonych postaci komediowych, wziętych z rzeczywistości. Film ten, pełen dynamicznego humoru i satyrycznych obserwacji (świetna figura biurokratycznego «opiekuna» młodych talentów), był najlepszym chyba — jak dotąd — osiągnięciem współczesnej radzieckiej komedii filmowej.

W stosunku do «Wołgi, Wołgi» «Jasna droga» jest wyraźnym krokiem wstecz. W tym filmie realistyczną spostrzegawczość zastąpiła płytką stylizacja. Aleksandrow zdradził komediowy realizm dla rewiowego efekciarstwa, papierowych wycinanek i martwych, dwuwymiarowych rekwizytów. Film przynosi rozczarowanie tym dotkliwsze, że u podstaw scenariusza dopatrzyć się można błyskotliwej koncepcji literackiej. W artykule poprzedzającym premierę «Jasnej drogi» pisał reżyser, że chciał w filmie zatrzeć granice rzeczywistości i fantazji, po to, by pokazać, jak rzeczywistość radziecka prześciga najśmielsze fantazje. Trzeba to rozumieć tak, że Aleksandrow sięgnął w dziedzinę poetyckiej hiperboli i metafory, żeby tym lepiej pokazać patos i fantastyczność rzeczywistości. Ale metafory Aleksandrowa są oschłe. W kulminacyjnej scenie filmu latający samochód unosi kopciuszka w podniebną podróż po «zaczarowanej krainie rad». Ale w tej scenie nie ma ani trochę poetyckiego żywiołu, nie ma gry wyzwolonej fantazji, metafora nie poparta wyćwiczoną wyobraźnią artysty chybia celu. To samo dzieje się z inną metaforą, która zbyt dosłownie, a za mało plastycznie, obrazuje «jasną drogę», otwierającą się przed bohaterką. Film mógł być afirmacją potężną i radosną, gdyby nie rewiowa łatwizna i ciasna typizacja charakterów, przed którą Aleksandrow nie zdołał się ustrzec. W «Jasnej drodze», niczem w szopce wigilijnej, nie ma ani jednego żywego człowieka, ani jednej obserwacji psychologicznej, ani jednej komediowej sytuacji, natomiast każdy «typ» prosi się o szporkową etykietkę i własny kuplet czy monolog. Kuplety są zresztą, a etykietki nie trudno przylepić: wzorowa robotnica, wzorowy inżynier, wzorowa aktywistka, wzorowy szkodnik (вредитель), wzorowy safandula (шляпа), wzorowy biurokrata-asekurant (перестраховщик). Wszyscy ci ludzie są tak schematyczni, że po prostu obeszło się bez indywidualnego rysunku komediowego. «Jasna droga» nie rości sobie zresztą pretensji do rangi komedii, a scenariusz, zgodnie z manierą rewiową, szereguje wydarzenia według jakiegoś prymitywnego schematu. Martwość stylizacji ożywił Aleksandrow szeregiem

gagów, w których raz jeszcze zabłysnął wirtuozerią wytrawnego znawcy materiału filmowego. Kiedy Orłowa pracuje w rytmie nadawanej przez radio gimnastyki porannej, odżywa na ekranie niezawodna chaplinowska groteska (na marginesie: komizm oparty na układach rytmicznych, na prostych kompozycjach napięć ruchowych, zyskał nowy walor od czasu wprowadzenia filmu dźwiękowego; współczesna komedia filmowa często o tym zapomina). Oczywiście jednak, te chwytły techniczne nie pomogły wykrzesać z bohaterów ani odrobiny ciepła, a co gorsze ostatecznie odebrały widzowi przekonanie o realności przedstawianego świata. W filmie jest mowa o ruchu stachanowskim, o depeszy od Mołotowa, jest Kreml i nawet Wszechzwiązkowa Wystawa Rolnicza — mimo to akcja rozgrywa się gdzieś poza granicami realnego świata, w dziwnym, papierowym środowisku czarnobiałych czy raczej bezbarwnych manekinów.

Podobnie ma się sprawa z «Nauczycielem»² Gerasimowa. Jest to jeden z tych filmów, których bohaterami mają być produkujący ludzie społeczeństwa radzieckiego. Bohater Gerasimowa wyrzeka się ponęt wielkiego miasta i wraca do wioski rodzinnej, żeby tam współdziałać w budowie nowej kultury. Scenariusz usiłuje zogniskować akcję wokół spraw nauczyciela i szkoły, wokół walki o rozwój kulturalny wsi radzieckiej. Ale Gerasimow jest zwolennikiem ciasno pojętej autentyczności i w pogoni za prawdą dokumentalną unika wszelkiej indywidualizacji, wszelkiej jednorazowości sytuacyjnej. Nauczyciel jest człowiekiem «typowym» w ograniczonym rozumieniu tego słowa. Podobnie «typowa» jest wieś, w której prowadzi swoją trudną i odpowiedzialną pracę. Gerasimow nie zapomina przy tym o szczegółach i pedantycznie prowadzi bohatera przez liczne etapy tej drogi, którą ma przed sobą młody radziecki nauczyciel wiejski. Ale ani przez chwilę nie odbiega od surowej, reportażowej niemal selekcji faktów. Rezultatem tego jest nadzwyczajne ubóstwo tworzywa literackiego, szczególnie rażące wobec obiektywnego bogactwa materiału tematycznego. Gerasimow zapomina widocznie, że bez psychologicznego pogłębienia nie ma zwartej akcji i realistycznej, oszczędnej ekspresji. Bez psychologii zatracą się również napięcie ideowe i trzeba to wszystko markować gadulstwem, emfazą i wręcz barokową manierą aktorską. W «Nauczycielu» zredukowana do schematu akcja rwie się na strzępy, a dobrze pomyślane konflikty rozchodzą się po kościach.

Jest w filmie trafna w koncepcji postać byłego uczestnika wojny domowej, starego wiejskiego aktywisty, który ani rusz nie może zrozumieć, po co syn jego, po tylu latach nauki, wrócił do wioski rodzinnej. Widocznie nie dorósł do wielkich

² «Nauczyciel». Reż. i scen. — S. Gerasimow, w roli gł. B. Czirkow. Wytw. «Lenfilm», rok 1940.

czynów, nie umiał nic zdziałać i co najwyżej potrafi uczyć wiejskie dzieciaki? Ambicja starego bardzo na tym cierpi. Był zawsze dumny z syna i teraz wydaje mu się, że cała wieś śmieje się z tej jego dumy. Można by ten wątek rozwinąć, można by uczynić zeń prawdziwą oś dramatu, ale Gerasimowowi — ascecie nie starczyło materiału literackiego i wszystko gaśnie po chwili jak mokra zapałka. Jest i drugi dobry pomysł: młody nauczyciel urządza dla mieszkańców wsi «wieczór pytań i odpowiedzi». Paru durniów usiłuje podkopać powagę nauczyciela złośliwie sformułowanymi pytaniami. Mogłaby i z tego wyniknąć jakaś żywsza akcja dramatyczna, ale Gerasimow znów konflikt zaciera, obawiając się, że trzeba będzie wyjść poza granice ciasno pojętej typowości. Film rozłazi się na luźne kawałki, z których każdy poświęcony jest innej sferze działań bohatera. Zdaje się, że najwięcej starań włożył reżyser w sceny inauguracyjnej lekcji w szkole, kiedy nauczyciel przebojem zdobywa serca swych wychowanków. Ale w tych scenach właśnie najwyraźniej ujawnia się fałszywie patetyczny ton, do którego zmusza realizatora lekceważenie wartości psychologicznych. Dobry aktor, Czirkow, który gra rolę nauczyciela, czyta dzieciom nowelę Czechowa stylem prowincjonalnego hamleta. Kiedy kończy — nikt z uczestników sceny nie może opanować wzruszenia. Płaczą dzieci, zdrowe wiejskie urwisy, i płacze nawet sam nauczyciel. Takie są manowce ascezy.

W konsekwencji cały ciężar dramatu spada na wątek miłosny. Jest to konwencjonalny i niewątpliwie wzorowy romans nauczyciela z wiejską dziewczyną, która szybko — trochę za szybko — podciąga się do jego poziomu kulturalnego. Zakochani kręcą się w kółko i po prostu nie mogą się dogadać. Dramaturg — odpowiedzialny za metraż filmu — czuwa, by od dawna dojrzałe do wypowiedzenia słowa nie padły przed czasem. I tu raz jeszcze uwidacznia się, jak autor, unikający skrótów artystycznych w obawie o prawdę, wpada w pułapkę literackiego konwensansu, który naiwnie uważa za «typowy» dla rzeczywistości.

«Nauczyciela» znamionuje uporczywe dążenie do prostoty, ale w ujęciu artystycznym autora filmu prostota zlewa się niepostrzeżenie (dla scenarzysty, ale nie dla widza) z publicystycznym schematem. Gerasimow zapomina, że realizm w sztuce ujawnić ma stosunek *żywego* człowieka do rzeczywistości, załamywanie się tej rzeczywistości w psychice jednostki i kolektywu. Realizm Gerasimowa jest realizmem statystyka, który operuje materiałem średnich arytmetycznych. Schemat informuje, ale nie porywa, ilustruje rozwiązane zagadnienia, ale nie pomaga widzowi w rozwiązywaniu ich.

Dobrze się stało, że niemal równocześnie z filmem Gerasimowa ukazał się na ekranach podobny w założeniach tematycznych, ale bez porównania ciekawszy jako dzieło sztuki

«Członek rządu»³. Film ten ukazuje nam proces wewnętrznej rozbudowy nowego człowieka i konstruuje głęboki w uogólnieniach dramat psychologiczny, określony rzeczywistym spłotem przesłanek życiowych, aktualny w perspektywie przeżywanego okresu.

Scenariusz opowiada o pamiętnej wiosnie r. 1930, kiedy wieś radziecka stała się terenem nowej rewolucji agrarnej. Na tle historycznych wydarzeń pierwszego etapu kolektywizacji ostro zarysowuje się postać Aleksandry Sokołowej, małopięsmiennej wyrobniczki wiejskiej, która w nowych warunkach staje się nie tylko aktywnym działaczem wiejskim, ale przywódcą i wychowawcą nowej wsi. W «Członku rządu» konflikty nie są oparte na wykoncypowanych nieporozumieniach, ale społecznie i psychologicznie uwarunkowane, dostatecznie jasne dzięki wnikliwej i syntetyzującej spostrzegawczości i żywemu talentowi opisowemu twórców oraz wyjątkowo plastycznej charakterystyce środowiska.

Sokołowa rwie się do pracy społecznej. Wszystkie jej wysiłki rozbijają się początkowo o upór męża, który chce mieć «babę dla siebie». Obok bohaterki jest Jefim Sokołow najwyraźniejszą i najtrafniej zarysowaną postacią filmu. Ambitny, uczciwy, ale po chłopsku ciasny i konserwatywny, porzuca żonę w chwili, kiedy spółdzielcy obierają ją kierowniczką kołchozu. Aleksandra kocha męża, ale wiara w słuszność obranej drogi nie pozwala jej się cofnąć. Z tym większą zapamiętałością poświęca się pracy. Na drodze jej staje wszystko co stare, ciasne, ciemne. Przeszkadzają jej, starają się zastraszyć, wyśmiać. Kolektyw trzeszczy w więzaniach, coraz to nowe trudności stają na drodze młodej spółdzielczości wiejskiej. Powszednie trudności pionierskiej pracy splątują się z podstępną robotą wrogów w węzeł niemożliwy — zdawałoby się — do rozwiązania. Ale Sokołowa węzeł przecina, dzięki wrodzonej inteligencji i żarliwej wierze w sprawę, którą kieruje.

Z elementów psychologicznej i opisowej spostrzegawczości budują twórcy filmu przekonywający i plastyczny obraz nowej wsi radzieckiej. Problemy logicznie zająbiają się o siebie, żywa płatanina zjawisk układa się w dramatyczną prawdę. To co w «Nauczycielu» było martwą rekwizytornią, staje się tu bezpośrednim realistycznym widzeniem rzeczywistości. W oczach widza rodzą się i utrwalają kadry budowniczych nowej wsi, przewartościowaniu ulegają dotychczasowe kryteria oceny człowieka, rozwija się pokolenie zrosniętej z wsią inteligencji. Podobnie jak bohater Gerasimowa, zostaje Sokołowa członkiem Rady Najwyższej, ale tym razem zakończenie takie wydaje nam się nie tylko słuszne, lecz niemal konieczne. I pełne namięt-

³ «Członek rządu». Reż. — N. Zarchi i J. Chejfic, scen. — Katarzyna Winogradowa, w roli gł. W. Marecka. Wytw. «Lenfilm», rok 1940.

ności słowa byłej wyrobnicy, która z wyżyn kremlowskiej trybuny woła, że przysłała uchwalić «największe w świecie prawa», brzmią jak prawdziwy manifest zwycięstwa.

Dobrym poziomem literackim i starannym opracowaniem psychologicznym wyróżnia się również film «Jakub Swierdłow»⁴, pierwszy z zamierzonego na wielką skalę cyklu «Życie znakomitych bolszewików». Zadanie było szczególnie odpowiedzialne, Swierdłow jest bowiem jedną z najwybitniejszych postaci w historii rosyjskiego ruchu robotniczego. Na ekranie postać Swierdłowa zjawiała się już wielokrotnie, zawsze jednak w charakterze raczej epizodycznym. Należy pamiętać, że rodzaj biograficzny nastrocza w filmie specyficzne trudności, przede wszystkim ze względu na ogrom materiału faktycznego, który trzeba pomieścić w ograniczonych ramach spektaklu. Z konieczności trzeba scenariusz rozbić na szereg mniej lub więcej luźno ze sobą związanych fragmentów, co pociąga za sobą poważne niebezpieczeństwa. Tych niebezpieczeństw twórcy filmu na ogół szczęśliwie uniknęli. Film stanowi dość zwartą całość kompozycyjną, przy czym najlepiej powiązane są poszczególne etapy pierwszej części. Pyszny jest obraz niżno-nowgorodzkiego jarmarku, na którym poznajemy młodego Swierdłowa i dalej — epizod ze szpicem w garderobie śpiewaka oraz ucieczka łodzią przed ścigającą rewolucjonistów policją. Tempo każdego wycinka zdarzeń ekranowych odmierzone jest z matematyczną ścisłością, dobrze kontrolowany rytm akcji wzrasta stopniowo, niekiedy rozmyślnie powstrzymywany, a potem przyspieszany na nowo. Ta rytmizacja wymaga poczucie konieczności, którego doznaje widz, śledząc losy Swierdłowa, nielegalnego działacza. Film ma szerokie, epicko-dramatyczne założenie i świetnie wydobywa atmosferę epoki. W scenach takich, jak zebranie w mieszkaniu śmiertelnie chorego towarzysza, aresztowanie Swierdłowa, więzienie i proklamacja głódówki, wreszcie w scenie rozmowy Stalina i Swierdłowa na zesłaniu, odnajdujemy najprawdziwszą romantykę i ten sam rewolucyjny patos, który cechuje «Czapajewa» i «Młodość Maksyma».

Matematyczna logika kompozycji i montażu załamuje się nieco, kiedy nadchodzi pora ukazania Swierdłowa w roli budowniczego młodej państwowości radzieckiej. Na niewątpliwe dobro scenarzystów zapisać trzeba, że ani na moment nie zrezygnowali z poziomu literackiego. Poszczególne fragmenty nie wiążą się już wprawdzie tak płynnie, jak w pierwszej części filmu, ale mimo to faktura i dialog zachowują nerw, sytuacje i konflikty są nadal zajmujące, pełne scenicznego życia i dokumentalnej ścisłości. Tu jednakże nasuwają się pewne zastrze-

⁴ «Jakub Swierdłow». Reż. — S. Jutkiewicz, scen. — B. Lewin i P. Pawlenko, w rolach gł. Z. Lubaszewski, M. Sztrauch, N. Krinczakow, A. Kobaładze. Wytw. «Sojuzdetfilm», r. 1940.

zenia: w całym fragmencie odnoszącym się do roli Swierdłowa w rozwiązaniu Konstytuanty poznaliśmy, ku naszemu zdumieniu, wycinek z innego filmu, zdaje się, że «Dzielnicy Wyborskiej» Kozincewa i Trauberga. Nie sądzymy, by tego rodzaju praktyki licowały z powagą tematu, tym bardziej, że między stylem Jutkiewicza a realizatorów «Dzielnicy Wyborskiej» zachodzą istotne różnice. Dla widzów «Swierdłowa» obraz Konstytuanty może się wydać nie dość zrozumiały, podczas gdy w filmie Kozincewa i Trauberga przeprowadzona została drobiazgowa charakterystyka bohaterów tego historycznego wydarzenia. Charakterystyka ta do filmu o Swierdłowie nie została włączona.

I wreszcie jeszcze jedno zastrzeżenie: śmierć Swierdłowa następuje w filmie zgoła nieoczekiwanie. Przyczyny jej trzeba potem wyjaśniać w zbytecznym, mało scenicznym dialogu. Sądzymy, że zaważył tu pośpiech z jakim film wykańczano. Tym samym pośpiechem należy zapewne wyjaśnić również historię z «pożyczką» fragmentu, odnoszącego się do Konstytuanty.

Mimo te niedociągnięcia film o wielkim rewolucjonście uważać należy za bardzo udany. Z tym większym zainteresowaniem czekamy na dalsze dzieła tak pomyślnie zainaugurowanego cyklu.

W zestawieniu z takimi osiągnięciami, jak «Członek rządu» i «Jakub Swierdłow», refleksje natury bardzo specjalnej budzi film «Moja miłość»⁵. Miała to być komedia pomyłek, ale największą pomyłką była chyba realizacja tego filmu. Na ulicach i w gmachach publicznych wiszą kolorowe plakaty: Pracować pełnych 480 minut! Ale «Moja miłość» bezceremonialnie zachwala życie próżniacze i bezmyślne. W miarę oglądania filmu widz utwierdza się w przekonaniu, że padł ofiarą brzydkiej mistyfikacji. Bohaterami tej osobliwej komedii są zagadkowi studenci, którzy całymi dniami — pełnych 480 minut! — grają w siatkówkę i na puzonach, a wieczorem pracowicie tańczą slowfoxa. Jest to dziwaczny światek plotkujących kołtunów, względem których autor filmu odczuwa niepokojącą widza solidarność. Główną osobą w filmie jest pewna przystojna studentka, która musi — biedaczka — udawać matkę własnego siostrzeńca i w związku z tym ma różne przykrości. Nic dziwnego zresztą, studenci lubią pasjami plotki, prowadzą przy tym długie i nudne dialogi. Film jest nieprzyjemnie egzotyczny. Trzeba obejrzeć kilka tuzinów salonowych farsideł «z samego Wiednia» anno 1925—1930, żeby zrozumieć skąd się wzięła na radzieckim ekranie paczka próżnujących plotkarzy. Trudno doprawdy zrozumieć, komu potrzebna była ta dziwaczna transplantacja typów.

⁵ «Moja miłość». Reż. — W. Korsz-Sablin, scen. — L. Prut, muzyka — I. Dunajewski, w roli gł. L. Smirnowa. Wytw. «Radziecka Białoruś», r. 1940.

Od komedii amerykańskiej można się niejednego nauczyć. Byłoby dobrze, gdyby realizatorzy filmu przestudiowali uważnie «Ich stu i ona jedna», nauczyli się zręcznie wiązać sytuacje, zdobyli trudną sztukę logicznego wplątania wstawek muzycznych i subtelniejsze wyczucie dynamiki akcji. Tych walorów nie znajdujemy, niestety, w filmie, który postawił sobie za wzór wiedeńskie skecze filmowe. Przy tym wszystkim autor usiłuje w nas wmówić, że «Moja miłość» rozgrywa się w warunkach radzieckich i żeby uprawdopodobnić mało oryginalną i niedowcipną intrygę, dosłownie stawia rzeczywistość na głowie. Tego robić nie wolno. Twórców komedii obowiązuje co najmniej lojalny stosunek do rzeczywistości.

Nieumiejętność formułowania zagadnień doprowadziła do tego, że autorzy «Mojej miłości» dali nie ilustrację rzeczywistości (co było zapewne ich zamiarem), ani nawet nie literacki komentarz do niej, ale najoczywistszą karykaturę. Tym właśnie brakiem powagi w ujmowaniu tematu różni się «Moja miłość» od wszystkich wyżej omówionych filmów, zarówno udanych jak chybionych, kwalifikując się raczej jako zjawisko w kinematografii radzieckiej odosobnione.

Znacznie wyższy gatunek artystyczny reprezentuje inna komedia — «Muzyczna historia»⁶.

Jest to opowieść o rozśpiewanym szoferze, który zostaje operowym solistą. Zdaje się, że autorzy chcieli pokazać na ekranie proces dojrzwania talentu, ale ten zamiysł nie bardzo im się udał. Szofer Goworkow nie śpiewa ani o jotę gorzej niż Goworkow, solista teatru operowego imienia Kirowa w Leningradzie. W ogóle film nie zdołał ustrzec się od prostolinijności, która jest najgorszym wrogiem wszelkiej konstrukcji dramatycznej. Kariera Goworkowa narasta z arytmetyczną regularnością: nasamprzód produkcje przy kierownicy, potem kółko twórczości samorodnej, amatorskie przedstawienie «Eugeniusza Oniegina», wreszcie konserwatorium i scena operowa. Tak może wyglądać opowiadanie babci Goworkowa o utalentowanym wnuczku. Historia jest ogromnie uproszczona, nie ma w niej żywołu walki, bohaterowi wszystko udaje się zbyt łatwo, nawet jeśli wziąć pod uwagę opiekę, jaką państwo radzieckie otacza wszystkie talenty. Przecież taki człowiek, jak szofer Goworkow musi przejść niejedno załamanie, niejednen kryzys wewnętrzny, nim stanie się dojrzałym artystą. W «Muzycznej historii» jest tylko jeden moment dramatyczny, kiedy bohater nie jest w stanie zaśpiewać arii z Oniegina (pod wpływem brzydkiej i mało prawdopodobnej intrygi rywala), ale nawet ten sztucznie doczeptiony konflikt przebrzmiewa bez echa.

⁶ «Muzyczna historia». Reż. — A. Iwanowski i G. Rappaport, scen. — E. Pietrow i S. Munblit, w roli gł. S. Lemieszew. Wytw. «Lenfilm», r. 1940.

Zaletą filmu są dowcipne pointy, które właściwie akcentują partie muzyczne filmu i nadają całości pewien swoisty wdzięk. Wielka szkoda, że i tym razem przeważała tendencja do tuszowania powszednich, życiowych trudności. Film jest stanowczo przesłodzony. Lemieszew ma przyjemny, ciepły głos, który dobrze brzmi w mikrofonie. Warto pomyśleć o scenariuszu, który da mu większe pole do popisu.

Zasadniczą wadą większości omawianych filmów jest słabość opracowania literackiego. Autorzy ich ugrzęźli w złe pojmowanie, uproszczonej typowości i prymitywnym schematyzmie psychologicznym. Realizm filmowy musi dać widzowi nie tylko potwierdzenie, ale i poparcie jego przeżyć, musi nie tylko apełować do jego uczuć, ale uczucia te wywoływać. Odnosi się wrażenie, że niektórzy radzieccy dramaturdzy filmowi za bardzo się przerazili straszaka psychologizmu. Nie należy utożsamiać psychologizmu z sumiennością obserwacji artystycznej. Wskazuje na to między innymi rzetelny i zasłużony sukces takich filmów jak «Członek rządu» i «Jakub Swierdłow». Filmy te są przykładem właściwego ujmowania zagadnień nowej rzeczywistości przez kinematografię radziecką. Wykazały one raz jeszcze, że tylko sumienny rysunek psychologiczny otwiera prawdziwe perspektywy na psychikę nowego człowieka, który jest właściwym bohaterem radzieckiej sztuki filmowej.

KSIAŻKA POLSKA W 1941 r.
PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO MNIEJSZOŚCI
NARODOWYCH USRR

Lwowska filia Państwowego Wydawnictwa Mniejszości Narodowych Ukrainy jest obecnie największym w Związku Radzieckim wydawnictwem książek w języku polskim. Filia założona została 1 stycznia 1940 r. dla wydawania książek polskich ze wszystkich dziedzin, szczególnie jednak podręczników szkolnych dla szkół polskich Ukrainy i Białorusi Radzieckiej.

Rok 1940 wykazał, że słuszne było przesunięcie punktu ciężkości wydawnictwa książek polskich na Lwów. Są tu wykwalifikowane kadry specjalistów, jest duży ośrodek biblioteczny z bezcennymi zbiorami dawnego Ossolineum i wreszcie szeroka, do dziś jeszcze niewyzyskana w całej pełni baza techniczna — piękne, doskonale zaopatrzone drukarnie, specjalnie przystosowane do druku książek polskich.

Na pierwsze zawołanie skupiły się wokół wydawnictwa kadry inteligencji.

Profesorowie i pracownicy naukowcy wyższych uczelni: Kleiner, Boy-Zeleński, Fischer, Łempicki — konsultanci podręczników literatury polskiej, Taszycki i Hrabec — redaktorzy gramatyki, Romer — konsultant terminologii geograficznej, Szymkiewicz i Badian — redaktorzy botaniki i przyrody, Reich — redaktor anatomii i zoologii, Piotrowski — redaktor mineralogii i geologii, Rybka — redaktor astronomii, Raabe — redaktor podręcznika darwinizmu, Czerny — redaktor podręczników języka francuskiego i Klinghofer — niemieckiego.

Krytycy i historycy literatury — Boreisza, Charszewski, Hopensztand, Hoffman, Garbaczowska, Kreczmar, Niemiec, Schipper, Wachtel, Wasylewski i inni.

Historycy — Bieńkowski, Werfel i inni.

Literaci — Brzoza, Ginczanka, Góraska, Jastrun, Kosko, Kott, Kożuch, Lec, Pasternak, Przyboś, Putrament, Słobodnik, Szenwald, Ważyk, Żyranik.

Pedagodzy i pisarze dla dzieci — Bilis-Gołąb, Charszewska, Koszutska, Kuroczko, Piach, Skrzyszewski, Ramberg.

150 współpracowników, 40 pracowników wydawnictwa — oto kadry, które pracują nad polską książką we Lwowie i dać mają krajowi w roku 1941 — 246.000 książek z dziedziny marksowsko-leninowskiej, 143.000 egzemplarzy masowej literatury politycznej i antyreligijnej, 81.000 egzemplarzy powieści, 33.000 tomików poezji, 36.000 tomów klasyków, 170.000 egzemplarzy przekładów, 16.000 egzemplarzy dzieł zbiorowych o Leninie i Stalinie, 70.000 egz. dzieł krytycznych, 179.000 książek dla dzieci i młodzieży i wreszcie 1.000.000 podręczników, programów i pomocy naukowej.

Plan ten, trzykrotnie większy od planu na rok 1940, w drobnej tylko mierze zaspokaja rosnące potrzeby kulturalne ludności polskiej Ukrainiejskiej SRR i Białoruskiej SRR — rozmiary jego nadają jednak pracy wydawnictwa znaczenie wyjątkowe dla dalszego rozwoju polskiej kultury socjalistycznej.

Warto więc poświęcić temu planowi nieco więcej uwagi.

Plan otwiera dział książek marksowsko-leninowskich zawierający 31 pozycji. Między innymi ukażą się: Marksa «Wojna domowa we Francji»,

Engelsa «Pochodzenie rodziny, własności prywatnej i państwa», «Rozwój socjalizmu od utopii do nauki»; dwa zbiory prac Lenina i Stalina «O Konstytucji Radzieckiej», «O Ukrainie»; Lenina «Położenie robotników i chłopów w carskiej Rosji», «Najbliższe zadania władzy radzieckiej», «Rewolucja proletariacka i renegat Kautsky», «Co robić?», «Państwo i rewolucja», «Dwie taktyki socjaldemokracji w rewolucji demokratycznej», «Krok naprzód, dwa kroki wstecz»; Stalina «O podstawach leninizmu», «Przyczynę do zagadnień leninizmu», «Referat na XVIII zjeździe WKP(b)».

W dziale tym kółka studiów nad marksizmem-leninizmem odczuwają dotkliwie brak prac podstawowych z dziedziny ekonomii. Może lukę tę wypełni już wkrótce Wydawnictwo Literatury w Językach Obcych zapowiadany wydaniem dwutomowego wyboru pism Marksa i Engelsa.

W dziale masowej literatury politycznej na szczególną uwagę zasługuje projekt opracowania przez literatów polskich broszur popularnych o przemyśle miejscowym towarów powszechnego użytku, o rezerwach pracy i kołchozach (łącznie sześć broszur). Ważne to zadanie wykonają autorzy po bliskim zaznajomieniu się z procesem rozbudowy przemysłu i kołchozów w zachodnich obwodach BSRR i USRR, mając na uwadze ułatwienie nowym przedsiębiorstwom i kołchozom — wzajemnej wymiany doświadczeń. Z innych ważniejszych broszur wymienić należy: Krupskiej «O młodzięży», Kalinina «O komunistycznym wychowaniu pracujących», Leontiewa «Socjalizm i praca», Borysowa «Frunze», Spirina «Lotnictwo Kraju Rad», zbiór pieśni radzieckich z nutami w układzie Szenwalda, oraz broszury o ustroju ZSRR Karpinińskiego i Mandelsztama.

W dziale literatury antyreligijnej przewidziane są podstawowe broszury popularno-naukowe Gremiackiego i Szyszakowa oraz praca Fiedosiejewa «Stalin o religii i o walce z religią».

W dziale literatury pięknej — w najbliższym czasie ukażą się Wasilewskiej «Ojczyzna» i «Oblicze dnia» («Płomień na bagnach» i «Ziemia w jarzmie» ukazały się w tymże wydawnictwie w roku 1940), «Łańcuchy» Szemplińskiej, «Dzieci» Brzozy, «Opowiadania wrześnie» Putramenta. Przewidzianych jest ponadto jeszcze kilka pozycji. Poza prozą Putramenta są to bądź przedruki książek już dawniej ogłoszonych, bądź utwory napisane w latach dawniejszych. Brak zupełnie książek o tematyce radzieckiej i dla nich — dla nowych rękopisów plan rezerwuje dwa dalsze miejsca.

«Oblicze dnia» Wasilewskiej po raz pierwszy wydane zostanie bez skreśleń warszawskiej cenzury; fragmenty skreślone autorka odtworzyła z pamięci.

Biblioteczka poetycka objąć ma w r. 1941 dwanaście tomików wierszy wybranych poetów lwowskich. Tomiki te będą składały się z utworów dawnych i nowych.

Zarówno w dziedzinie prozy jak i poezji ilość pozycji może być znacznie powiększona i złożone w wydawnictwie lub zapowiedziane przez autorów prace nie zapełniają szerokich ram planu. Wydawnictwo odczuwa jeszcze głód rękopisów i plan układany w tych warunkach powstał nie drogą surowej selekcji, lecz drogą prostego włączenia wszystkich zgłoszonych rękopisów nie budzących zasadniczych zastrzeżeń, a czasem nawet wręcz jeszcze nieznanych. Toteż plan ma tutaj w pozycjach rękopisów nie złożonych ważne znaczenie deklaratywne — wyraża gotowość wydania książek w terminie najkrótszym, jeśli uznane zostaną przez recenzentów wydawnictwa za dobre. Rozszerza jeszcze tę możliwość drukowania pisarzy polskich zaplanowany jako wydawnictwo kwartalne «Almanach literacki».

Z klasycznej polskiej literatury zaplanowano jednotomowe wydanie dzieł wybranych Mickiewicza (redaktor Borejsza), Orzeszkowej (redaktorka Cukierowa), Słowackiego (redaktor Jastrun), Prusa i Konopnickiej.

W dziale przekładów plan przewiduje siedem pozycji ukraińskiej literatury klasycznej, trzy pozycje rosyjskiej literatury klasycznej, dziewięć

przekładów współczesnej literatury ukraińskiej, siedem rosyjskiej i trzy przekłady z literatury innych narodów Związku Radzieckiego.

Znajdujemy tu — w związku z jubileuszem Iwana Franki — 5-tomowe wydanie jego dzieł wybranych, dwa tomy poezji i trzy tomy prozy. Do wydania tego, wymagającego ze względu na doniosłość sprawy osobnego omówienia, wejdą własne przekłady autora na język polski, powieść jego «Lelum i Polelum» pisana w języku polskim na konkurs «Kuriera Warszawskiego», listy jego do Orzeszkowej i liczne nowe przekłady.

Z klasyków ukraińskich ukaże się wybór poezji Szewczenki i powieść Kociubińskiego «Fata-morgana».

Z klasyków rosyjskich oprócz wydanej już w przekładzie Haliny Górskiej «Matki» Gorkiego, plan przewiduje wiersze wybrane Lermontowa i Puszkina.

Współczesną literaturę radziecką reprezentują: pisarze ukraińscy — Kornijczuk, Rylski, Bażan, Janowski, Hołowko, Łe, Tyczyna, Sosiura, Rybak i Desniak; pisarze rosyjscy — Sołochow («Cichy Don» tom I i II), Bagrycki («Duma o Opanasie»), Fadijew («Kłeska»), Tołstoj («Chleb»), Ostrowski («Jak hartowała się stal») i Krenkel. Z autorów innych narodów ZSRR — Leonidze, Nizami i Szolom Alejchem.

W dziale dzieł zbiorowych ukaże się zbiór o Leninie i zbiór o Stalinie.

W dziale krytyki literackiej plan przewiduje wydanie zbioru prac krytycznych Boya-Żeleńskiego z dziedziny historii literatury polskiej (o Mickiewcu, Słowackim, Fredrze i innych) pt. «W perspektywie czasu».

Dla dzieci wyjdzie w r. 1941 piętnaście książek autorów polskich, a mianowicie: 3 książki Wasilewskiej (po wydanym w roku 1940 «Pokoju na poddaszu» pozostałe książki Wasilewskiej dla młodzieży — «W pierwotnej puszczy», «Kryształowa kula Krzysztofa Kolumba» i «Wierzy i bruk»), 4 książki Konopnickiej, 2 Charszewskiej. Poza tym poezje Szemplińskiej i Friede oraz książki Ejsmonda, Górskiej, Broniewskiej («Przygody gałgankowej Balbisi») i Koszutskiej. Z przekładów: 8 książek autorów rosyjskich — Majakowski «Dla dzieci», Marszak «My wojskowi», Weretnikow «Wołodja Ulianow», German «Żelazny Feliks», Gorki «Dzieciństwo», Gerasimow «Szczorsz», Ostrowski «Narodzeni w burzy» i 10 książek autorów ukraińskich — Iwanenko «Bajki», Tyczyna «Jasio Telesik», Kopylenko «W lesie», Franko «Hrycio w szkole», Kociubiński «Bajki», Trublaini «Skrzydła różowej mewy». Poza tym z dzieł zbiorowych — «Dzieciństwo i młodość Stalina» oraz «Bajki narodów ZSRR».

86 zaplanowanych na rok 1941 podręczników stanowi pełny komplet podręczników dla szkoły z językiem wykładowym polskim. Szczególnie zainteresowanie budzi niewydana jeszcze w roku ubiegłym trzutomowa «Historia literatury polskiej». Po raz pierwszy wyjdą również podręczniki historii powszechnej i Związku Radzieckiego (6 tomów), podręczniki stylistyki i gramatyki polskiej dla klas wyższych oraz podręczniki astronomii, darwinizmu i Konstytucji Stalinowskiej.

21 programów wszystkich przedmiotów i 50-arkuszowy tom zbiorowy materiałów pedagogicznych dla nauczyciela uzupełniają zaopatrzenie na nowy rok szkolny.

Plan zamyka jednotomowy zbiór kodeksów radzieckich i kalendarz na rok 1942, który ma się ukazać na jesieni w nakładzie 100.000 egz.

Ogółem plan wymaga wydania do końca roku niespełna 3.000.000 egz. książek ze wszystkich dziedzin. Ta wszechstronność polskiego działu Wydawnictwa Mniejszości Narodowych USRR zwiększa ogromnie trudność wykonania olbrzymiego w dziale redakcyjnym zadania. Wykonanie planu wymaga systematycznego wydawania co najmniej jednej książki dziennie, opracowywania redakcyjnego, druku i oprawy 300 arkuszy drukarskich miesięcznie, wykonania w sumie 30.000.000 odbitek drukarskich.

Wydawnictwo ma wszelkie dane obiektywne do wykonania tego zadania. Potrzeba do tego systematycznej, dobrze zorganizowanej pracy, codziennego przestrzegania wykresu produkcji, zgodnie ze wskazaniami XVIII Wszeczwiązkowej Konferencji WKP(b).

Ale to nie wszystko. Sprawa jest poważna. Kierownicy księgarń — «Kogizu», «Knigotorgu», «Bielkopsojuzu» informują o tym, że polskie książki są rozchwytywane. Cały nakład wszystkich, niemal bez wyjątku, książek polskich rozchodzi się w okresie od dwóch do trzech tygodni. Wykonanie planu na rok 1941 nie zmieni jeszcze całkowicie tej sytuacji, ale wniesie niewątpliwą poprawę. Musimy jednak zaostrzyć naszą kontrolę nad wykonaniem zadań wydawnictw. Związki Pisarzy muszą w codziennym stałym kontakcie pomagać wydawnictwu, kontrolować je, wykrywać każdy wypadek niesumiennego stosunku pisarza do przyjętej pracy. Muszą pomagać wydawnictwu w pracy nad rękopisem, w walce o wartościową radziecką książkę polską.

Za wykonanie planu odpowiada wydawnictwo. Ale nie tylko pracownicy wydawnictwa — każdy, komu jest droga sprawa socjalistycznej kultury, musi pojąć wielką ważność kulturalną i polityczną pierwszego roku masowej produkcji książki polskiej.

Adolf Bromberg

Skład kolegium redakcyjnego: Wanda Wasilewska — redaktor, Helena Usijewicz — sekretarz odp., Tadeusz Boy-Żeleński, Janina Broniewska, Zofia Dzierżyńska, Julian Przyboś.

P R E N U M E R A T A

ROCZNIE	48 rb.
PÓŁROCZNIE	24 rb.
KWARTALNIE	12 rb.

*Prenumeratę przyjmują oddziały
«Sojuzpieczati» i urzędy pocztowe*

*Sprzedaż detaliczna w kioskach
«Sojuzpieczati» i księgarniach Kogizu*

akc. 345/67 k.

4 rb.

P.I. 1348

1941

BIBLIOTEKA IBL

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO LITERACKIE
M O S K W A

<http://rcin.org.pl>